tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 8 (1154)
14-20.02.2022
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

ANETA PAWŁOWSKA-KRAĆ
KIEDY POLAK POTRZEBUJE PSYCHIATRY

DR MARCIN ROJSZCZAK
PEGASUS STWORZONY DO NADUŻYĆ

JAK NISZCZONO POLSKĄ KOLEJ

RYNEK WRÓŻBIARSKI WART 2 MLD ZŁ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509-3115 08 >
9 771509 311201

SIŁOWANIE MOCARSTW

ŚWIAT PĘKA

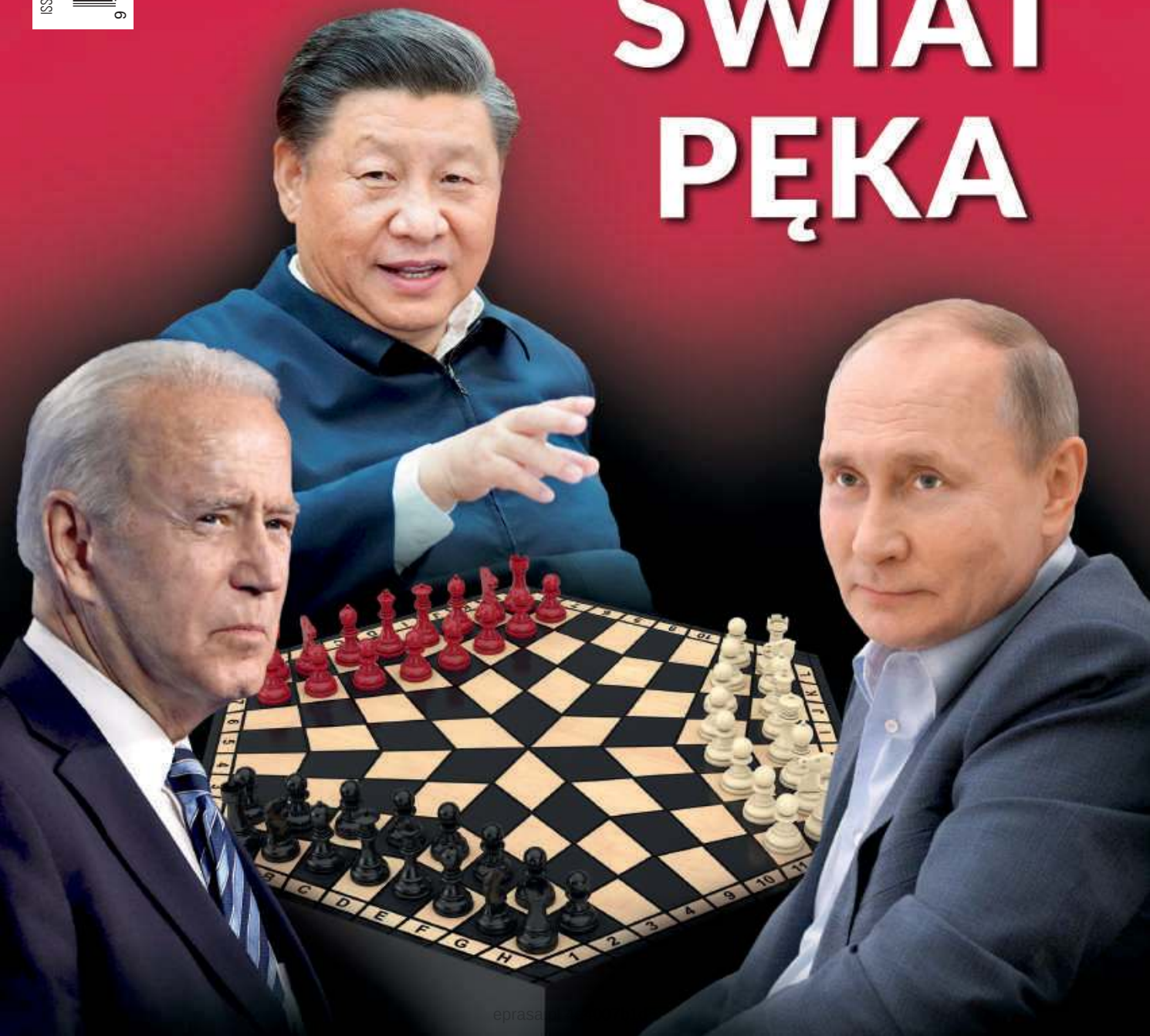

eprasa

ANAÏS
DEMOUSTIER

VALERIA
BRUNI TEDESCHI

DENIS
PODALYDÈS

Odkrycie MFF w Cannes

ZAKOCHANA ANAIS

reżyseria
CHARLINE BOURGEOIS-TACQUET

Pełna świeżej energii komedia obyczajowa

w kinach od 18 lutego

AURORA

Kreatywna Europa
MEDIA

Jerzy Domański

Polski bank dla polskich rolników

Dziś problemy mają rolnicy. Ale w miastach mało kogo to obchodzi. Refleksja przychodzi w czasie zakupów, gdy przy kasie ceny produktów wariują. Rolnicy dostają za nie grosze. Na ich pracy żerują tabuny pośredników i sieci handlowe. Porównanie cen, jakie trafiają do rolnika, z tymi, które płaci konsument, pokazuje, jak bezczelna jest to grabież. Oczywiście w majestacie prawa.

Polskie rolnictwo chętnie pokazywane jest jako przykład udanej transformacji. I grzechem byłoby negować to, co udało się rolnikom osiągnąć. Ale głupotą jest udawanie, że ostatnie lata to na wsi pasmo sukcesów. Poprawa życia wynikająca z programów socjalnych rządu jest niewątpliwie plusem. Za to w sferze gospodarczej problemy rolnictwa rosną równie szybko jak długi rolników. Bez zmiany polityki rządu będzie tylko gorzej. Dzisiejsze ceny artykułów spożywczych mogą mocno poszybować.

Zmiana musi objąć podstawy finansowania rolnictwa. Jakimi instytucjami bankowymi dysponuje tam państwo? Przed laty sprzedano BGŻ, a później skutecznie zmarginalizowano banki spółdzielcze i SKOK-i. Sprzedanie BGŻ, głównego instrumentu uprawiania polityki państwa na wsi, uważam za coś znacznie gorszego od głupoty. Co mamy w zamian? Francuski bank o nazwie BNP Paribas Bank Polska. Rolnicy nijak nie mogą pojąć, po co końcówka tej nazwy. Chodzi widać o lokalizację banku. Dlaczego sytuacja, jaką mamy w Polsce, jest groźna? Francuskie rolnictwo to w Europie największy konkurent naszego.

Jak polski rolnik ma z nim wygrywać na rynku europejskim, gdy jest skazany na BNP? Gdy jego dopłaty unijne wędrują do BNP, bo tam ma kredyt obrotowy, leasingi maszyn rolnych i tam musi raportować wszystko, co robi? Tak dokładnie, że bank wie o jego gospodarstwie wszystko. Po co? I to ta szczegółowa wiedza jest dla konkurencji bezcenna. A czyje interesy reprezentują właściciele francuskiego banku? Jaki z tego płynie wniosek? Ano taki, że bez polskiego banku dla polskiego rolnictwa nasze państwo jest i będzie tylko bezradnym petentem.

Takim jak polski rolnik w BNP Paribas.

O jakości usług tego banku mówią jego klienci, ale nie da się tego bez kropek zacytować. Wielką kampanię „bank zmieniającego się świata" sfinansowali mu polscy rolnicy. No bo któż inny? Naszym rolnikom faktycznie ten świat się zmienił. Na gorsze!

Najwyższy czas na ruch PSL albo Agrounii Michała Kołodziejczaka.

BĄKOWSKI

CO WARTO PRZECZYTAĆ ZIMĄ?
Mamy zapas e-booków!
Tylko do końca lutego
E-BOOKI OD 9,90 ZŁ
sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

KEN FOLLETT, pisarz brytyjski
Opuszczenie Wspólnoty Europejskiej to oczywiste szaleństwo.
„Tygodnik Powszechny"

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ, politolog INP UW
Europa Wschodnia, wychowana w duchu służalczości, wróciła w stare koleiny, wiernej służby nowemu panu.
„Trybuna"

eprasa.pl 4e4007b1d9

W NUMERZE

ZAGRANICA
8 Tworzy się nowy ład, tylko nie widać jaki
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem
32 Pegasus buszuje w Izraelu
Nielegalnie podsłuchiwani przez policję
34 Wirus rasowej nienawiści
Korespondencja z USA
38 Portugalczycy chcą stabilności
Socjaliści wybrani ponownie
40 Starość nie radość
Imigrant potrzebny od zaraz

KRAJ
13 Patron wyklęty
Niechciani kościuszkowcy
14 Sarmaci na torach
Jak niszczono polską kolej
18 Spór o Turów zakończony?
Sukces według PiS
21 Chaos, hejt, niskie płace
– rozmowa z Gilbertem Kolbem
24 Po lepszej stronie Olsztyna
Stawiguda – gmina marzeń
28 System stworzony do nadużyć
– rozmowa z dr. Marcinem Rojszczakiem

OPINIE
44 Dariusz Zalega
Meandry śląskiej historii

KULTURA
46 To grabież!
– rozmowa z dr. hab. Arkadiuszem Wagnerem
49 Qulturalia
66 5. Zimowa Aukcja Sztuki

PSYCHOLOGIA
50 Kiedy Polak potrzebuje psychiatry
– rozmowa z Anetą Pawłowską-Krać

OBSERWACJE
53 Paranormalne trele-morele
Wiara we wróżby kwitnie

EKOLOGIA
56 Mur, który zabije Puszczę Białowieską
Naukowcy przeciw budowie zapory na granicy

ZWIERZĘTA
58 Zobacz ptaka
Niebieskie zimorodki i wrażliwe gile

FELIETONY I KOMENTARZE
3 Jerzy Domański
Polski bank dla polskich rolników
27 Andrzej Romanowski
Dwa wywiady (1)
31 Roman Kurkiewicz
Dzieci do szkół, nie do więzień
43 Tomasz Jastrun
Wina Tuska

21
KRAJ

CHAOS, HEJT, NISKIE PŁACE
– rozmowa z Gilbertem Kolbem

50
PSYCHOLOGIA

KIEDY POLAK POTRZEBUJE PSYCHIATRY
– rozmowa z Anetą Pawłowską-Krać

58
ZWIERZĘTA

ZOBACZ PTAKA
Niebieskie zimorodki i wrażliwe gile

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ISOPIX/EAST NEWS, XINHUA NEWS/EAST NEWS, SPUTNIK RUSSIA/EAST NEW, BEW

eprasa.pl 4e4007b1d9

Geopolityka puka nadaremnie

Moim zdaniem problem polega na tym, że Amerykanie nie chcą się pogodzić ze statusem upadłego mocarstwa. Amerykańskie elity nie przyjmują do wiadomości, że świat już nie jest jednobiegunowy, USA uzurpują sobie rolę neoliberalnego żandarma świata. Nieopanowana chciwość ponadnarodowego kapitału i globalnych korporacji spowodowała problemy, które zmieniły arenę światowej polityki. Na globalizacji urosły Chiny, będąc tym samym motorem postępu w innych państwach pretendujących do roli mocarstw. USA zostały sprowadzone do roli mocarstwa regionalnego. Dlatego Biden uroił sobie wojnę o Ukrainę, a jego bajania o agresji Rosji są tak samo wiarygodne jak produkcja gazów bojowych przez Saddama Husajna na platformach ciężarówek. Styczeń minął, Ukraina ocalała. Jeśli wojna o Ukrainę nie wybuchnie, da to Bidenowi legitymację do ogłoszenia zwycięstwa nad Rosją i obwołania się zbawcą. Kto wie, może nawet dostanie pokojowego Nobla jak Obama? Obama później zapracował na tę nagrodę, rujnując Syrię. Co zrujnuje Biden?

Marek Głowinkowski

Gazowe fobie i przesądy PiS

Te gazowe fobie i mity nie są polskie, to są wytyczne polityczne z Brukseli. W Niemczech ceny za energię są chyba najwyższe w Unii Europejskiej i ciągle rosną. I będą dalej rosnąć. Zauważcie, że sekretarzem stanu w niemieckim MSZ u Annaleny Baerbock będzie dotychczasowa szefowa organizacji Greenpeace Jennifer Morgan. Tu akurat PiS nie zawiniło, robi, co mu każą. *Mirosława Bauermeister*

•

W Holandii już plajtują sadownicy i producenci nasion, bo rozkładają ich ceny gazu, którym ogrzewają szklarnie. To samo czeka polski biznes.

Daniello Sendiccielli

Prawdziwy cel Solidarności

Czytając felieton prof. Andrzeja Szahaja „Pochwała związków zawodowych" (PRZEGLĄD nr 5), odczułem pewną zazdrość o zetknięcie się z działaniami Solidarności z lat 1980-1981, które można było odbierać jako propracownicze. Ja pracując wiele lat w przedsiębiorstwach gospodarki morskiej, nie spotkałem żadnej zakładowej organizacji Solidarności, która byłaby rzeczywiście zaangażowana w sprawy pracownicze, oczywiście poza żądaniami podwyżek wynagrodzeń zgodnie z porozumieniami sierpniowymi i przyznawanych niezależnie od kwalifikacji i wkładu pracy. Pamiętam też naciski na doprowadzenie do likwidacji branżowych związków zawodowych w przedsiębiorstwie. Zastanawiam się, czy nie pora stwierdzić, że ruch społeczny na rzecz zmiany systemu politycznego przyjął formę związku zawodowego jako prawnie dostępną, ale bez związku z celami takiej formuły organizacyjnej. Sądzę, że Solidarność nigdy nie miała na celu poprawy bytu pracowników, a więc nie poniosła klęski. Odniosła sukces, gdyż doprowadziła do zmiany opcji politycznej i wprowadzenia neoliberalnego systemu, a także pozbawienia pracowników silnej reprezentacji. *Andrzej Tomasik*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Szkolenie wojskowe cywilów na wypadek rosyjskiej inwazji. Ukraina, 5 lutego 2022 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4e4007b1d9

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

Najzajadlejszym krytykom Polskiego Ładu nie mieści się w głowach, że dla milionów Polaków wielkie znaczenie ma podniesienie płacy minimalnej, zwiększenie minimalnej stawki godzinowej czy zniesienie opodatkowania najniższych emerytur i wiele innych rozwiązań korzystnych dla najuboższych.

Zmalała liczba Polaków przebywających czasowo za granicą. Według GUS w 2020 r. było to 2,24 mln osób, czyli o 176 tys. mniej niż w 2019 r.

Posłowie lewicy, koła PPS i część posłów PO nie wzięła udziału w hucpiarskiej akcji marszałkini Sejmu Elżbiety Witek, czczącej winnego ludobójstwa Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę".

38 001 samochodów osobowych z napędem elektrycznym oraz 1657 użytkowych zarejestrowano w Polsce w 2021 r.

Edyta Zbieć, burmistrzyni Kobyłki w powiecie wołomińskim, wybrana w 2018 r. w bastionie PiS jako kandydatka niezależna, **uparcie walczy o uchylenie przyjętego przez radę miasta dokumentu Ordo Iuris.**

Tadeusz Łysiak dostał nominację do Oscara za film „Sukienka", a Janusz Kamiński za zdjęcia do „West Side Story".

Tadeusz Kościński zrezygnował – nietypowo, bo za pośrednictwem rzeczniczki PiS – **z funkcji ministra finansów.** Jako minister miał bardzo słabą pozycję. Kluczowe decyzje podejmował premier Morawiecki. A Kościński tylko je firmował. Aż do końca, czyli roli kozła ofiarnego.

Javier Calleja, prezes zarządu Solarisa, oraz członkowie zarządu Petros Spinaris, Dariusz Michalak, Paweł Hajduk i Patryk Kawa, to ekipa, która bohatersko zatrzymała Andrzeja Radzikowskiego, przewodniczącego Rady Dialogu Społecznego i OPZZ, i nie wpuściła go na spotkanie ze strajkującą od trzech tygodni załogą. Spotkał się więc z pracownikami przed bramą zakładu.

Elżbieta Witek, marszałkini Sejmu, znana z tego, że o Katyniu uczyła się z podręczników wydanych przed 1939 r., konsekwentnie kłamie w sprawach historii. **Na jej wniosek Sejm oddał cześć Zygmuntowi Szendzielarzowi „Łupaszce", którego oddziały w 1944 r. wymordowały w Dubinkach kilkadziesiąt osób, głównie kobiet i dzieci.**

18,2 tys. upadłości konsumenckich ogłoszono w 2021 r. Bankruci nie spłacili 540 mln zł długów.

Drodzy Czytelnicy,
znaczne podwyżki cen papieru zmusiły nas do szukania oszczędności. Dlatego od dzisiejszego wydania PRZEGLĄD będzie się ukazywał w nieco mniejszym formacie. Postaramy się, żeby mniej słów nie oznaczało mniej treści. **Redakcja**

PRZEBŁYSKI

Seksafera w rodzinie

Najpierw pan Tymoteusz Zych był świadkiem na ślubie kościelnym (!) państwa Karoliny i Pawła Pawłowskich. Później żona pana Zycha odkryła w telefonie męża gołe zdjęcia pani Karoliny. Pokazała je mężowi golaski. Ten pojechał do biura, gdzie kochasie pracują. I po staropolsku obił facjatę panu Zychowi. Czytelniku, to nie jest scenariusz filmu porno. To tylko życie codzienne w ultraprawicowym i niezwykle religijnym Ordo Iuris. Tego z rodziną na sztandarach. Co prawda, skrajni obrońcy rodziny i przeciwnicy rozwodów wiceprezes Zych i dyrektor Pawłowska już w Ordo Iuris nie pracują, ale… podobno duch wolnej miłości i swawoli erotycznych ciągle krąży tam po salach.

Ta straszna komuna

Za tygodnikiem „Sieci" cytujemy, i to dosłownie, jak się żyło w PRL Elżbiecie Królikowskiej-Avis. Michał Karnowski przedstawił ją jako aktywną uczestniczkę opozycji antykomunistycznej. Można by więc przypuścić, że jadła suchy chleb i mieszkała w nieogrzewanej izbie. Na szczęście było tak: zajęcia z angielskiego, zajęcia plastyczne, szkoła muzyczna, w latach 70. nauka języka hiszpańskiego. Ojciec, zamożny ogrodnik, ze szklarniami. Aresztowana za działalność w organizacji Ruch, tej z Niesiołowskim i Czumą, bo – jak mówi – brała udział w wysadzeniu pomnika Lenina w Poroninie. W areszcie jako dziennikarka pisała do „Ekranu", później pracowała w domu kultury, od 1980 r. pisała do tygodnika „Film", a w stanie wojennym do „Anteny". Och, jaka straszna była ta komuna.

Nie Morawiecki, ale różaniec

Mówi się, że podróże kształcą. Tak bywa, chyba że podróżnik nazywa się Kazimierz Grajcarek. Modelowe skrzyżowanie dewota z kimś, kto miał do szkoły pod górę. Były szef Solidarności w górnictwie i energetyce zwierzył się w „Naszym Dzienniku", jak ratowano i uratowano Turów. Żaden Morawiecki czy Sasin nic tu nie zrobili. Grajcarek nie ma wątpliwości, że to „Pan Bóg nie pozostał głuchy na modlitwy pracowników kopalni, ich rodzin i księży", a „sprawa Turowa została załatwiona na różańcu". Szkoda, że Pan Bóg był nierychliwy. I drogo nas ten różaniec kosztował! Razem jakieś 310 mln zł.

Czas odlatywać. Tylko dokąd?

Może to przypadek, ale coraz częściej w internetowej wyszukiwarce pojawia się hasło: kraje, z którymi Polska nie ma umowy o ekstradycji. Teoretycznie im bliżej naszego kraju, tym powinno być lepiej. A więc Czarnogóra! Ale ten uroczy kraj może szybko taką umowę podpisać. I co? Powrót w uwierających kajdankach. Lepiej więc szukać daleko. Jak najdalej. Polecamy Chile, choć w Ameryce Południowej można też zbiec do Peru, Kolumbii, a nawet do Urugwaju. Najłatwiej byłoby zniknąć w Chinach, ale to chyba przekracza wyobraźnię ludu pisowskiego. A ci, co już mocno wydoili ojczyznę, mogą wykupić miejscówkę w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Mogliby np. próbować jako artyści będący pionierami w dojeniu kasy.

FOT. YOUTUBE (2), ARCHIWUM

eprasa.pl 4e4007b1d9

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Komu wierzą Polacy?

PROF. JANUSZ ADAMOWSKI,
medioznawca, politolog, UW

Zagorzali zwolennicy partii politycznych zapewne wierzą ich prawdziwym liderom, takim jak prezes Kaczyński czy przewodniczący Tusk. Myślę, że wiele osób ciągle wierzy hierarchom Kościoła, a na uczelniach autorytetami pozostają osoby pełniące funkcje i mające stopnie naukowe, choć kiedyś profesor cieszył się większym prestiżem. Zaufanie publiczne nie do końca straciły służby mundurowe, zwłaszcza straże pożarne. Szczególnie nieufni są rolnicy. Ważnym punktem odniesienia była dla nich partia ludowa, ale to się zmieniło. Prawo do rządu dusz w tym środowisku rości sobie inna formacja, a istotny wpływ na jego decyzje, w tym polityczne, utrzymują proboszczowie.

PROF. KRYSTYNA SKARŻYŃSKA,
psycholożka społeczna, SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny

Większość deklaruje, że wierzy tym, których zna i których może testować: członkom rodziny i przyjaciołom. Obcym z reguły nie ufa. Inaczej wygląda wiara w instytucje: tu widać różnice związane z wiekiem, wykształceniem i preferencjami politycznymi oraz zmiany w czasie. Wyrazisty jest spadek wiary w instytucję Kościoła: w 1990 r. bardzo duże zaufanie do niej deklarowało 45,6% dorosłych Polaków, w 2017 r. tylko 19,45%. Niewielki procent obywateli wierzy partiom politycznym i politykom, ale coraz więcej wierzy w demokrację (choć nie wszyscy podobnie ją rozumieją). Ostatnie dwa lata pokazały, że ok. 30% społeczeństwa bardziej wierzy znajomym niż naukowcom. Niskie zaufanie wynika z popularności poglądu, że ludzie są egoistami, dlatego trzeba wszelkimi sposobami dbać o swój interes. Niestety, rośnie liczba Polaków, którzy tak myślą.

DR ŁUKASZ POLOWCZYK,
filozof i etyk

Tak jak w wielu krajach powszechne jest u nas zaufanie oparte na ignorancji i emocjach, a nie na wiedzy, doświadczeniu i rozumowaniu. Silna jest religijna tresura, żeby wierzyć, a nie sprawdzać; szkoła również raczej nie uczy krytycyzmu. Ponieważ ludzie nie są nauczeni weryfikowania informacji i docierania do wyników badań, a także nie rozumieją statystyki ani rachunku prawdopodobieństwa, wielu szuka prostych wytłumaczeń złożonych zjawisk społecznych czy medycznych. W efekcie Polacy masowo ufają temu, co ich znajomi piszą na Facebooku – bardziej niż specjalistom, np. lekarzom. Świadczy to o tym, że jako społeczeństwo ponieśliśmy porażkę w edukacji naukowej.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 4e4007b1d9

Tworzy się nowy ład, tylko nie widać jaki

Amerykanie daliby wszystko, żeby Rosja była w sojuszu z Zachodem. Ale w tej chwili intencje Moskwy są inne

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK

O co chodzi w tym narastającym napięciu na linii Rosja-Stany Zjednoczone? To gra o Ukrainę?

– To jest gra o Rosję. Pamięta pan, Władimir Putin w 2007 r. na konferencji ds. bezpieczeństwa w Monachium ogłosił zebranym, że największą tragedią XX w. był rozpad ZSRR. Czyli nie Holokaust, nie II wojna światowa czy inne nieszczęścia. W tym sensie nie ma dla niego ważniejszego celu i misji politycznej aniżeli odbudowa wpływów byłego ZSRR. Moim zdaniem on może się pogodzić ze stratą państw nadbałtyckich, ale nigdy Wielkorus, i to jeszcze wychodzący z resortów siłowych, nie pogodzi się ze stratą Ukrainy.

Bo to i kolebka, i „drugie płuco"...

– Spójrzmy na historię cywilizacji rosyjskiej, wiary prawosławnej. One się rozpoczynają od podziału na Ruś kijowską i Ruś włodzimierską. W Kijowie to wszystko się zaczęło. Te elementy dla Rosjan są więcej niż ważne. W tym sensie Putin, tak to czytam, chciałby znów osadzić swojego namiestnika w Kijowie, takiego jakim był Janukowycz, bo wtedy miałby zabezpieczone swoje interesy. Resztę celów ma zapisaną w swoim ultimatum – żeby ani Stany Zjednoczone, ani Unia Europejska nie weszły na terytorium Ukrainy. A teraz bada ducha monachijskiego po stronie Zachodu. Ile Zachód odpuści pod presją oręża, który został zgromadzony.

Koniec końca historii

Są dwa Zachody, jednym są Stany Zjednoczone, drugim Europa.

– Żeby dwa... Problem jest w tym, że Zachód miał przed 30 laty z kawałkiem swój największy triumf w dziejach. Miał jednobiegunową chwilę, mówiono nawet o końcu historii. Związek Radziecki padł, były tylko liberalna demokracja i wolny rynek spod znaku konsensusu waszyngtońskiego. Ten wolny rynek miał wszystko regulować, przynieść dobrobyt, wyeliminować nasze bolączki.

To było marzenie.

– Konsensus waszyngtoński załamał się w roku 2008. A to załamanie pociągnęło za sobą co najmniej trzy skutki. Pierwszy, że USA od 2008 r. przestały być jedynym supermocarstwem w dwóch wymiarach, ekonomicznym i handlowym. W innych – geostrategicznym, militarnym, naukowym czy *soft power* – absolutnie

Prof. dr hab. Bogdan Góralczyk – politolog i sinolog, były ambasador w państwach Azji, wykładowca w Centrum Europejskim UW i jego były dyrektor. Autor tryptyku o Chinach: „Chiński feniks. Paradoksy wschodzącego mocarstwa", „Wielki Renesans. Chińska transformacja i jej konsekwencje", „Nowy Długi Marsz. Chiny ery Xi Jinpinga" oraz wywiadu rzeki „Świat Narodów Zagubionych".

eprasa.pl 4e4007b1d9

pozostały. Ale gospodarczo i handlowo Ameryka nie mogła już po 2008 r. samodzielnie podyktować warunków. Ani Pekinowi, ani Moskwie, ani Londynowi, Berlinowi czy Brukseli. Drugą zmianą, którą przyniósł rok 2008, było to, że narodziła się nowa kategoria państw. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki państwa takie jak Indie, Chiny, Indonezja, najludniejsze państwa świata, które były Trzecim Światem, teraz stały się *emerging markets* – wschodzącymi rynkami. Co więcej – te wschodzące rynki w latach 2009-2019, do pandemii, dały ponad 80% światowego wzrostu. Tam przesunęła się dynamika światowej gospodarki, handlu itd.

Trzecia zmiana dotyczy pewnie samych Chin.

– Chcę powiedzieć o pewnym procesie. Chiny w XXI w. wchodziły jako szósta gospodarka świata, jeszcze za Włochami. W pierwszej dekadzie tego stulecia, po wejściu do Światowej Organizacji Handlu, rokrocznie notowały dwucyfrowy wzrost. W efekcie w 2010 r. wyprzedziły Japonię i stały się drugą gospodarką świata. I dlatego dziś mamy przesunięcie ośrodka siły z Atlantyku na Pacyfik. Już po roku 2008, za czasów Obamy, ogłoszono zwrot w kierunku Azji, ale okazał się on werbalny, bo nadal trwała „wojna z terrorem". A teraz, gdy w czerwcu ub.r. Biden przyjechał z pierwszą wizytą do Europy, to rozmawiał głównie o Chinach. Mamy więc trzy nakładające się procesy, które nie brzmią dla nas dobrze, bo razem to oznacza koniec europocentryzmu.

Świat to widzi?

– Do czasu pandemii regularnie jeździłem do Chin, do Indii, do krajów Azji Południowo-Wschodniej. Gdy podczas wykładów mówiłem, że jest kryzys światowy, słuchacze się śmieli. Jaki kryzys? To u was jest kryzys, nie u nas! I statystyki to potwierdzały.

U nich był wzrost, tymczasem reszta świata popadła w turbulencje.

– Jeszcze przed pandemią, od marca 2018 r., między Stanami Zjednoczonymi a Chinami była wojna handlowa i celna. 15 stycznia 2020 r. trochę została zahamowana, ale trwa. Mam statystyki za ubiegły rok handlu chińsko-amerykańskiego. Mamy w nich znów 319 mld dol. ujemnego salda amerykańskiego. Dokładnie tyle, ile w roku 2019. Największe ujemne saldo było w roku 2018, wynosiło 420 mld dol. Wtedy Trump się wściekł. Natomiast niezależnie od wojny handlowej USA-Chiny w czasie pandemii doszły nam wojny – ideologiczna i medialna. Była przecież próba przynajmniej dyplomatycznego storpedowania zimowych igrzysk olimpijskich. I jest jeszcze trzecia wojna, najważniejsza, bo będzie definiowała przyszłość – technologiczna. Stąd 5G, stąd Huawei, stąd rywalizacja w kosmosie. Widzimy więc dwa duże procesy. Jeden to przesunięcie ośrodka siły z Atlantyku na Pacyfik. Stany Zjednoczone spotkały największego w swojej historii przeciwnika, muszą więc wykonać zwrot. A teraz przyszła Ukraina i Rosja i zobaczymy, co z tego wyjdzie, bo pojawiła się nowa dynamika.

Putin może się pogodzić ze stratą państw nadbałtyckich, ale nigdy nie pogodzi się ze stratą Ukrainy.

Co uzgodnili Putin i Xi Jinping?

Na czym ta dynamika polega?

– Jeżeli Putin dogadał się z Xi Jinpingiem, jeśliby skorelowali swoje uderzenia – Xi na Tajwanie i Morzu Południowochińskim, a Putin na Ukrainie – to Ameryka będzie miała niebywały pasztet.

A dogadał się? Jak ocenia pan ich rozmowy w Pekinie?

– Tego oczywiście nie wiemy. Wiemy natomiast, że Chiny zmieniły swoje dotychczasowe neutralne stanowisko obserwatora i w kontekście Ukrainy opowiedziały się za Rosją i jej racjami. Poniekąd mamy więc sojusz chińsko-rosyjski wymierzony w Zachód i jego interesy. Z amerykańskiego punktu widzenia to jeszcze większy problem i wyzwanie niż dotychczas.

Rosjanie wciąż mówią, że w dzisiejszym świecie mamy rozgrywkę w trójkącie USA-Chiny-Rosja.

– Amerykanie w Chinach prowadzili przez cztery dekady politykę zaangażowania. Od Nixona i Kissingera przez dwie dekady oś Waszyngton-Pekin była wymierzona w Moskwę. Udało się! Związek Radziecki się rozpadł. Wydawałoby się, że to koniec zbliżenia amerykańsko-chińskiego. A tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Administracja Clintona, która przyszła z wielkimi hasłami obrony praw człowieka i wolności, jeśli chodzi o Chiny, szybko chwyciła przynętę zarzuconą przez Deng Xiaopinga.

Jaką?

– Deng otworzył ponadmiliardowy chiński rynek. Ameryce zaparło dech – taki rynek, na dodatek chłonny i nienasycony! Ile można zarobić! Dlatego administracja Clintona dorobiła sobie nową ideologię – że im więcej Ameryka w Chinach zainwestuje, tym bardziej one się zliberalizują. No to teraz widzimy, jak się

PRENUMERATA POCZTOWA
Płać mniej i oszczędzaj!
Jeden egzemplarz w prenumeracie tylko 5,60 zł
Przedłuż prenumeratę pocztową PRZEGLĄDU
Zamówienia można składać do 25 lutego 2022 r.
72,80 zł – II kwartał,
218,40 zł – II, III, IV kwartał
We wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
Drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl
Przegląd
Zostań w domu! Listonosz bezpiecznie dostarczy Twój tygodnik

eprasa.pl 4e4007b1d9

zliberalizowały i jakie piękne gospodarcze sukcesy Ameryka w stosunkach z Chinami osiągnęła. W efekcie Trump zmienił tę politykę. Na przełomie 2017 i 2018 r. przyjął nową strategię militarną i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Chiny i Rosję zdefiniowano w niej jako największe wyzwanie wobec USA. A pod koniec 2021 r. we wszystkich stanowiskach USA były już tylko Chiny.

podważyć pozycję dotychczasowego hegemona. I trzeba to zrobić wspólnie. Natomiast w kręgach analitycznych Rosji już otwarcie się mówi i stawia słuszne pytanie: jak długo Federacja Rosyjska ma być zapleczem surowcowym dla szybciej rozwijających się Chin? Przecież wielkość gospodarki Związku Radzieckiego, u jego schyłku, była porównywalna z gospodarką Chin.

Jeżeli Putin i Xi Jinping skorelowaliby uderzenia – Xi na Tajwanie i Morzu Południowochińskim, a Putin na Ukrainie – to Ameryka będzie miała niebywały pasztet.

Rosja przestała się liczyć?

– Sprawa Ukrainy zmienia dynamikę.

A może jest tak, że Amerykanie tworzą łańcuszek wokół Chin, od Japonii, poprzez Azję, a bez Rosji go nie zamkną. Putin to wie i licytuje wysoko.

– Putin jest w dobrej sytuacji. Wie, że jest bardzo ciekawym potencjalnym partnerem i dla Zachodu, i jeszcze bardziej dla Chin. Przy czym uważam, że dopóki są Putin i siłowiki, bo to oni rządzą Rosją od roku 2000, dopóty będą w sojuszu z Chinami, bo należy jak najbardziej

A teraz jest ośmiokrotnie mniejsza. Nawet uwzględniając, że Rosja to nie ZSRR, jest to inna rzeczywistość. W tym sensie, jeśli chodzi o stosunki Rosja-Chiny, na dłuższą metę może być różnie. Natomiast na krótką – jedni i drudzy mają wspólny interes. Żeby osłabić dotychczasowego hegemona.

Rozgrywka w trójkącie

I Putin ugra swoje na Ukrainie, a Xi Jinping na Tajwanie? To możliwe?

– Xi Jinping, gdy definiował chiński sen, wymienił 14 celów. A teraz, 1 stycznia, w orędziu noworocznym, wymienił tylko jeden – Tajwan. Bo dla niego, ale i dla chińskiego narodu na kontynencie, nie ma bardziej zbożnego celu i zadania aniżeli dokończenie dzieła zjednoczenia ziem chińskich. Dla nich Tajwan to ostatni połeć kraju, który kiedyś oderwano Chinom, podczas 100 lat poniżenia. Problemem jest to, że Amerykanie już podczas wojny koreańskiej zdefiniowali Tajwan jako swój niezatapialny lotniskowiec na zachodnim Pacyfiku. Mamy zderzenie interesów.

Jak więc Pekin chce odzyskać Tajwan? Siłą?

– Chińska myśl strategiczna mówi, że lepiej jest osiągać cele inną drogą – wykoncypować coś, zaplanować jakiś fortel, podstęp. Albo przehandlować.

Czy USA są w stanie dużo dać Rosji, żeby przeszła na amerykańską stronę?

– Odpowiem trochę po chińsku, parabolą. Zwróćmy uwagę na pierwsze orędzie o stanie narodu prezydenta Bidena z kwietnia ub.r. Dominują w nim dwa pojęcia. Pierwsze to Chiny, a drugie – *healing*, zabliźnianie ran. Czyli że społeczeństwo jest tak potwornie spolaryzowane, podzielone, bo nie tylko na republikanów i demokratów, ale i wewnątrz

eprasa.pl 4e4007b1d9

Pierwsze oficjalne spotkanie przywódców USA Joego Bidena i Chin Xi Jinpinga odbyło się w formie wirtualnej, 15 listopada 2021 r.

Prezydenci Xi Jinping i Putin podczas Wschodniego Forum Ekonomicznego we Władywostoku, 11 września 2018 r.

tych partii są potężne podziały, że wszystko znalazło się w klinczu. Ameryka jest osłabiona, bo jest podzielona. I teraz, gdyby Chińczycy dokonali inwazji na Tajwan, toby zjednoczyli Amerykanów w obliczu jednego wroga.

Amerykańskie media głośno mówią o tym zagrożeniu.

– Ale co innego media, a co innego fakty w postaci starć zbrojnych. Gdy więc pan pyta, co Amerykanie mogą dać Rosji, myślę, że daliby wszystko, żeby Rosja mogła być w sojuszu z Zachodem. Ale w tej chwili intencje Moskwy, jak je czytam, są zupełnie inne. Pamiętajmy jednak, że mamy dyplomację wahadłową, oni latają, rozmawiają ze sobą i my nie wiemy do końca, o czym. A nie ma żadnych wątpliwości, że zaczyna nam się kreować jakiś ład światowy. I pytanie, czy ten ład będzie dwubiegunowy Chiny-Ameryka, czy wielobiegunowy, czy wielobiegunowy z dominacją duopolu.

A Kazachstan? Czy to nie jest wejście Rosji? Kazachstan mocno wiązał się z Chinami, przyjmował chińskie inwestycje. A teraz weszły tam wojska rosyjskie. Czy to nie znak, że ona rozdaje karty na obszarze poradzieckim?

– To potężny gest. Rosja pokazała jednym ruchem Chinom, że na terenach poradzieckich, z wyjątkiem państw bałtyckich, to ona jest gospodarzem. Proszę tu nie wchodzić, to jest nasze. I Chińczycy to przyjęli. Odpuścili na tym etapie. Poza tym Rosja jest im niezbędna do przeprowadzenia rozgrywki najważniejszej – o Tajwan i Morze Południowochińskie. Przed igrzyskami w Pekinie szef dyplomacji Wang Yi wyraźnie stwierdził, że Rosja ma uzasadnione obawy w dziedzinie bezpieczeństwa na terenie Ukrainy. Potwierdzono to w komunikacie po rozmowach Xi i Putina w dniu otwarcia igrzysk. Pekin natomiast na pewno nie chciałby, żeby coś się stało w wymiarze siłowym na Ukrainie podczas igrzysk.

Putin wie, że jest bardzo ciekawym potencjalnym partnerem i dla Zachodu, i jeszcze bardziej dla Chin.

Bo media zajęłyby się wojną, a nie igrzyskami.

– Nie dość, że ze względu na COVID-19 nie ma tam widzów, to jeszcze wojna zupełnie odwróciłaby od nich uwagę. Cały wysiłek finansowy poszedłby na marne. Jeżeli więc coś się stanie, to po 20 lutego. Ale też pamiętajmy, że kiedy w 2008 r. były poprzednie igrzyska w Pekinie, Putin wysłał wojsko do Gruzji.

Nie ma Europy

A w co gra Europa w takiej sytuacji?

– Nie ma jednej Europy. Nie ma jednego Zachodu, nie ma jednej Polski. Unia jest, po pierwsze, po brexicie. Czyli osłabiona. Po drugie – mamy na Zachodzie głęboki kryzys aksjologiczny, dotyczący wartości. On jest głębszy niż jakikolwiek inny. Każde państwo, nie tylko Polska, jest pęknięte wewnętrznie. Bardzo głęboko Francja, ale nawet Niemcy. Na dodatek przeszliśmy przez cały szereg kryzysów, który zaczął się w roku 2005, kiedy Holendrzy i Francuzi odkryli grzech pierworodny integracji europejskiej – że to jest projekt elit. Od roku 2005, po odrzuceniu w referendach wspólnej konstytucji, mamy kryzys przywództwa i wizji przyszłości.

Różne są te wizje…

– Jedni powtarzają, że Europa ojczyzn, drudzy coraz ciszej kwilą, że jakaś federacja. A Jacek Saryusz-Wolski mówi, że będzie to rozszerzona Bundesrepublik. W roku 2008 przyszła nowa polaryzacja – Północ-Południe. Pojawiły się PIGS (Portugalia, Włochy, Grecja, Hiszpania), które sobie nie poradziły. Co najgorsze, zaliczono do nich Francuzów,

FOT. AP/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4e4007b1d9

którzy nie mogą ścierpieć, że Niemcom, krajom Beneluksu i Skandynawom idzie dobrze, a strefa Morza Śródziemnego jest w kryzysie. Do tego zmaga się z uchodźcami… Ale – zdziwię pana – nie to jest największym problemem Unii.

A co?

– Trump *factor*. Donald Trump zmienił filozofię rządzenia USA. Zamiast wartości – nagie interesy. Zamiast rozwiązań multilateralnych – dwustronne deale. On Unii nie chciał ani jej nie rozumiał. Przyszedł Biden, nawet zorganizował wirtualny szczyt demokracji, ale w sensie polityki wciąż mamy *hard power*, *hard politics*. Politykę wielkomocarstwowej siły, a Unia Europejska z definicji jest *soft power*. My do takich czasów strukturalnie nie pasujemy.

Bo w Unii funkcjonuje mechanizm układania się, bo wciąż mamy jakieś wybory?

– Jesteśmy po wyborach w Niemczech. A w kwietniu przyjdą wybory we Francji. I nie można zagwarantować, że Macron wygra, gdyż po prawej stronie pojawiła się cała paleta polityków: Le Pen, Zemmour, Pécresse…

Marine Le Pen już zapowiedziała, że wyprowadzi Francję z NATO.

– Ale załóżmy, że wygra Macron – to przecież ma on inną koncepcję dalszej integracji europejskiej aniżeli Niemcy.

Chiny w kontekście Ukrainy opowiedziały się za Rosją i jej racjami.

Gorszą dla Polski.

– Niemcy mieli zawsze koncepcję integracji różnych prędkości, byle tylko mieć w Europie Orbána i szczególnie Polaków. Polska jest dla Niemiec ważna z punktu widzenia biznesu, a z punktu widzenia bezpieczeństwa – newralgiczna. My jesteśmy kilkadziesiąt kilometrów od Berlina! Niemcy zrobią wszystko, żeby ich granica bezpieczeństwa była nie na Odrze, ale na Bugu. We własnym interesie! Natomiast Francuzi tego nie czują, dla nich jesteśmy obciążeniem. Jeżeli więc wygra Macron, to będzie optował za modelem koncentrycznych kręgów. Mówił o tym niedawno w Strasburgu, w Parlamencie Europejskim. A to oznacza, że Węgry i Polska znajdą się na najdalszych orbitach procesu integracji. Nie potrafimy się rozliczyć z Komisją Europejską, nie przestrzegamy zasad państwa prawnego… Kluczowe jest więc pytanie, jaka będzie Francja po wyborach.

Mars ponad Wenus

Bo od tego zależeć będzie, jaką politykę będzie prowadziła Europa?

– Jak już powiedziałem, nie ma niestety jednej Europy! Spójrzmy na Rosję i Ukrainę. Mają rację ci, którzy przypominają, że wojna trwa tam od roku 2014. Raz bardziej intensywnie, raz mniej, ale trwa. A kiedy konflikt się nasilił, to kto się włączył? Angela Merkel, potem Olaf Scholz i Emmanuel Macron. A nie Ursula von der Leyen czy Josep Borrell. Nie instytucje, nie Unia Europejska, tylko państwa. Bo pandemia wzmocniła rolę państw narodowych.

A Niemcy wolą obłaskawić Rosjan niż eskalować napięcie.

– Nawet muszą. Dla nich Rosja i Chiny to główni partnerzy handlowi. Chiny ze względu na to, że przeszło połowa eksportu Unii Europejskiej, który idzie do Chin, to produkty niemieckie. Czasami jesteśmy ich podwykonawcami. Dla Niemiec Chiny są ważne jako producent i ogromny rynek, a Rosja jako dostawca surowców. Stąd ten nieszczęsny Nord Stream 2.

Niemcy mają kurek do niego.

– Jeśliby doszło do otwartej agresji rosyjskiej na Ukrainę, to myślę, że tego kurka Amerykanie już by nie pozwolili odkręcić, co zresztą prezydent Biden właśnie potwierdził. Jeszcze w grudniu, gdy Putin prezentował swoje ultimatum, wydawało się, że Ameryka pójdzie w kierunku Chin, a Europę zostawi Niemcom i Francuzom: róbcie swoje porządki. Ale teraz już widać, że nie. Że przysyłani są tutaj żołnierze amerykańscy, że jest już inne myślenie. Odrodził się nawet, któż mógł przypuszczać, Trójkąt Weimarski, tak cenny z naszego punktu widzenia.

Wszystko szybko się zmienia. I nie ma mądrego, który by to wszystko rozrysował. Poza paroma rzeczami, które powiedziałem na wstępie – to już nie jest świat europocentryczny, a przy tym jest to świat polityki siły i wielkich mocarstw. A Unia Europejska, jak mówiłem, to z definicji *soft power*. Tak jak pisał przed laty Robert Kagan, wybitny amerykański politolog – że Ameryka jest z Marsa, a Europa z Wenus. Ameryka to siła, a my – negocjacje, układy, uzgodnienia… To działało, gdy były czasy spokojne. A jak przychodzi czas brutalnych siłaczy, to już nie działa. I to jest teraz nasz główny problem. Macron, przykładowo, to czuje i stale podkreśla wagę „strategicznej autonomii" UE. Ale – czy wygra? A ponadto – czy jego koncepcja znajdzie należyte zrozumienie u Amerykanów i sojuszników z NATO? Same znaki zapytania, a co jeden, to ważniejszy. Świat nam zawirował, a z tego wcześniej czy później narodzi się jakiś ład, tylko dziś jeszcze do końca nie widać jaki.

To jest świat polityki siły i wielkich mocarstw. A Unia Europejska to soft power.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e4007b1d9

Patron wyklęty

Kościuszkowcy w nazwie szkoły przeszkadzają wojewodzie Radziwiłłowi

Marcin Ogdowski

INTERWENCJA

Szkoła Podstawowa nr 8 im. 1. Warszawskiej Dywizji Piechoty w Legionowie – tak brzmi pełna nazwa placówki, która znalazła się na celowniku wojewody mazowieckiego Konstantego Radziwiłła. W 2020 r. polityk PiS zwrócił się do Instytutu Pamięci Narodowej o opinię prawną dotyczącą patrona. Pod koniec 2021 r. z IPN przyszła odpowiedź, że nazwa powinna zostać zmieniona zgodnie z art. 1 ustawy o IPN, bo „upamiętnia organizację symbolizującą represyjny, autorytarny i niesuwerenny system władzy w Polsce, istniejący w latach 1944-1989". Pismo z taką konkluzją urząd wojewódzki przesłał prezydentowi Legionowa 20 stycznia br. „z uprzejmą prośbą o rozważenie dokonania zmiany patrona (...) i w tym celu skierowanie inicjatywy do Rady Miasta".

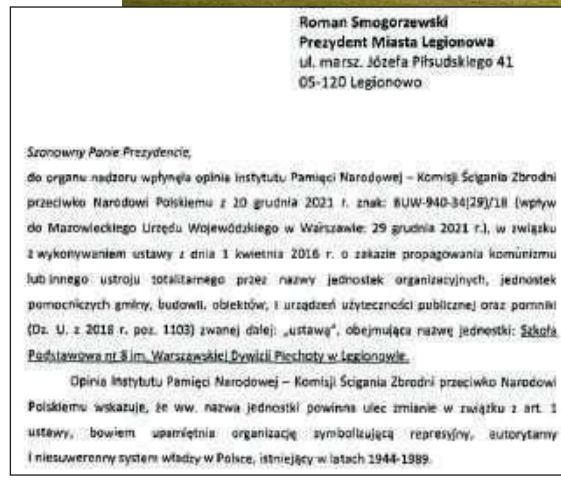

Roman Smogorzewski
Prezydent Miasta Legionowa
ul. marsz. Józefa Piłsudskiego 41
05-120 Legionowo

Szanowny Panie Prezydencie,

do organu nadzoru wpłynęła opinia Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu z 20 grudnia 2021 r. znak: BUW-940-34|29)/18 (wpływ do Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie: 29 grudnia 2021 r.), w związku z wykonywaniem ustawy z dnia 1 kwietnia 2016 r. o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy jednostek organizacyjnych, jednostek pomocniczych gminy, budowli, obiektów, i urządzeń użyteczności publicznej oraz pomników (Dz. U. z 2018 r. poz. 1103) zwanej dalej: „ustawą", obejmująca nazwę jednostki: Szkoła Podstawowa nr 8 im. Warszawskiej Dywizji Piechoty w Legionowie.

Opinia Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wskazuje, że ww. nazwa jednostki powinna ulec zmianie w związku z art. 1 ustawy, bowiem upamiętnia organizację symbolizującą represyjny, autorytarny i niesuwerenny system władzy w Polsce, istniejący w latach 1944-1989.

1. DP im. Tadeusza Kościuszki szlak bojowy zaczynała pod Lenino, a skończyła w Berlinie, po drodze wyzwalając warszawską Pragę. W boju o Legionowo i pobliską Jabłonnę poległo niemal 50 żołnierzy dywizji, a rany odniosło ponad 200. Kolejne ofiary – kilkunastu saperów – dołożyła akcja oczyszczania miasta z poniemieckich min. Ale krwawa ofiara na rzecz Legionowa nie jest jedyną zasługą jednostki, w 1955 r. przemianowanej na zmechanizowaną. 1. dywizja na dekady zrosła się z miastem. To tam stacjonowały jej sztab i część oddziałów, a inicjatywy podejmowane przez kolejnych dowódców na trwałe wpisały się w krajobraz miejscowości. W budowę szkoły podstawowej na terenach przekazanych przez wojsko zaangażowana była kadra dywizji, wykonując w czynie społecznym mnóstwo prac budowlanych i porządkowych. Kościuszkowcy pomagali wyposażyć placówkę, także w kosztowny sprzęt komputerowy. Kiedy w 2011 r. 1. WDZ rozformowano, weterani i byli żołnierze powołali Stowarzyszenie Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców. Jednym z celów jego działania była dalsza opieka nad SP nr 8.

– Zabiegi wojewody traktujemy jako próbę wyrugowania z historii jednego z najbardziej zasłużonych związków taktycznych Wojska Polskiego – mówi gen. Zenon Poznański, niegdyś dowódca dywizji, współzałożyciel SORK. I przypomina, że miejsca bitew stoczonych przez 1. WDP widnieją na Grobie Nieznanego Żołnierza, a wojskowi z dywizji brali udział we wszystkich powojennych misjach WP. – Jako stowarzyszenie nie godzimy się na zmianę nazwy i będziemy zabiegać o jej zachowanie – zapewnia oficer, przed laty inicjator budowy szkoły.

Klimat w mieście sprzyja oporowi. Dobrze oddaje go wpis na jednym z miejskich forów. „A kto wybudował tę szkołę? – pyta mieszkaniec. – Pewnie wojewoda nie wie. (...) Platformersi zniszczyli 1. Dywizję Zmechanizowaną, a ci chcą zatrzeć ślady, że coś takiego istniało. (...) Ale historii Legionowa i jego związków z wojskiem wytrzeć się nie da. Ciekawe, że nazwa naszego miasta, nawiązująca do legionów Piłsudskiego, przetrwała czasy komuny...".

Inicjatywa jest teraz po stronie miejskich radnych. Prezydent Roman Smogorzewski zapowiedział sesję rady w tej sprawie na 23 lutego. Jeszcze w lutym w kwestii ewentualnych zmian mają się wypowiedzieć również przedstawiciele samorządu szkolnego, rady rodziców i rady pedagogicznej SP nr 8. SORK już teraz wyposażyło zainteresowanych w ośmiostronicowe opracowanie z miejscowego muzeum historycznego, krytyczne wobec opinii IPN. Instytut z kolei proponuje przeniesienie podmiotowości patrona – z dywizji na jej żołnierzy. Ósemka nosiłaby wówczas nazwę Żołnierzy 1. DP. Takie zręczne gumkowanie...

Do sprawy powrócimy.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 4e4007b1d9

W katastrofie pod pod Szczekocinami zginęło 16 osób, a 61 zostało ciężko rannych, 3 marca 2012 r.

Sarmaci na torach

Likwidacja kolei miała charakter klasowy. Jej ofiary to osoby z mniejszych miejscowości pozbawione dojazdu do pracy czy szkoły

Łukasz Dąbrowiecki

W albumie „Pożegnanie z komuną" z 1990 r. Andrzej Mleczko opublikował rysunek, na którym widać dwóch nieogolonych mężczyzn w czapkach uszankach. Z kieszeni połatanych płaszczy wystają im gazety, stoją przy stoliku barowym, ćmią pety i popijają ze szklanek, w których tkwią łyżeczki do herbaty. Jeden mówi: „Równali, równali i zrównali". Na przełomie lat 80. i 90. był to popularny żart. Postacie z rysunku miały być kwintesencją nędzy, do której rzekomo doprowadził realny socjalizm. Kryzys lat 80. był niezaprzeczalny. Państwo nie dość, że spłacało długi zagraniczne, to dodatkowo objęte było sankcjami gospodarczymi w wyniku wprowadzenia stanu wojennego. Szybko również rosła liczba mieszkańców, którym trzeba było zapewniać chociażby mieszkania – za co ówczesne państwo brało odpowiedzialność. Tym bardziej z dzisiejszego punktu widzenia może zaskakiwać, że nawet taka „schyłkowa komuna" mogła się poszczycić sukcesami na skalę europejską. I to nie w rekordowych spustach surówki.

Podobno. Niemożliwe!

„Tempo modernizowania infrastruktury kolejowej w drugiej połowie lat 80. było imponujące nawet w porównaniu z dzisiejszymi czasami, gdy polska kolej deszczem funduszy z Unii Europejskiej zmuszona jest do realizacji szerokiego zakresu inwestycji", pisze redaktor magazynu „Z Biegiem Szyn" Karol Trammer w wyśmienitej i zarazem wstrząsającej książce „Ostre cięcie. Jak niszczono polską kolej". Zwiastuny degradacji kolei odnajduje on jeszcze pod rządami Wojciecha Jaruzelskiego. Nim jednak w III RP spisano PKP na straty i zaczęto z premedytacją je sabotować, w PRL nastąpił wielki skok modernizacyjny. Między innymi dogęszczano przystanki kolejowe, by ułatwić dojazdy osobom z małych miejscowości i wsi. Rozbudowa kolei była skoordynowana z rozwojem urbanizacji. Wymieniono tysiące kilometrów torów i tysiące zwrotnic. W latach 80. remonty przeprowadzano metodą kaskadową. Zużyte elementy z głównych magistral wymieniano na nowe, ale stare selekcjonowano, odnawiano

eprasa.pl 4e4007b1d9

i za ich pomocą podnoszono standard linii peryferyjnych. Dziś taka metoda uzyskałaby stempel innowacyjnego elementu Gospodarki Obwarzanka, Eko i Green. Wtedy krytycy patrzyli na to jak na desperackie łatanie niedoborów.

Dwa osiągnięcia zasługują na szczególną uwagę. Pierwsze to elektryfikacja. W latach 80. rozbudowa trakcji elektrycznej była tak duża, że Polska rok do roku mogła się pochwalić rekordami w skali międzynarodowej. Elektryfikowano po 500 km linii kolejowych rocznie, z absolutnym rekordem na europejskim poziomie w roku 1985, gdy do eksploatacji przekazano 600 km sieci trakcyjnej. Elektryfikowano nie tylko najważniejsze korytarze transportowe, ale również linie lokalne. W 1988 r. osiągnięto 10 tys. km linii zelektryfikowanych. To dzięki tamtemu wysiłkowi dziś Polska może się chwalić wyższym procentem zelektryfikowanych linii kolejowych niż Niemcy. Choć to oczywiście nie dotyczy liczb bezwzględnych – Polska ma obecnie znacznie rzadszą sieć kolejową.

Drugie osiągnięcie może się wydać szczególnie zaskakujące. Centralna Magistrala Kolejowa wybudowana w latach 1971-1977 na potrzeby towarowe – a od 1984 r. służąca również transportowi pasażerskiemu – była jedną z pierwszych na świecie linii o parametrach kolei dużych prędkości. Docelowo miała umożliwiać podróżowanie z prędkością 250 km/godz. Pierwszą taką linię otwarto w Japonii w 1964 r. W Europie Polska wyprzedziła m.in. Francję, gdzie pierwsza linia kolei dużych prędkości powstała w 1981 r., oraz Niemcy, które otworzyły takie odcinki dopiero w 1991 r.

Niestety, władze PRL ani późniejsze rządy nie potrafiły dostosować taboru do parametrów linii. Ani na trasie szybkiej kolei, ani na niezelektryfikowanych połączeniach lokalnych.

W Czechosłowacji ciężkie składy zastąpiono setkami lekkich, małych szynobusów, które wymagały minimalnej obsługi i nie obciążały torowisk. W Polsce do dziś popularnym składem elektrycznym jest EN57. Stary, zasobochłonny, ciężki i powolny. Modelowi stuknęła w tym roku sześćdziesiątka. To była najdłużej produkowana seria pociągu w Europie. Tu też Polska pobiła rekord. Produkcja trwała od 1962 do 1993 r. Konstrukcja jednostek opierała się na projekcie jeszcze przedwojennym. Pierwszy, zabytkowy egzemplarz EN57-001 niszczeje zresztą na bocznicy w Przeworsku. Mówi się, że czeka na remont.

Dziś powszechna elektryfikacja transportu jest jednym z najważniejszych narzędzi w osiągnięciu celów klimatycznych. Przypomnijmy, że unijny program „Gotowi na 55" zakłada redukcję emisji gazów cieplarnianych o 55% do 2030 r. Rząd PiS jest jego głównym przeciwnikiem, bo kraj pozostaje w ogonie transformacji energetycznej. Bylibyśmy obecnie w zupełnie innym miejscu, gdyby po zmianie ustroju nie przerwano przygotowywanego u schyłku PRL programu transformacji energetycznej, opartego na elektryfikacji transportu i nowych, niskoemisyjnych źródłach energii – elektrowniach jądrowych.

Karol Trammer w książce „Ostre cięcie" pokazuje, jak w III RP z premedytacją spisano PKP na straty.

W PRL dogęszczano przystanki kolejowe, by ułatwić dojazdy osobom z małych miejscowości i wsi.

Balcerowicz's Boys and Maria Wasiak

Leszek Balcerowicz jest przez liberałów gospodarczych i beneficjentów transformacji ustrojowej ubóstwiany. Ale ma nie mniej liczne grono zdeklarowanych przeciwników, którzy, uważając go za symbol destrukcji zarówno przemysłu, jak i sieci wsparcia społecznego, zwykle przypisują mu nadmiar mocy sprawczych. Guru metody szokowej miał bowiem wielu akolitów, którzy brali udział w decydowaniu o różnych dziedzinach gospodarki. Jedną z nich była kolej, a followersi Balcerowicza przez dwie dekady zajmowali tam stanowiska decyzyjne, w sposób planowy wygaszając kolejnictwo. Niezależnie od barw politycznych partii sprawujących rządy. W „Ostrym cięciu" Karol Trammer szeroko omawia ich „dokonania".

Wbrew częstej opinii zapaść kolei rozpoczynająca się w latach 90. nie była efektem bezwładu czy nieudolności „kolejarskich wąsaczy", ale stanowiła wyrażaną wprost doktrynę nowych władz. Pierwszych cięć dokonywał wywodzący się z Solidarności dyrektor generalny PKP Andrzej Janiszewski. Za PRL zaangażowany w projektowanie Centralnej Magistrali Kolejowej, w III RP pozyskiwał fundusze na modernizację kolei w kierunku usługi dla wybranych. To za jego czasów uruchomiono pierwsze pociągi InterCity między głównymi miastami, a zamknięto tysiące kilometrów linii kolejowych łączących mniejsze miejscowości. W 1994 r. Dyrekcja Generalna PKP wydała broszurę „Nasza kolej. Dlaczego i jak ją restrukturyzować", w której odnajdujemy najbardziej kuriozalne zdanie, jakie mogło wyjść od dyrekcji jakiegokolwiek przedsiębiorstwa: „Strategia PKP musi zmierzać do wygaszania popytu na kolejowe przewozy lokalne, a tym samym do przesunięcia tego popytu na transport samochodowy". Jak postanowiono, tak zrobiono. Gdy w 1990 r. Janiszewski obejmował stanowisko dyrektora generalnego PKP, koleją realizowano 789,9 mln podróży rocznie. Gdy w 1996 r. odchodził ze stanowiska, zrealizowanych podróży było już tylko 434,2 mln. Co daje 45-procentowy spadek w zaledwie sześć lat.

Celowo wywoływaną zapaść uzyskiwano, po pierwsze, odcinając linie

eprasa.pl 4e4007b1d9

lokalne od magistral, które przestawały być zasilane mniejszymi strumieniami podróżnych. Po drugie, likwidowano mijanki, co wydłużało czas oczekiwania pociągów, które musiały przepuszczać szybsze składy. Po trzecie, stacje kolejowe degradowano do rangi przystanków. Na przełomie XX i XXI w. taki los spotkał 350 stacji. Po czwarte, sporządzano rozkłady jazdy, w których pojedyncze pociągi jeździły o absurdalnych porach, niedostosowanych do godzin pracy, nauki czy rozrywki. Po piąte, rozbijano skomunikowanie pociągów na stacjach przesiadkowych. To tylko kilka z całego arsenału perfidnych metod stosowanych w celu zabicia kolei.

Kolejnym wielkim egzekutorem był Krzysztof Celiński. Za jego prezesury w zarządzie PKP nadszedł dla polskich kolei najczarniejszy dzień: 3 kwietnia 2000 r. za jednym zamachem zlikwidowano połączenia pasażerskie na 1028 km linii kolejowych. Zaledwie dwa i pół miesiąca później, 24 czerwca 2000 r., dorzucono kolejne cięcia, likwidując jeszcze 678 km. Daje to ponad 1700 km zamkniętych w ciągu jednego roku. Te działania otrzymały niechlubne miano „siekiery Celińskiego". Poza Wielką Brytanią Polska jest jedynym krajem na świecie, w którym dokonano tak drastycznych redukcji. I to znając już negatywne skutki cięć brytyjskich z lat 60. XX w. Celiński był odporny na partyjne roszady w kraju, nieważne, kto rządził: ZChN, Unia Wolności czy SLD. W 2003 r. ówczesny prezydent stolicy Lech Kaczyński powołał go na stanowisko prezesa Metra Warszawskiego.

Stacja kolejowa w Wielbarku przestała działać w 2001 r.

Podobnie zaimpregnowana na zmiany polityczne była Maria Wasiak, która w latach 1998-2000 była szefową gabinetu politycznego ministra Tadeusza Syryjczyka (wiceprezesa Unii Wolności, której szefował Balcerowicz). Wtedy zadecydowano o komercjalizacji, restrukturyzacji i prywatyzacji PKP. Później Wasiak brała udział w przekształceniach własnościowych, by w końcu zostać szefową PKP Przewozy Regionalne, a następnie przenieść się do PKP SA na stanowisko dyrektorki Biura Prywatyzacji. Przetrwała rządy SLD, PiS i PO, Ewa Kopacz awansowała ją zaś do rangi ministra, musiała więc być ceniona jako ekspertka. Jakimi zatem sukcesami mogła się pochwalić? Po okresie jej rządów w PKP PR spółka ogłosiła, że ze względu na zły stan finansowy likwiduje jedną trzecią połączeń na terenie całego kraju. W życie wprowadzał to już nowy prezes, Tadeusz Matyla, nazywając wycinanie połączeń planem naprawczym. Maria Wasiak prowadziła nieustającą restrukturyzację, trwającą półtorej dekady. Gdy wiązała się z PKP, pasażerowie odbyli za pośrednictwem przedsiębiorstwa ponad 360 mln podróży, gdy odchodziła w 2014 r., liczba ta spadła do 270 mln. Za tę „restrukturyzację" inkasowała po kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie.

Centralna Magistrala Kolejowa była jedną z pierwszych na świecie linii o parametrach kolei dużych prędkości.

Kolej z podziałem na klasy

Czy „dostosowanie majątku trwałego do aktualnych potrzeb przewozowych" spowodowało, że reszta majątku PKP była utrzymywana jeśli nie we wzorowym, to przynajmniej znośnym stanie? Wszyscy jeżdżący koleją wiedzą, że nie. Autor „Ostrego cięcia" demonstruje na przykładach, jak nawet modernizacje były prowadzone w taki sposób, by skonsumować subwencje, ale zaniżyć poziom świadczonych usług. Brak planowania, chaos i dezynwoltura musiały się skończyć tragedią.

13 lipca 2010 r. na linii kolejowej Szczecinek-Słupsk w okolicy Korzybia doszło do czołowego zderzenia pociągów należących do Przewozów Regionalnych. Rannych zostało 37 osób. Był to sygnał alarmowy, że na kolei dzieje się dramatycznie źle. Został zbagatelizowany.

Dwa lata później, 12 sierpnia 2011 r., wykoleił się pociąg TLK relacji Warszawa Wschodnia-Katowice. W wypadku straciły życie dwie osoby.

W końcu, niespełna rok później, 3 marca 2012 r., pod Szczekocinami o godz. 20.55 doszło do czołowego zderzenia pociągu TLK „Brzechwa" ze składem InterRegio „Matejko".

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA, PAP/TOMASZ WASZCZUK

eprasa.pl 4e4007b1d9

W katastrofie zginęło 16 osób, a 61 zostało ciężko rannych.

Co rzuca się w oczy? We wszystkich tych sprawach skazani zostali pracownicy niskiego szczebla – maszyniści czy dyżurni ruchu. Sądy pominęły natomiast ludzi wyższego szczebla odpowiedzialnych za fatalne przygotowanie procedur, za brak szkoleń, za niedziałające lub wadliwie działające urządzenia, za urągające wszelkim normom warunki pracy. Znów u Trammera znajdziemy tego przykłady. Jeden z dróżników musiał obsługiwać ruch pociągów, siedząc przy biurku w kontenerze zaopatrzonym w trzy różne komputery z trzema ekranami i trzema myszkami, przeznaczonymi do wykonywania pracy przez jedną osobę, a do zaspokojenia potrzeb fizjologicznych pracownik miał ustawiony obok kontenera toi toi. Dwa lata po wypadku pod Szczekocinami Maria Wasiak opuszczała stanowisko w PKP SA zaopatrzona w odprawę wysokości ponad pół miliona złotych.

Jak na dłoni widać tu wielokrotnie złożony charakter klasowy krucjaty przeciw kolejnictwu. Pierwszymi jej ofiarami stały się osoby z mniejszych miejscowości, z dnia na dzień pozbawione możliwości dojazdu do pracy, szkoły, ośrodka zdrowia czy instytucji kultury. Stworzyło to presję na zakup prywatnych samochodów – co generowało kolejne problemy systemowe. Ofiarami byli również pracownicy, zmuszani do wypełniania skomplikowanych obowiązków w poniżających, wykańczających warunkach, obsługując wadliwie działającą infrastrukturę i niedostosowany, psujący się sprzęt. Gdy doszło do łatwej do przewidzenia tragedii, to także oni byli ofiarami wyroków sądowych. Klasa zarządzająca była nietykalna, spadła na cztery łapy, zainkasowała premie i grzeje kolejne stołki. W kontekście historyczno-socjologicznym to odtworzenie sarmackich relacji pańszczyźnianych.

Czym to elitarne, antyrozwojowe myślenie skutkowało, obrazują dwie mapy. Jedna, umieszczana w każdym składzie PKP, to słynna czarno-biała mapka linii kolejowych z okresu PRL. W roku 1989 jeszcze „widać zabory": obszary dawnego zaboru pruskiego i częściowo austro-węgierskiego są pokryte gęstą siecią linii kolejowych, w dawnym zaborze rosyjskim jest ich znacznie mniej, łączą głównie większe ośrodki miejskie. Na drugiej, z 2009 r. nie ma już różnicy. W całym kraju sieć połączeń kolejowych jest równie rzadka. Równali, równali i zrównali...

Uzdrowić kolej, zobacz jak...

Kolejnictwo to nie program kosmiczny, niemniej jednak i tu trzeba myśleć systemowo. Głównym celem i zadaniem kolei jest zaspokajanie potrzeby mobilności wszystkich obywateli. Od tego rośnie zysk netto całości społeczeństwa. Tymczasem w Polsce pokutuje sarmackie pozerstwo – konsumpcja dotacji unijnych i huczne przecięcie wstęgi są ważniejsze od funkcji systemowej, którą ma kolej pełnić. Wyremontowana za setki milionów linia kolejowa nie wygeneruje ruchu pasażerów, jeśli będą po niej jeździć cztery pary pociągów na dobę. Eksperci kolejowi od lat podają klika reguł, które służą szybkiemu uzdrowieniu kolei. Po pierwsze, połączenia muszą być liczne. Absolutnym minimum jest pociąg co dwie godziny w każdym kierunku z danej stacji od świtu do późnego wieczora. Na liniach łączących miasta kilkudziesięciotysięczne pociąg musi odjeżdżać co godzinę, natomiast na liniach aglomeracyjnych dwa razy na godzinę. W Niemczech na podobnych liniach pociągi kursują odpowiednio co pół godziny i co 15 minut. Po drugie, taktowanie – odjazdy pociągów w tych samych odstępach czasu, tak by podróżni nie musieli za każdym razem sprawdzać rozkładu. Na przykład odjazd z danej stacji zawsze kwadrans po pełnej godzinie. To zwiększa swobodę i płynność podróżowania. Każde dodatkowe działanie, które trzeba wykonać między podjęciem decyzji o podróży a wyborem środka transportu, obniża prawdopodobieństwo wyboru pociągu. Po trzecie, skomunikowanie, nie tylko z innymi połączeniami kolejowymi, ale też z odjazdami gminnych autobusów. Po czwarte, kraj nie może być podzielony na udzielne księstwa wojewódzkie. Koleje mają łączyć jednostki administracyjne, a nie kursować tylko do ich granic. Po piąte, całkowite moratorium na likwidację linii kolejowych oraz rewitalizacja tych, które są do odratowania. Jeśli nie zostaną spełnione te warunki, nawet najszczodrzej odremontowane stacje będą świecić pustkami, a kierowcy będą stać w oparach spalin na zakorkowanych drogach.

3 kwietnia 2000 r. zlikwidowano połączenia pasażerskie na 1028 km linii kolejowych. 24 czerwca kolejne 678 km. W ciągu roku zamknięto ponad 1700 km połączeń.

Łukasz Dąbrowiecki

15 lutego 2021 roku odszedł

ANDRZEJ KRATIUK

nasz Przyjaciel, ekonomista i prawnik, w młodości działacz ruchu studenckiego. Społecznik zaangażowany we wspieranie chorych onkologicznie. W pierwszą rocznicę śmierci pozostaje w naszej serdecznej i wdzięcznej pamięci.

Przyjaciele z SZSP i ZSP

eprasa.pl 4e4007b1d9

Spór o Turów zakończony?

PiS mówi o sukcesie, choć niedawno skarga Czechów była niemieckim spiskiem

Łukasz Grzesiczak

Spór o kopalnię odkrywkową przy polsko-czeskiej granicy kosztował nas 45 mln euro odszkodowania dla Czechów i 70 mln kary dla Komisji Europejskiej oraz głowę polskiego ambasadora, a to nie koniec.

W piątek 4 lutego na konto kraju (województwa) libereckiego, u granic którego leży polska Kopalnia Węgla Brunatnego Turów, wpłynęło 25 mln euro z polskiego budżetu. Dzień wcześniej znalazło się na nim 10 mln euro przesłane przez firmę PGE, do której należy kopalnia i elektrownia Turów. Dodatkowo 10 mln euro z polskiego budżetu dostało czeskie ministerstwo środowiska. W odpowiedzi Czesi wycofali skargę na Polskę z Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. To konsekwencja porozumienia, które podpisali w Pradze premier Mateusz Morawiecki i nowy czeski premier Petr Fiala z konserwatywnej Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS). Fiala stanął na czele szerokiej, bo składającej się z pięciu podmiotów, koalicji partii, które po październikowych wyborach odsunęły od władzy Andreja Babiša. W ramach umowy między rządami Polska zobowiązała się do budowy na swój koszt bariery ochronnej wód podziemnych, która ma zapobiec ich odpływaniu z terenu Czech. Koszt takiego przedsięwzięcia to ok. 17 mln zł. Dodatkowo strona polska zbuduje wał mający zabezpieczyć czeskich mieszkańców regionu przed hałasem i pyłami. Jak stanowi 14-stronicowe porozumienie, ma on być budowany jedynie między godz. 6 a 22.

Polska, jak wynika z umowy, którą czeskie ministerstwo środowiska opublikowało na swoich stronach, zobowiązała się do pełnej przejrzystości, czyli dopuszczenia czeskich ekspertów do rozpoznania sytuacji w kopalni Turów i przedstawienia Czechom wszystkich dokumentów w tej sprawie. Obie strony zobowiązały się poza tym do stworzenia wspólnego budżetu, z którego będą finansowane projekty na rzecz poprawy jakości środowiska w rejonie kopalni. Czesi i Polacy na ten cel wniosą rocznie po 250 tys. euro. Umowę można wypowiedzieć po pięciu latach.

Miliony kary

Polski rząd chwali się, że „porozumienie wynegocjowane przez premiera Morawieckiego jest dla Polski dużo korzystniejsze niż pierwotna wersja umowy zaproponowana przez Czechy. Opozycja jest innego zdania. „Dwa lata temu Czesi chcieli, żeby Polska zbudowała w Turowie wał i filtry za 30 mln zł. Rok temu dodatkowo domagali się odszkodowania 30 mln euro. Dziś rząd PiS ma zbudować wał i filtry, system monitoringu szkód, ma im zapłacić 45 mln euro i musi zapłacić 70 mln euro kary do TSUE. Mistrzowie", podsumował europoseł Dariusz Rosati. „Polska-Unia: 1-0. Bitwa wygrana", oceniła natomiast polsko-czeskie porozumienie Ewa Kozanecka, posłanka Prawa i Sprawiedliwości, członkini Komisji ds. Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych. Jednak przebiegu tego rzekomo zwycięskiego meczu PiS nie chce przedstawić. Podczas zebrania Komisji Spraw Zagranicznych 8 lutego posłowie opozycji wnioskowali o publikację białej księgi, w której znalazłyby się wszystkie rządowe dokumenty dotyczące polsko-czeskich negocjacji o kopalnię Turów. Wniosek nie przeszedł. Przedstawiciel rządu przekonywał, że wszystkie dokumenty są dostępne opinii publicznej, w tym dziennikarzom, w ramach prośby o dostęp do informacji publicznej, co akurat nie jest zgodne z faktami, o czym mógł się przekonać autor tego artykułu.

Polsko-czeski spór zaostrzył się, kiedy 21 maja 2021 r. Trybunał Sprawiedliwości UE nakazał Polsce natychmiastowe zaprzestanie wydobycia węgla brunatnego w kopalni Turów na polsko-czeskim pograniczu. Polska nie wstrzymała wydobycia, dlatego 20 września TSUE nakazał zapłacenie kary w wysokości 0,5 mln euro dziennie za nieprzestrzeganie tego postanowienia.

W skardze do TSUE Czesi podnosili kwestie ochrony środowiska. Przekonywali, że kopalnia powoduje masowy odpływ wód podziemnych z jej terytorium do Polski. Oskarżyli kopalnię, której polski rząd przedłużył działanie przynajmniej do 2044 r., o swoje problemy z dostępem do wody w trzech miejscowościach na pograniczu: Oldřichov na Hranicích, Uhelná i Václavice. Problem z wodą ma dotyczyć ok. 700 osób.

Zaskoczeni

Polski rząd skargą Czechów wydawał się zaskoczony, choć sąsiedzi wielokrotnie podnosili niewygodną dla naszej strony kwestię podczas obrad Polsko-Czeskiej Komisji Międzyrządowej ds. Współpracy Transgranicznej. Po raz pierwszy

> Interesom Polski w Pradze nie pomogło to, że przez ponad rok nie mieliśmy ambasadora w Czechach.

eprasa.pl 4e4007b1d9

Premier Mateusz Morawiecki i nowy szef czeskiego rządu Petr Fiala podpisali w Pradze umowę w sprawie kopalni Turów.

już w 2014 r. Sprawa przyśpieszyła w 2015 r., kiedy Polacy poinformowali Czechów o planach poszerzenia kopalni. Problemy z nią były jednym z tematów międzyrządowych konsultacji w Warszawie w 2016 r., a rok później przedmiotem spotkania ówczesnych ministrów środowiska Czech i Polski – Richarda Brabca i Jana Szyszki. Wreszcie we wrześniu 2020 r. władze czeskie złożyły formalną skargę do Komisji Europejskiej, wymaganą przed wniesieniem skargi do TSUE. W listopadzie 2020 r. Komisja Europejska zorganizowała spotkanie mediacyjne, na którym wysłuchała stanowisk Czech i Polski. Na spotkaniu nie udało się doprowadzić do zawarcia kompromisu. W grudniu 2020 r. czeskie ministerstwo środowiska i ministerstwo spraw zagranicznych oraz władze województwa libereckiego wspólnie ogłosiły, że polska odpowiedź na ich postulaty jest niewystarczająca i nie może zostać zaakceptowana. A 26 lutego 2021 r. Czechy ostatecznie złożyły do TSUE skargę na Polskę, domagając się także prewencyjnego zatrzymania wydobycia węgla w kopalni.

Trybunał Sprawiedliwości UE przychylił się do wniosku Czech, a kiedy Polska nie zastosowała się do wyroku, Bruksela zdecydowała o nałożeniu kar na Warszawę. Politycy PiS zapowiedzieli, że wydobycia nie wstrzymają, bo skutkowałoby to zagrożeniem bezpieczeństwa energetycznego Polski. Rząd zdecydował też, że kary – ta miała iść na rzecz Komisji Europejskiej, a nie Pragi – nie zapłaci, i postawił na bezpośrednie negocjacje z Czechami, których celem miało być wycofanie przez Pragę skargi na kopalnię. Jednocześnie, czego przykładem może być szczególnie zaangażowana w obronę Turowa europosłanka Anna Zalewska, deprecjonowali wyrok TSUE i przekonywali Polaków, na przekór publicznie znanym analizom polskich i czeskich instytucji państwowych, że problem braku wody po czeskiej stronie nie istnieje. Niektóre polskie media jeździły do Czech i z ukrycia fotografowały przydomowe dmuchane baseniki, co miało być dowodem czeskiego kłamstwa. Skończyło się tym, że czeski dziennikarz Filip Harzer został wyproszony z baru w Bogatyni, który ogłosił się strefą zamkniętą dla Czechów.

PGE pokazywała wyniki krytykowanego przez socjologów sondażu, który rzekomo miał pokazywać, że

Czesi wycofali skargę z TSUE, premier Morawiecki przekonuje, że tym samym sprawa jest zakończona.

Czesi wcale nie popierają działań swojego rządu w konflikcie z Polską. Pojawił się wątek niemieckiego spisku – za czeską skargą mieli w rzeczywistości stać Niemcy chcący zniszczyć polską energetykę.

Im dłużej polski rząd był bezsilny w negocjacjach z Czechami, tym bardziej zwracał uwagę na trwającą u naszych sąsiadów kampanię wyborczą i przekonywał, że działania czeskiego rządu są obliczone na zwiększenie poparcia w wyborach do Izby Poselskiej (tamtejszego sejmu). To także nie miało pokrycia

FOT. EPA/PAP

eprasa.pl 4e4007b1d9

w faktach. Polsko-czeski spór o kopalnię Turów był w Czechach tematem marginalnym, co podkreślali eksperci od czeskiej polityki. Serwis factcheckingowy Demagog.org.pl sprawdził, że sprawa Turowa nie była poruszana podczas dwugodzinnej debaty kandydatów na urząd premiera w telewizji CNN Prima NEWS. Oficjalne konta liderów czeskiej polityki na Twitterze niemal milczały o przygranicznym sporze, a czeskie media w czasie kampanii wyborczej częściej niż o kopalni Turów pisały o papieżu Franciszku (przypomnijmy, że dzieje się to w jednym z najbardziej zateizowanych państw w Europie).

Strona polska zbuduje wał mający zabezpieczyć czeskich mieszkańców regionu przed hałasem i pyłami.

Szczerość ambasadora

Z pewnością polskim interesom w Pradze nie pomógł fakt, że przez ponad rok stanowisko polskiego ambasadora w Czechach nie było obsadzone, po tym jak z powodu zarzutów o mobbing i dyskryminację pracowników odwołano Barbarę Ćwioro, bliską współpracownicę Witolda Waszczykowskiego. Nowy ambasador Mirosław Jasiński oficjalnie objął urząd ambasadora RP w Pradze 20 grudnia 2021 r., a już 6 stycznia rzecznik rządu Piotr Müller poinformował, że premier Mateusz Morawiecki zdecydował o rozpoczęciu procedury jego odwołania. Powód? Według rzecznika rządu Jasiński nie dbał o polskie interesy. Anna Zalewska z PiS mówiła nawet o „zdradzie dyplomatycznej".

Powodem odwołania stał się krótki wywiad, którego Mirosław Jasiński udzielił polskiej redakcji „Deutsche Welle". Tekst, który ukazał się po polsku, sprawia wrażenie pogawędki znajomych, a nowy ambasador opowiada w nim o sympatii do festiwalu filmowego Kino na Granicy, który co roku odbywa się w Cieszynie i Czeskim Cieszynie, oraz o planach odbudowania polonistyki na Uniwersytecie Karola w Pradze. W pewnym momencie Mirosław Jasiński, zapytany o kopalnię Turów, odpowiedział: „Bądźmy więc uczciwi i przyznajmy, że powodem sporu była jednak arogancja pewnych ludzi (...). Przede wszystkim z dyrekcji kopalni. Potem jest dyrekcja PGE, a całe lata świetlne dalej ministerstwa i premier. Trzeba te szkody naprawić natychmiast, bo jeśli ktoś sobie kopie dół, to nie znaczy, że ludzie z sąsiedztwa mają zostać bez wody. Nie wierzę w to, żeby wielkiej kopalni nie było stać na zrobienie wodociągu dla kilkudziesięciu gospodarstw".

Jego odpowiedź zaskoczyła, wcześniej bowiem polski rząd oficjalnie komunikował ostre stanowisko w konflikcie o Turów. Można było odnieść wrażenie, że wypowiedź Mirosława Jasińskiego ma być zapowiedzią złagodzenia polskiego stanowiska w celu porozumienia z Czechami. Szybko jednak się okazało, że Jasiński – wszystko na to wskazuje – zmiany polskiego kursu nie konsultował z rządem w Warszawie. I choć w zasadzie miał rację, został odwołany. Nie uratował go nawet list, w którym bronili go czescy przyjaciele z Solidarności Polsko-Czechosłowackiej.

Kłopot z wypowiedzią Mirosława Jasińskiego najlepiej chyba oddał Jan Sechter, były ambasador Czech w Warszawie. „Wyrażam ubolewanie, że ambasador Polski w Pradze Mirosław Jasiński straci stanowisko. Ambasador musi bez wątpienia i przede wszystkim być lojalny wobec swojego rządu i swojego kraju. Ale nie może być człowiekiem bez swojego zdania, niezdolnym do jego publicznego wyrażania, czy też tylko *on*/*off* rzecznikiem oficjalnych instrukcji, w przeciwnym razie traci wartość dodaną dla stosunków między dwoma krajami", napisał.

Prawie miesiąc po wywiadzie ambasadora Jasińskiego polski rząd porozumiał się z Czechami w sprawie Turowa. Prawo i Sprawiedliwość mówi o sukcesie. Choć jeszcze kilka miesięcy temu skarga Czechów była niemieckim spiskiem, decyzja TSUE – bezprawna, a informacje o czeskich kłopotach z wodą wyssane z palca.

Czesi wycofali skargę z TSUE, premier Mateusz Morawiecki przekonuje, że tym samym sprawa jest zakończona. Ale nie jest. Pozostaje jeszcze 70 mln euro kary za niezastosowanie się do decyzji TSUE, rząd jednak nie chce płacić. Rzecznik Komisji Europejskiej Balazs Ujvari poinformował, że KE wysłała do Warszawy list w związku z niezapłaconymi karami za działanie kopalni. Planuje potrącić Polsce kary za Turów z funduszy unijnych. Na razie za pierwszy miesiąc zwłoki, z odsetkami. „Jest to list, który chce wyłudzić pieniądze od Polski za to, że nie zamknęliśmy kopalni", grzmiała na Twitterze pisowska europosłanka Anna Zalewska, która po podpisaniu przez polski rząd porozumienia z Czechami w sprawie Turowa płynnie przeszła z ataku na Pragę do ofensywy przeciwko Brukseli.

Łukasz Grzesiczak
l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

W nowym numerze tygodnika „NIE":
Święczkowski – 150 kilo żywej niegodziwości.

eprasa.pl 4e4007b1d9

Chaos, hejt, niskie płace

Czy młodzi medycy wyjadą?

GILBERT KOLBE
– magister pielęgniarstwa, rzecznik prasowy ogólnopolskiego komitetu protestacyjno-strajkowego pracowników ochrony zdrowia, absolwent studiów EMBA z zarządzania w ochronie zdrowia.

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Jak się czujesz, patrząc na imposybilizm rządzących w piątej już fali pandemii? Tuż przed naszą rozmową zwróciłeś się na Twitterze do prezydenta Andrzeja Dudy z prośbą, aby nie zajmował stanowiska w sprawach, o których nie ma pojęcia.

– Tak, prezydent porównał wariant omikron do grypy… Imposybilizm to w ostatnim czasie słowo odmieniane przez wszystkie przypadki. Pandemia pokazuje zaś, że brakuje osób, które byłyby w stanie ponieść ciężar zreformowania systemu ochrony zdrowia. Oczywiście podnoszony jest argument, że państwo nie ma środków na modernizację, chociaż w ramach Polskiego Ładu nakłady mają się zwiększyć. Jednak tu nie chodzi o sprzęt ani – jak to ładnie mówi minister Niedzielski – zwiększanie bazy łóżkowej. Nie widać konkretnych kroków, aby ten system zreformować. Owszem, głos zabierają politycy, natomiast nikt nie konsultuje się z ekspertami, czego przykładem jest Rada Medyczna przy premierze, która, mówiąc kolokwialnie, wściekła się i rzuciła papierami, bo nikt nie słuchał jej zaleceń.

W październiku 2021 r. mówiłeś, że rządzący nie są w stanie zagwarantować bezpieczeństwa zdrowotnego Polkom i Polakom. Mamy początek lutego 2022 r., a Polska już zdążyła zostać ogłoszona „zakładem pogrzebowym Europy”.

– Dodajmy, że „The Lancet” właśnie opublikował artykuł, który można streścić: „Polska – przykład tego, jak nie walczyć z pandemią”. Dwa tygodnie temu udzieliłem bardzo krótkiego wywiadu Associated Press i poszedł on na całe Stany Zjednoczone. Po komentarzach pod tekstami np. z „Washington Post” widać, że ludzie patrzą z niedowierzaniem na to, co się dzieje nad Wisłą. Szczególnie że są kraje, gdzie prowadzi się przeróżne działania, a w Polsce jest tzw. wolna amerykanka.

No tak, słyszymy od polityków o „genie sprzeciwu” i że nic się nie da od tych okropnych obywateli wyegzekwować.

– Jeśli mamy Komisję Zdrowia, na której posiedzenie wchodzą posłowie Konfederacji bez maseczek i w ogóle ignorują wszelkie zasady, znakomicie to pokazuje, jakie po dwóch latach pandemii wnioski i konsekwencje wyciąga rząd, parlament i wreszcie przewodniczący komisji zdrowia, poseł PiS Tomasz Latos.

A jak wiadomo, ryba psuje się od głowy.

– I to jest dla mnie przerażające, bo na nikim niestety nie robi już wrażenia, że dziennie umiera po 250 osób. Na nikim nie robiło zresztą wrażenia, nawet jak umierało 600 osób. A to nie są jedynie cyferki w tabelkach, to są prawdziwi ludzie. Tymczasem panie i panowie politycy stroją sobie żarty.

Zgodziłbyś się, że to policzek dla ofiar COVID-19 i ich rodzin?

– Myślę, że nikt się nie zastanawia nad tym, co czują te rodziny. To oczywiście bardzo przykre, ale widać, że wszystko odbywa się na zasadzie „kto umrze, ten umrze”. Średnia długość życia w Polsce obniżyła się o rok, lecz dla polityków to przecież tylko statystyka.

Mam wrażenie, że przez niekompetentne zarządzanie w czasie pandemii cały hejt za panujący chaos spadnie na pracowników ochrony zdrowia. W końcu pacjenci to z wami mają bezpośredni kontakt.

– To już trwa. Na początku byliśmy bohaterami. Medycy przedstawiani byli jako fantastyczni ludzie, starający się zrobić wszystko, żeby pomóc tym, którzy trafiają do szpitala. Natomiast w tym momencie na osoby pracujące w publicznym systemie, które mają kontakt czy to z rodzinami, czy z chorymi, spada ogromna fala hejtu, a nawet gróźb. Ludzie nie rozumieją, dlaczego nie może do nich dojechać karetka albo dlaczego trzeba czekać na przyjęcie. Jako społeczeństwo żyjemy w pędzie – wchodzimy do sklepu, kupujemy, wychodzimy i trwa to parę minut. Niestety, w ochronie zdrowia tak to nie wygląda. Czasami przyjeżdża pacjent, który wymaga natychmiastowej opieki, i siłą rzeczy ktoś

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 4e4007b1d9

inny musi poczekać. Szczególnie przy obecnych brakach kadrowych wszystko się wydłuża. Natomiast to, co się dzieje w internecie, jest już zupełnie inną kwestią, bo to niestety wyszło poza jakiekolwiek ramy zdrowego rozsądku. Niemal codziennie ja i moi koledzy czy koleżanki dostajemy groźby, że będziemy wisieć.

Niemal codziennie dostajemy groźby, że będziemy wisieć.

Jak w takiej sytuacji młodzi medycy widzą swoją przyszłość zawodową? Da się w ogóle pracować w publicznej ochronie zdrowia? A może trzeba uciekać do firm prywatnych lub za granicę?

– No cóż, część osób wyjeżdża. Ale ten trend trochę już się zmniejszył. Widać też, że coraz częściej ludzie wybierają pracę w sektorze prywatnym, gdzie można lepiej zarobić, przepracowując mniej godzin. W prywatnej ochronie zdrowia pacjent musi czuć się zaopiekowany, być w centrum uwagi. Czego, jak myślę, nikt w publicznej ochronie zdrowia nie doświadczył poza pewnymi wyjątkami. Coraz częściej słyszę też głosy typu „odchodzę", „nie biorę dodatkowych dyżurów", „zmieniam branżę".

Z raportów Państwowej Inspekcji Pracy wynika, że medycy pracują po 300 godzin miesięcznie. Dla ludzi spoza waszej branży taka sama abstrakcja jak milion dolarów.

– Z badań wynika, że po 24 godzinach dyżuru sprawność człowieka jest podobna do tej, kiedy mamy w organizmie 1 promil alkoholu. Myślę, że nikt nie chciałby być pod opieką lekarza, pielęgniarki czy ratownika, którzy są pijani. A jednak w społeczeństwie jest ogólne przyzwolenie, żeby medyk tyle pracował i był czasem 60 godzin na dyżurze. Im dłużej będzie to tak wyglądało, tym szybciej przekonamy się, że ten system jest jedynie iluzją, bo ludzi dopiero wchodzących do zawodu nie wystarczy, aby przykryć tzw. dziurę pokoleniową.

Zarobki chyba też mają jakiś wpływ na wybór pracy?

– Są ważne, oczywiście. Natomiast same pieniądze nie zmienią tego, że w czasie dyżuru na jedną pielęgniarkę zamiast 15 pacjentów przypada 30. Jej zarobki nie sprawią, że pacjent poczuje się bezpieczniej, bo dalej będzie na tyle duży kryzys kadrowy, że nie będzie komu nim się zająć. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z koleżanką, która dwa lata temu skończyła studia pielęgniarskie i rozpoczęła pracę w jednym z większych szpitali w Warszawie. Po pół roku powiedziała „dość". Poszła na drugie studia i stwierdziła, że za żadne skarby nie wróci do systemu ochrony zdrowia, bo – jak to określiła – nie zamierza za 3 tys. zł przez 12 godzin dziennie zasuwać tak, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Warto też zaznaczyć, że ludzie chcą się realizować poza pracą. Mieć czas dla siebie, dla rodziny.

Ministerstwo Zdrowia opublikowało strategię na rzecz ochrony zdrowia na lata 2021-2027 z perspektywą do 2030 r. Jak komentowałeś w social mediach, z ponad 350 stron zaledwie 19 poświęconych jest pracownikom ochrony zdrowia.

– Rzeczywiście w dokumencie opublikowanym przez MZ nie widać jakichś konkretnych pomysłów. Są tam zaznaczone pewne kierunki, ale ten dokument głównie skupia się na tym, co już zostało zrobione. Z kilkuset stron kilkanaście jest poświęconych kadrom, ale w większości mowa tam po prostu o tym, że personel medyczny istnieje, ile go jest, jakie są perspektywy – i że raczej będzie tylko gorzej. Ot, stwierdzenie faktu, że jest, jak jest, są zachęty dla młodych osób i podjęto pewne kroki, by rozwinąć kompetencje pielęgniarek.

„The Lancet" właśnie opublikował artykuł, który można streścić: „Polska – przykład tego, jak nie walczyć z pandemią".

Niestety, brakuje jakiegokolwiek pomysłu na to, co zrobić, żeby było lepiej. I to jest najbardziej przerażające, bo z jednej strony otwierane są kolejne uczelnie i kierunki, a z drugiej część ludzi nie kończy studiów albo, co gorsza, nie wchodzi po nich do zawodu.

I nikt nie zapytał specjalistów?

– Nie zauważyłem żadnych nazwisk osób, które strategię przygotowały, ani tych, które miałyby być odpowiedzialne za jej wprowadzenie. Nie ma szczegółów dotyczących tego, jak zmienić ten system, ani co zamierzają zrobić politycy, aby go naprawić. I to właśnie pokazuje, że nawet kiedy mowa o strategii, która z definicji implikuje przemyślane zaplanowanie działań w dłuższym horyzoncie czasowym, brakuje tu tego myślenia. I jest to kwestia nie głupoty czy niekompetencji, ale zerowej siły przebicia. W Polsce naprawdę nie brakuje osób, które są specjalistami, jeśli chodzi o organizację i projektowanie systemów opieki zdrowotnej. Część była na zagranicznych stażach i widziała, jak to działa w innych krajach.

Od czego należałoby w takim razie zacząć?

– Przede wszystkim trzeba wdrożyć przemyślane działania w kontekście NFZ i wyceny świadczeń. Zdaję sobie sprawę, że to może być trudne dla czytelnika, który nie interesuje się systemem ochrony zdrowia, jednak warto wiedzieć, że to wycena świadczeń określa, co się opłaca placówkom. Głośno było niedawno o tym, że nie da się dostać do psychologa na NFZ i to jest właśnie związane z niską wyceną porady psychologicznej przez Narodowy Fundusz Zdrowia.

Do stomatologa też wszyscy chodzą prywatnie.

– Dlatego to zjawisko nazywa się stomatologizacją. Psychologom nie opłaca się pracować publicznie, wolą otwierać prywatne gabinety. I możemy to rozszerzyć tak naprawdę na cały system. A wyceny NFZ, zamiast być podnoszone, są konsekwentnie obniżane w kolejnych dziedzinach. To jest ogromny problem. Tak naprawdę system ochrony zdrowia nie był sensownie

eprasa.pl 4e4007b1d9

Z jednej strony otwierane są kolejne uczelnie i kierunki, a z drugiej część ludzi nie kończy studiów albo nie wchodzi po nich do zawodu.

reformowany od 30 lat, a rządziły różne partie, różne opcje polityczne i różni politycy. Mieliśmy wielu ministrów zdrowia, ale nie było przez te trzy dekady woli politycznej ani takiej siły przebicia, żeby ten system zmodernizować, a właściwie postawić go od nowa.

A nie myślisz, że jest to również efekt zarządzania ochroną zdrowia przez polityków, którzy patrzą od dawna jedynie na słupki poparcia?

– W Polsce nie ma myślenia o tym, żeby zrobić coś na dłużej. Politycy patrzą najczęściej od wyborów do wyborów, czyli skupiają się na tym, co przyniesie efekt natychmiast. Po co robić coś, co przyniesie efekty za 10-15 lat, kiedy nawet nie wiadomo, kto akurat będzie przy władzy? Apelowałem o to wielokrotnie i mam nadzieję, że w końcu ten głos zostanie jakoś usłyszany. Trzeba powołać ponadpartyjny zespół, który będzie się składał głównie z ekspertów i pozwoli na stworzenie oraz zaplanowanie organizacji systemu opieki zdrowotnej, tak aby ta strategia była konsekwentnie realizowana niezależnie od tego, kto akurat będzie przy władzy. Wtedy każdy kolejny minister zdrowia będzie miał ramy działania, które wystarczy konsekwentnie realizować. W innym wypadku dojdzie – i to już niebawem – do prawie całkowitej prywatyzacji ochrony zdrowia.

Jesteś rzecznikiem prasowym Białego Miasteczka 2.0. Co protest medyków powiedział ci o naszym społeczeństwie, kiedy miasteczko jeszcze stało pod kancelarią premiera?

– W większości przychodzili tam ludzie, i to mogę powiedzieć z zadowoleniem, ze wsparciem, a nie z atakami. Często ciekawi powodów i żądni rozmowy. Skala poparcia była bardzo duża, jednak koniec końców nic z tego nie wynikło. Myślę, że bez tak silnych protestów wokół ochrony zdrowia, jakie odbywały się przy okazji np. Strajku Kobiet, żaden polityk nie zrozumie, że dyskusja nad ochroną zdrowia jest tak samo ważna.

To politycy, a społeczeństwo?

– Widać, że społeczeństwo nie rozumie, jak funkcjonuje ochrona zdrowia. Pobyt w Białym Miasteczku uświadomił mi, że większość ludzi będzie za wszelką cenę przeciwko komuś, a mniej za jakąś ideą. Część osób niezależnie od argumentów jest zamknięta na jakąkolwiek dyskusję. Widać ogromną polaryzację. To smutna puenta, że nie potrafimy dyskutować. Zostało to zresztą pokazane w „Dniu świra" – „moja racja jest najmojsza", a wy możecie się kłócić. Mam wrażenie, że nic się nie zmieniło, a w podziałach jesteśmy jeszcze bardziej radykalni. Nie wiem tylko, czy to wzajemne zakrzykiwanie się do czegokolwiek nas doprowadzi.

Kornel Wawrzyniak
k.warzyniak@tygodnikprzeglad.pl

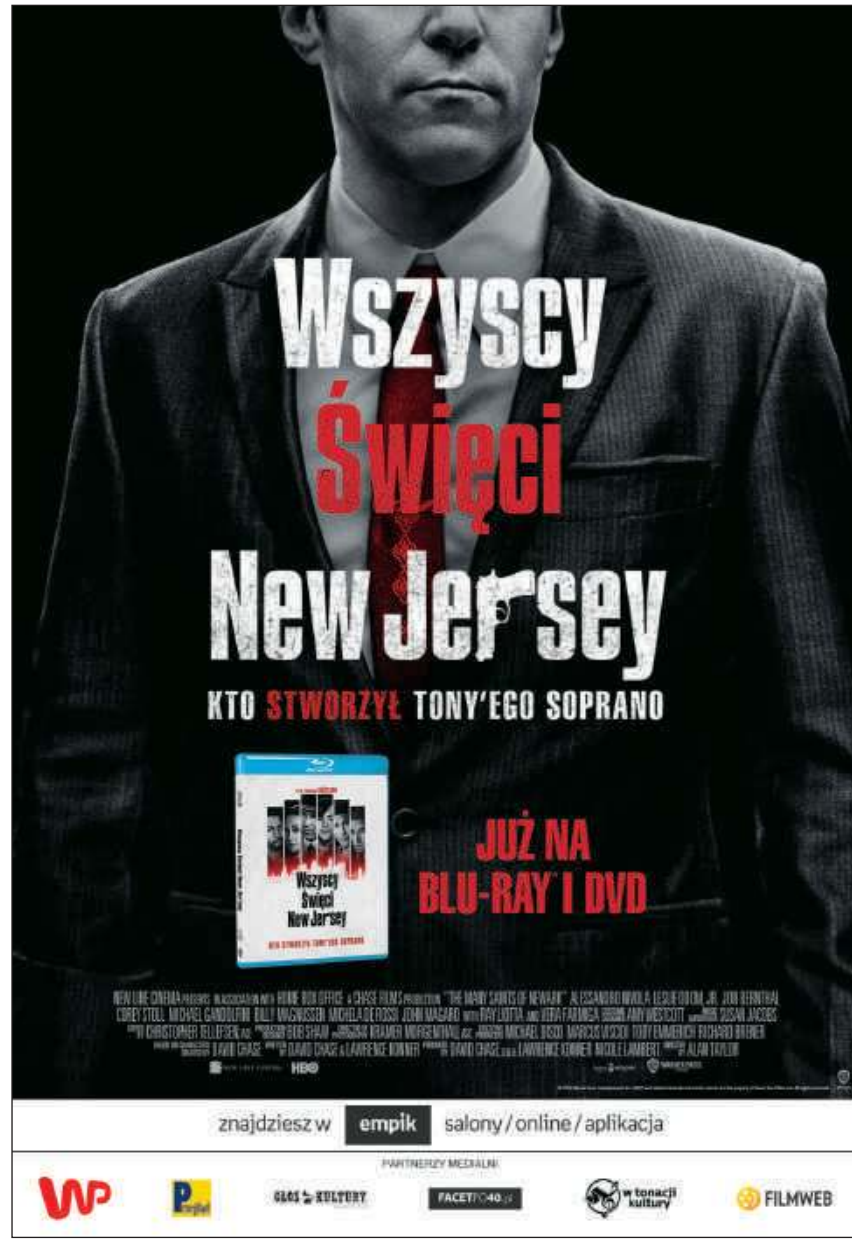

eprasa.pl 4e4007b1d9

– Gmina jest bogata bogactwem mieszkańców, a moją rolą jest pomnażanie pieniędzy – mówi wójt Michał Kontraktowicz.

Po lepszej stronie Olsztyna

Stawiguda od kilku lat jest w czołówce gmin, do których najchętniej przeprowadzają się Polacy. Nie tylko z powodu krajobrazu

Marek Książek

– Pamiętam, jak na początku lat 70. odwiedziłem tu swojego patrona i tak mnie zauroczyła okolica, że za wszelką cenę chciałem tu zamieszkać – wspomina prawnik z Olsztyna, który ma całoroczny dom w Pluskach. Gdy już zawodowo stanął na nogi, odkupił od prywatnego właściciela kawałek ziemi tuż nad brzegiem jeziora Pluszne (900 ha), gdzie najpierw postawił domek letniskowy; z czasem rozbudował go i spędza w nim większość czasu. Co prawda, oboje z żoną są już na emeryturze i mogliby się zameldować w gminie Stawiguda na stałe, ale nie chcieli zrywać związków z pobliskim Olsztynem.

– Dzisiaj już można mieć dwa domy, a nawet więcej – śmieje się prawnik, przycinając drzewa w wiejskim ogrodzie nad Plusznem.

Opowieści z łańskiego imperium

Pluski dzisiejsze różnią się od dawnych, gdy była to wieś sielska i anielska, zamieszkana przez rodowitych Warmiaków. Potem zaczęli oni, bardziej lub mniej dobrowolnie, wyjeżdżać do RFN, co opisali Agnieszka i Andrzej Krzysztof Wróblewscy w głośnym reportażu „Zgoda na wyjazd". Wiązało się to z akcją łączenia rodzin w Niemczech, po podpisaniu w 1976 r. umowy Gierek-Szmidt, ale w pośredni sposób również z polityką powiększania „imperium łańskiego", jak zwano tereny wokół ośrodka rządowego w Łańsku, których część należy dziś do gminy Stawiguda. Na przykład pobliska wieś Orzechowo została w tym czasie całkowicie wysiedlona. Do Łańska, najczęściej na polowania, przyjeżdżali przywódcy zaprzyjaźnionych krajów, w tym Leonid Breżniew, ale także król Belgów oraz szach Iranu. W okolicznych lasach czekała na nich zwierzyna do odstrzału, a obok ośrodka – Jezioro Łańskie (1000 ha).

Tymczasem opuszczone przez Warmiaków miejsca zasiedlali głównie „swojacy", czyli prominenci z Warszawy, jak szef redakcji sportowej TVP Ryszard Dyja (w 2002 r. zmarł w Pluskach) czy szef Urzędu Rady Ministrów Janusz Wieczorek. Jakiś czas temu na stałe przeniósł się tam komentator sportowy TVP Marek Jóźwik, w młodości znakomity płotkarz, reprezentujący olsztyński klub Gwardia. W środku wsi miał swój domek fotoreporter Wacław

eprasa.pl 4e4007b1d9

Urok Tomaszkowa i pobliskich wsi tworzy Jezioro Wulpińskie.

Dzisiejsze Pluski różnią się od dawnych, gdy była to sielska wieś zamieszkana przez rodowitych Warmiaków.

Kapusto, wcześniej „nadworny" fotograf Gomułki i jego gości w Łańsku.

Gdy w 1980 r. powstała Solidarność, Pluski wzbudziły zainteresowanie działaczy nowego związku, którzy szukali przejawów partyjnego rozpasania. Miały się stać wręcz jego symbolem. Ówczesny rzecznik prasowy MKZ Solidarność w Olsztynie, późniejszy wiceszef Komisji Krajowej Solidarności Mirosław Krupiński, rozpętał nagonkę na posła i I sekretarza KW PZPR w Olsztynie Edmunda Wojnowskiego, jakoby ten swoją chałupę (60 m kw.), kupioną prywatnie w Pluskach, wyremontował na koszt państwa. Wojnowski pokazał rachunki, a przy okazji wyszło na jaw, że Krupiński, z zawodu projektant, też miał w Pluskach domek i stąd jego wiedza (fałszywa zresztą) o prominencie partyjnym. Kulisy tej „afery" próbował pokazać w TVP red. Tadeusz Samitowski, ale zrobił to na tyle nieudolnie, że sam stał się jej największą ofiarą. Za to Pluski – promocyjnie – zyskały!

Kilka lat później, w 1986 r., stało się głośno również o stolicy gminy, bo w USC Stawiguda brał ślub rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban. Umówił się na ceremonię w piątek 13 czerwca o godz. 13. Ślubu udzielał wójt Zygfryd Gładkowski, a zdjęcia robił Wacław Kapusto. Z tej uroczystości zapamiętano głównie to, że panna młoda, czyli Małgorzata Daniszewska, wystąpiła boso.

W 2018 r. w gminie Stawiguda mieszkało 8,6 tys. osób, aktualnie niemal 12 tys.

Na granicy wsi i miasta

Po transformacji ustrojowej Pluski stały się modne także wśród mieszkańców oddalonego o 20 km Olsztyna. Zwłaszcza gdy powstał tam luksusowy hotel ze SPA, basenem i aquaparkiem, gdzie wypadało bywać. Aspiracje życiowe rosły. Domy letniskowe lub całoroczne stawiali nad jeziorem sędziowie i komornicy, architekci, lekarze i biznesmeni, czyli ludzie dobrze sytuowani. Co widać po niektórych rezydencjach, stawianych jakby po to, by zainwestować w nie nadwyżkę kapitału. Do tego powstawały małe osiedla. Pluski powoli zaczęły się zapychać, mimo to dzięki przyrodniczej atrakcyjności przyciągały mieszczuchów co roku, bo jezioro wciąż kusiło, a gmina stwarzała warunki do budownictwa indywidualnego.

Właściwie otwarcie Stawigudy na sprzedaż terenów pod inwestycje budowlane rozpoczął nieżyjący już Teodozy Jerzy Marcinkiewicz, wójt w latach 1994-2014, a więc władający gminą całe 20 lat! To wtedy Stawiguda wskoczyła do czołówki najbogatszych gmin w Polsce, zasilając budżet głównie ze sprzedaży gruntów i podatków od nieruchomości. Niektórym nie podobał się „gubernatorski" styl rządzenia wójta, w 2012 r. urządzili nawet referendum w sprawie jego odwołania, ale wzięło w nim udział niecałe 13% uprawnionych i Marcinkiewicz jeszcze dwa lata pozostał. Dziś tamtego wójta wspomina się jako samorządowca, który miał jasną wizję rozwoju gminy i skutecznie ją realizował.

Stawiguda należy do tzw. gmin obwarzankowych, okalających Olsztyn, obok Gietrzwałdu, Jonkowa, Dywit, Barczewa i Purdy. Jak informuje obecny wójt Michał Kontraktowicz, wszystkie one, łącznie ze stolicą regionu, tworzą Miejski Obszar Funkcjonalny (MOF). Czyli wspólnie rozwiązują pewne problemy, np. związane z komunikacją czy budową dróg. Stawiguda ma swoje autobusy łączące wsie gminy, ale do i z Olsztyna kursują autobusy oznaczone miejskimi numerami, np. do graniczącego z miastem Bartąga, gdzie znajduje się wiejski cmentarz, na którym spoczywa coraz więcej mieszkańców Olsztyna. Natomiast żyjący i dbający o zdrowie olsztynianie z osiedli Jaroty i Generałów chodzą lub jeżdżą rowerami nad jezioro Bartąg (72 ha). Korzystając ze ścieżki pieszo-rowerowej, niedawno

FOT. MAREK KSIĄŻEK, UG STAWIGUDA, AQUADIVER KLUB

eprasa.pl 4e4007b1d9

zbudowanej przez gminę Stawiguda. Na granicy obu jednostek samorządowych, które w naturalny sposób łączy rzeka Łyna, powstały nowe osiedla mieszkaniowe, a ich lokatorzy są zameldowani w gminie, choć praktycznie mieszkają w mieście.

– Naszym atutem jest położenie gminy po lepszej stronie Olsztyna – dodaje wójt Kontraktowicz. Co to znaczy? Przez Stawigudę wyjeżdża się drogą ekspresową w Polskę: w lewo do Warszawy, w prawo do Gdańska. Tereny gminy przecina też obwodnica Olsztyna i te rozwiązania komunikacyjne powodują, że poważne firmy coraz chętniej lokalizują tu swoje inwestycje, np. ostatnio Jeronimo Martins (portugalski właściciel sieci marketów Biedronka) buduje centrum dystrybucyjne.

Jak na wakacjach

Nie da się ukryć, że największym magnesem jest znakomite położenie gminy. Ze Stawigudy jedzie się do Olsztyna 15 minut. Tyle samo, ile np. z Tomaszkowa, gdzie nad Jeziorem Wulpińskim powstało osiedle domów jednorodzinnych, choć niektóre można nazwać rezydencjami. Są one własnością przede wszystkim przedsiębiorców, właścicieli lokalnych firm, ale i np. byłego olsztyńskiego dziennikarza, aktualnie obywatela RFN, który na emeryturze zjechał w rodzinne strony. Na razie nie zamierza meldować się w gminie, nie chcąc zrywać związków z Niemcami.

Cały urok Tomaszkowa i pobliskich wsi tworzy Jezioro Wulpińskie (700 ha), z tajemniczą wyspą Hertą od strony Dorotowa. Na początku XX w. tak zauroczyła olsztyńskiego restauratora Roberta Rogallę, że zbudował na niej restaurację i pensjonat. A potem pochował na wyspie syna, który zginął w słynnej bitwie pod Tannenbergiem w I wojnie światowej. Natomiast w ostatnich latach na scenie zbudowanej przy brzegu jeziora śpiewała m.in. Anna Maria Jopek – gwiazda festiwalu Wschód Piękna, organizowanego przez saksofonistę Grzecha Piotrowskiego. A to znaczy, że Wulpińskie, nazwane przez poetów Jeziorem Królewskim, stało się synonimem dobrego gustu i powodzenia. Dlatego wśród mieszkańców okolicznych miejscowości znajdziemy znanych olsztyńskich sportowców, takich jak Krzysztof Hołowczyc czy Joanna Jędrzejczyk.

Jak się mieszka na skraju Tomaszkowa, w osiedlu zwanym potocznie Wulpinkiem, opowiada menedżer dużego zakładu z Olsztyna: – O przeniesieniu się poza miasto myśleliśmy z żoną kilka lat. Chcieliśmy więcej przestrzeni do życia i zabawy dla dzieci, oczywiście w pobliżu jeziora. Padło na Tomaszkowo z uwagi na przepiękne położenie nad Jeziorem Wulpińskim i świetny dojazd do Olsztyna, do miejsca pracy. To tylko 10-15 minut i jesteśmy w centrum miasta, bez takich korków, na które człowiek natyka się, jeżdżąc z blokowisk – sypialni Olsztyna. Poza tym często z żoną jeździmy służbowo do Warszawy, a stąd oszczędzamy co najmniej pół godziny drogi. Mieszkamy tutaj już kilkanaście lat i podoba nam się brak anonimowości, bo w urzędzie gminy znają prawie wszystkich mieszkańców, nie mówiąc o naszym sołtysie i proboszczu. Jesteśmy tu po imieniu, robimy ogniska, organizujemy czyny społeczne, a przed pandemią nawet imprezy pod nazwą Bal Sąsiada. Kiedy wracamy z pracy, czujemy się trochę jak na wakacjach. W pobliskiej Rusi mamy z kolei wyciąg narciarski, więc żeby zimą poszusować na nartach, nie musimy od razu jechać w góry. Jedyne, co nas martwi, to dalsza rozbudowa osiedla przy dość wąskiej drodze. Obawiamy się, że za kilka lat i tu pojawią się korki.

Nie ma tego problemu olsztyński przedsiębiorca Ryszard Kokot, aktualnie mieszkający między Bartągiem a Gągławkami, wsią popegeerowską. Najpierw zbudował dom w Bartążku nad jeziorem Bartąg, stamtąd często jeździł rowerem po okolicy, w tym do lasów łańskich. Wtedy przy drodze dojrzał warmińską chałupę, okazało się, że z 1900 r. Dogadał się z właścicielem, miejscowym rolnikiem, kupił dom (poprzedni przekazał córce), który dostosował do współczesnych wymogów. Projekt przebudowy wykonał ceniony architekt Tomasz Lella, nic więc dziwnego, że nietypowy obiekt trafił na łamy miesięcznika „Murator".

– Wiele jeżdżę po Polsce, dużo po świecie, nie ma kontynentu, na którym nie postawiłem stopy, ale w swoim domu, wśród warmińskiej natury, czuję się najlepiej. Tutaj mam swój azyl, to najlepsze miejsce do życia i odpoczynku. No i do pracy blisko – cieszy się Kokot. Jego dom stoi na uboczu, dlatego musiał zbudować szambo i studnię, ale nieco dalej powstało już osiedle, więc liczy, że i do niego dotrą zdobycze cywilizacji w postaci gminnego wodociągu i kanalizacji.

W krajowej czołówce

– Rzecz w tym, że oczekiwania mieszkańców i decyzje deweloperów wyprzedzają możliwości i działania gminy, bo każdy nowy projekt musi przejść przez standardową procedurę, a to trochę trwa – wyjaśnia wójt, podkreślając przy okazji, że budżet gminny wytrzyma te oczekiwania i potrzeby. Tylko z samego podatku PIT, płaconego przez mieszkańców, wraca do gminnej kasy ok. 20 mln rocznie, duże przychody są z podatków od nieruchomości (także od właścicieli domków letnich, niezameldowanych na stałe w gminie) i ze sprzedaży gruntów, coraz droższych. Michał Kontraktowicz porównuje, że 100-tysięczny Elbląg ma na inwestycje kwoty rzędu 62 mln, a 12-tysięczna gmina Stawiguda – 45 mln zł. Na same ścieżki pieszo-rowerowe przeznaczono 20 mln zł, większość z dofinansowania unijnego. Wójt pełni funkcję pierwszą kadencję, ale że wcześniej pracował w administracji i temat projektów unijnych jest mu dobrze znany, Stawiguda czerpie z kasy UE pełnymi garściami.

– Gmina jest bogata bogactwem swoich mieszkańców, a moją rolą jest pomnażanie pieniędzy – dodaje wójt. Nie stawia więc barier nowym osiedleńcom, których z każdym rokiem jest więcej. W 2018 r. mieszkało w gminie 8,6 tys. osób, aktualnie niemal 12 tys. Pod względem przyrostu mieszkańców Stawiguda za 2020 r. zajmowała pierwsze miejsce w Polsce! Za miniony rok również znalazła się w pierwszej trójce.

Marek Książek

eprasa.pl 4e4007b1d9

Refleksje z nadzieją

Andrzej Romanowski

Dwa wywiady (1)

W przedostatnim „Tygodniku Powszechnym" rozmowa Artura Sporniaka i Marcina Żyły z Dominiką Kozłowską, redaktor naczelną miesięcznika „Znak" i prezes wydawnictwa Znak. „Czujesz się bardziej chrześcijanką niż katoliczką?", pada pytanie, a odpowiedź brzmi: „Tak".

Na łamach pisma katolickiego takie wyznanie liderki środowiska może brzmieć obrazoburczo. Lecz przecież dawny „Tygodnik", redagowany przez Jerzego Turowicza, oraz dawny „Znak", redagowany przez Stanisława Stommę, Hannę Malewską czy Stefana Wilkanowicza, były zawsze szeroko otwarte na otaczający świat. Wacław Hryniewicz rozwijał tu refleksje ekumeniczne, Józef Tischner przedstawiał poglądy oburzające „prawdziwych katolików". Józefa Hennelowa, wprawdzie już po odejściu z „Tygodnika", opublikowała (we współpracy z Anną Mateją) przejmującą książkę „Otwarty, bo powszechny. O Kościele, który może boleć". Kozłowska idzie więc tropami poprzedników, tyle że w nowej sytuacji posuwa się krok dalej. Przecież już w październiku 2019 r., po słowach abp. Marka Jędraszewskiego o „tęczowej zarazie", pisała w „Znaku": „Polski katolicyzm stał się oficjalnie katolicyzmem walki, wykluczenia, przymierza z rządzącą partią i jej agendą, katolicyzmem, któremu zasadnie zarzucać można cynizm i wyrachowanie".

Czy polski Kościół jest jeszcze chrześcijański?

Czy po takich słowach można pozostawać w Kościele katolickim? Kozłowska tak mówi obecnie: „Jestem ochrzczona w Kościele rzymskokatolickim, ale moje córki są ewangeliczkami. Ich tata też jest ochrzczony w Kościele ewangelickim. (…) Znam ten Kościół, szczególnie krakowski zbór, właściwie tak, jak Kościół rzymskokatolicki". To wyznanie nie jest dla mnie nowe – usłyszałem je przed laty z ust samej Kozłowskiej – ale dopiero teraz poznaję jego dodatkową motywację: chęć kultywowania chrześcijaństwa „we wspólnocie mniejszej, która z przywilejów nie korzysta, w której nie uczysz się, że opłaca się być katolikiem, bo coś z tego masz". Z takiej postawy wynikają zaś kolejne: przyjaźń ze środowiskiem Wiary i Tęczy, solidarność z tymi, „którzy z Kościoła są wyrzucani", obecność w inicjatywie „Zranieni w Kościele"... „Rozpłakałam się z bezsilności i wyszłam", opowiada Kozłowska o rozmowie z zakonnikiem, u którego odkryła antysemityzm. To pewnie z tego płaczu zrodził się jej dzisiejszy bunt.

„Niedawno – wspomina – wraz z Adamem Michnikiem brałam udział w debacie (…). Ja krytykowałam instytucję Kościoła, a redaktor Michnik jej bronił. W pewnym momencie powiedział, że Jacek Woźniakowski czy Tadeusz Mazowiecki nawet w rozmowach prywatnych nie byli tak radykalni w krytyce instytucji. Ale przecież oni działali w innych warunkach, w innym czasie". Otóż to – nie przypadkiem Stanisław Stomma mówił o „mądrości etapu". Tamta sytuacja się zmieniła i już oświadczenie piętnujące postawę Jędraszewskiego zakończyła Kozłowska słowami: „Tego mnie uczy Ewangelia". Będzie nieprzyzwoitą przesadą skojarzenie tych słów z wystąpieniem Marcina Lutra „Tu stoję! Nie mogę inaczej!", ale krytyka biskupa z Ewangelią w ręku czymże jest jak nie stanięciem poza Kościołem? Ba! ale czy też poza katolicyzmem? I czy poza chrześcijaństwem? A czy polski Kościół jest jeszcze chrześcijański?

W polskim katolicyzmie wzbiera fala buntu – spójrzmy choćby, co dziś mówi Tomasz Terlikowski. Ale środowisko Znaku jest pod tym względem wyjątkowo autentyczne. „Czy mój Kościół musi być aż tak po świecku zapobiegliwy?", pytała Hennelowa, obserwując pogoń księży za dobrami materialnymi. „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie" – tak Zbigniew Nosowski i Wojciech Bonowicz szydzą dziś z zamiatania skandali pedofilskich pod dywan. Bunt Kozłowskiej nie jest więc odosobniony, znajduje sojuszników w jej środowisku, ale też naprawdę wyrasta ze znakowego dziedzictwa. Do jej niedawnego wywiadu z Henrykiem Woźniakowskim („Rzeczy ważne, a czasem błahe", Kraków 2021) miałbym zapewne różne komentarze, pytajniki, może nawet głosy sprzeciwu, ale nie mogą one zmienić zasadniczego przesłania tej książki: harmonijnego, pełnego zrozumienia i zaufania przekazania pałeczki w sztafecie pokoleń.

Tadeusz Mazowiecki, pierwszy redaktor katolickiej „Więzi", wzywał przed laty do przekraczania „kredowych kół" dawnych ideowych podziałów. Dzisiejszy bunt jest tym właśnie: wołaniem o dialog, o rozmowę, o niewykluczanie nikogo. Nie ma wątpliwości, że w polskim Kościele idzie nowe. Oraz że nośnikami nowego są – co oczywiste – młodzi. Czy naprawdę stoimy w obliczu kolejnej odnowy, kolejnej Reformy? „Tu stoję! Nie mogę inaczej! Niech Bóg mi pomoże! Amen!".

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e4007b1d9

SYSTEM STWORZONY DO NADUŻYĆ

Przyzwolenie na inwigilację i zbieranie informacji o obywatelach jest w Polsce tak duże, że w innych krajach pokazują nas jako przestrogę

DR MARCIN ROJSZCZAK

Rozmawia Jakub Dymek

Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o systemie Pegasus?

– W środowiskach zajmujących się inwigilacją czy prawami człowieka przypadek NSO Group, twórcy systemu Pegasus, był omawiany od kilku lat. Ale powiem coś być może przewrotnego: Pegasus nie stanowi największego problemu.

Jak to? Przecież właśnie rozmawiamy o skandalu z domniemanym inwigilowaniem opozycji politycznej w Polsce za pomocą narzędzia, które hakuje telefony!

– Tylko że prawdziwym problemem w Polsce jest wykorzystanie tego systemu w modelu prawnym, z którego wymontowano kilkanaście zabezpieczeń służących w normalnym państwie do ochrony społeczeństwa przed nadużyciami, np. poprzez zastosowanie Pegasusa. Sam fakt istnienia takiej technologii i zdolności prowadzenia ukierunkowanej inwigilacji nie jest jeszcze problemem. Pegasus powstał jako oprogramowanie do celów wywiadowczych – jest zresztą jednym z wielu systemów, które robią dokładnie to samo co izraelskie oprogramowanie. Ale u nas komuś przyszło do głowy, żeby taki system wykorzystać do działań krajowych, i to w sposób daleko wykraczający poza ramy procedury karnej. I nawet gdyby istniała możliwość zakazania producentowi Pegasusa, spółce NSO Group, dystrybuowania tego oprogramowania, to problem nieproporcjonalnych uprawnień inwigilacyjnych polskich służb oraz faktycznego braku nadzoru nad ich działaniem nie zniknie. To naiwne myślenie.

Dlaczego?

– A dlaczego wszystkie dane na temat przelewów i operacji finansowych w działalności gospodarczej w Polsce są dostępne dla CBA następnego dnia po ich wykonaniu? I to bez konieczności uzyskania zgody sądu? Nikt sobie nie zadaje takich pytań. To, co się u nas dzieje, jest niespotykane w skali światowej.

Minister Ziobro i minister Wąsik mówią, że wszystkie państwa tak robią.

– Ale tak nie jest. Właściwie nie ma innego państwa, które tak robi – to znaczy w którym szerokie uprawnienia inwigilacyjne połączone są z brakiem kontroli nad ich wykorzystaniem. Już pod tym względem – obok wielu innych – Polska jest wyjątkiem, na tyle istotnym, że to raczej nam przyglądają się ze zdziwieniem eksperci z innych krajów.

Do 2015 r. mieliśmy prawo, które poza pewnymi wyjątkami nie pozwalało używać w postępowaniu karnym dowodów zgromadzonych nielegalnie. Obecnie nie można wyłączyć dowodów tylko z tego powodu, że zostały zdobyte nielegalnie. Dlaczego to ważne? Bo gdyby nie ta zmiana, nie mielibyśmy problemu Pegasusa. Tego systemu nie da się użyć legalnie w procedurze karnej w sposób zgodny z zasadami działania państwa demokratycznego. Można w pracy wywiadu czy walce z terroryzmem, ale...

...nie w sądzie w sprawie o korupcję czy o co tam się podejrzewa ofiary ataków z użyciem Pegasusa?

– Tak. Mówimy o CBA jako o służbie specjalnej, ale CBA nie ma uprawnień w zakresie prowadzenia działalności wywiadowczej czy kontrwywiadowczej. CBA ma uprawnienia organów ścigania. Dlatego gdybyśmy mieli sensowne zabezpieczenia, wykorzystywanie czy posiadanie przez tę służbę takiego narzędzia byłoby niemożliwe. I na pewno dużo trudniejsze do wytłumaczenia niż teraz: po co wydaliśmy dziesiątki milionów złotych na narzędzie, którego nie można właściwie legalnie zastosować do ścigania przestępców w Polsce?

Ale nadzór nad stosowaniem uprawnień inwigilacyjnych właściwie nie istnieje. Jeżeli chodzi o odsetek zgód wydawanych przez sądy na

Dr Marcin Rojszczak – radca prawny, adiunkt na Wydziale Administracji i Nauk Społecznych Politechniki Warszawskiej. Specjalista w zakresie cyberbezpieczeństwa oraz prawnych aspektów inwigilacji elektronicznej.

eprasa.pl 4e4007b1d9

użycie środków operacyjnych – takich jak podsłuchy – to wyprzedzamy nawet Mołdawię. A właśnie ona była do niedawna przykładem podawanym na międzynarodowych konferencjach do zilustrowania tego, jak nadzór nad służbami nie powinien wyglądać. Europejski Trybunał Praw Człowieka powiedział już dawno, że jeśli sądy akceptują 95% albo i więcej wniosków o podsłuchy, to nie możemy mówić o skutecznym nadzorze nad służbami. A u nas ten mechanizm nie popsuł się wczoraj, on nie działa od wielu lat.

Czyli oburzenie opozycji też jest przesadzone?

– Nie tylko politycy, ale i prawnicy często uważają, że przestępców trzeba łapać za wszelką cenę. To szokujące, bo gdy zapytać ich o inne prawa czy wolności obywatelskie, to rozumieją potrzebę ich ochrony. Rozumieją, że nie można pozbawić wolności bez wyroku niezależnego sądu ani że nie można przesłuchiwać bez obecności adwokata. Ale gdy chodzi o inwigilację elektroniczną, to już nie protestują. Niestety, rozumienie, czym jest i jak działa demokracja, nie w pełni w Polsce się przyjęło.

Prawnicy i politycy broniący przed PiS konstytucji wcześniej byli obojętni na naruszanie konstytucyjnego prawa do prywatności?

– Oczywiście, że nie wszyscy i znajdziemy z łatwością nazwiska osób, które konsekwentnie się sprzeciwiały nadużyciom i brakowi nadzoru. Ale poprzednia większość rządząca nie zadała sobie trudu, żeby zastosować wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2014 r., który wskazywał, że tę ochronę i kontrolę nad służbami należy wzmocnić. Nie zrobiono tego, a potem PiS wykorzystało sytuację i pod pretekstem dostosowania się do orzeczenia TK wprowadziło zmiany dodatkowo osłabiające model zabezpieczeń prawnych. I co teraz mamy? Pegasusa poza kontrolą, ale i masowy dostęp do metadanych dotyczących komunikacji elektronicznej. Jesteśmy liderem w tej dziedzinie. Organy ścigania co roku raportują pobieranie z systemów telekomunikacyjnych ponad miliona tego typu zapisów. A żyjemy w 38-milionowym kraju.

Pegasus powstał jako oprogramowanie do celów wywiadowczych. Ale u nas komuś przyszło do głowy, żeby taki system wykorzystać do działań krajowych.

Ale ktoś powie, że amerykańskie służby takie jak NSA też mają masowy dostęp do danych o milionach obywateli i co?

– Ale na tym polega różnica! Czym innym jest agencja wywiadu prowadząca globalny nasłuch elektroniczny, a właśnie tym jest amerykańska NSA, a czym innym zbieranie takich informacji przez organy ścigania w kraju. To kluczowa sprawa. U nas często pojawia się ten argument: „bo Amerykanie wszystkich podsłuchują". Ależ proszę bardzo, to porównajmy sobie, jak to działa w procedurze karnej – ilu osób dotyczy, z jakiego powodu, jaki był skutek tej inwigilacji. Ile zarzutów postawiono i ile było wyroków skazujących. W przypadku USA takie liczby i informacje są dostępne, dzięki czemu możemy faktycznie zobaczyć, czy Amerykanie powszechnie używają inwigilacji do ścigania swoich obywateli podejrzanych o przestępstwa. Okaże się, że nie: mają bardzo rygorystyczne regulacje, nawet jeśli są one inne niż nasze w Europie. My zaś pod względem inwigilacji i jej dopuszczalności jesteśmy zdecydowanie bliżej Rosji niż Niemiec.

Bo pozwalamy na wszystko?

– Sądy mają kontrolować to, czy dane dotyczące obywateli są pobierane w uzasadniony sposób, prawda? Ale w przypadku dostępu do metadanych sędzia nie jest w stanie skontrolować dziesiątek tysięcy informacji, więc opiera się na wycinku spraw. Przy czym nie ma ustalonych standardów i każdy sąd realizuje ten nadzór inaczej. W efekcie faktycznej ocenie podlega 1% spraw. To iluzoryczna kontrola. Albo nie mamy mechanizmów bezpieczeństwa, albo ich nie stosujemy. Podobnie niedoskonały jest nadzór nad stosowaniem kontroli operacyjnej. Sądy czasem usprawiedliwiają się tym, że niczego nie wiedzą i nie mają informacji, na co właściwie wydają zgodę, bo w tych wnioskach od służb nic nie ma.

Przecież wystarczyłoby domagać się precyzyjnych wniosków: kogo i dlaczego służby chcą objąć kontrolą. Tak to chyba miało działać, prawda?

Służby czy organy ścigania powinny pisać, po co i w jakiej sprawie zwracają się do sądu o zgodę na kontrolę operacyjną, żeby

E-PRENUMERATA
KUP
po specjalnej cenie
99,90 zł
E-PRENUMERATĘ
ROCZNĄ PRZEGLĄDU
i odbierz
DARMOWY E-BOOK
sklep.tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 4e4007b1d9

uniknąć nadużywania inwigilacji czy podsłuchu z błahego powodu.

– Tak. Sądy nie mają obowiązku wszystkiego zaopiniować pozytywnie. Sędzia może się domagać od służb dowolnych dokumentów, ale też w ogóle nie musi się zgadzać na zatwierdzenie takiego wniosku. Sędzia nie jest chodzącą pieczątką. Zdarza się, że sędziowie mówią, że jeśli nie będą zatwierdzać tych wniosków o podsłuchy, to zostaną odsunięci i przeniesieni do innego wydziału. Bo takie są obecnie realia funkcjonowania sądów. Ale tu wracamy do kwestii niezależności. Jeżeli sędziowie, osoby, które mają sprawować niezależną kontrolę, sami myślą o sobie, że nie są niezależni – to jak mówić o możliwości sprawowania skutecznej kontroli? Ale to również jest problem tego, co przewija się od początku w naszej rozmowie: rozmontowania zabezpieczeń prawnych w ostatnich latach.

Ale czy powinno nas dziwić, że z tego wszystkiego najbardziej oburza podejrzenie używania inwigilacji znanych ludzi i liderów opozycji do politycznych celów?

– W dzisiejszej Polsce są także środki, które pozwalają na gromadzenie informacji o nas wszystkich, co tworzy ramy dla inwigilacji nieograniczonej. I to już zdecydowanie powinno martwić nas wszystkich. Nasz rząd zbiera o nas tyle danych – i to na podstawie przepisów w oczywisty sposób niezgodnych z prawem UE i standardami międzynarodowymi – że może spokojnie stwierdzić, kto z nas i kiedy zdradza swojego partnera. Tę wiedzę może pozyskać wyłącznie na podstawie danych telekomunikacyjnych i finansowych, które już posiada. Jeżeli np. jakaś grupa wpływu w ramach rządu uzna za potrzebne opracowanie ustawy o czystości małżeńskiej, to środki techniczne, aby wprowadzić ją w życie, już są.

Możemy się śmiać z tego pomysłu – ale tak samo do 2015 r. można było się śmiać z pomysłu, że CBA będzie miało dostęp do informacji na temat procedur in vitro. A obecnie go ma. Mogą to z łatwością ustalić sobie ABW i CBA. Jak widać, we współczesnej Polsce informacja tego typu jest niezbędna do walki z przestępczością korupcyjną. Pytanie, czy przy takich pomysłach w ogóle jeszcze poruszamy się w sferze państwa demokratycznego. Taka masa danych i brak jakiegokolwiek nadzoru tworzą po prostu gigantyczne ryzyko nadużycia władzy.

To się kiedyś zmieni?

– Polskie prawo zostało skonstruowane tak, że nie ma żadnych negatywnych konsekwencji nadużywania inwigilacji. Choćby niedopuszczalność dowodów w procesie karnym. Wiele osób powie, że to takie nic. Co nam z tego, skoro ostatecznie nagrania jadą być może tylko na Nowogrodzką?

Ale spójrzmy na to inaczej. W Irlandii trwa obecnie postępowanie dotyczące osoby skazanej za zabójstwo. Znacząca część dowodów wykorzystanych w procesie pochodziła z systemów telekomunikacyjnych i została zgromadzona na podstawie przepisów, co do których Trybunał Sprawiedliwości już w 2014 r. orzekł ich niezgodność z prawem UE. Obecnie trwa spór, czy zgromadzenie i wykorzystanie przez państwo danych w sytuacji, w której było już jasne, że czynności te prowadzone są bez podstawy prawnej, naruszyło prawa oskarżonego do uczciwego i sprawiedliwego procesu. To skomplikowana sprawa, ale coraz więcej wskazuje na możliwość wzruszenia tego wyroku.

Część społeczeństwa jest tym oburzona i pyta: „niby dlaczego?!". Jest jednak i druga część, która widzi, jak fatalna to sytuacja, ale domaga się od rządu podjęcia działań, które sprawią, że organy władzy będą działały zgodnie z prawem i do takich nadużyć więcej nie będzie dochodziło. Aby nie było sytuacji, w której państwo najpierw doprowadza do skazania na podstawie nielegalnie zgromadzonych dowodów, a po kilku latach zapada wyrok uniewinniający i zasądzane jest wysokie odszkodowanie.

A jak to się ma do nas?

– Identyczne przepisy jak irlandzkie do dzisiaj obowiązują w Polsce. Niemal od 10 lat wszystkie dowody oparte na metadanych pochodzących z systemów telekomunikacyjnych są tak samo skażone jak w przytoczonej sprawie irlandzkiej. To są tysiące wyroków skazujących, w których wykorzystano wadliwe dowody. Minister Ziobro może mówić, że wszystko jest świetnie i trzeba inwigilować, ale to nie on będzie potem płacił odszkodowania. A do nas fala podobnych pozwów również dotrze. I bardzo nie chciałbym obudzić się w sytuacji, w której na wolność wypuszczamy skazanych za naprawdę poważne, odrażające zbrodnie – pedofilów i morderców – bo ich prawa zostały podeptane na etapie postępowania karnego. Nie jest sztuką wsadzić wszystkich do więzienia na podstawie nielegalnych dowodów. Nie jest też sztuką wszystkich inwigilować i nie zebrać żadnych legalnych i sensownych dowodów. Dziś sprawa irlandzka jest tematem niszowym, ale Pegasus trzy lata temu także był tematem niszowym. Jeszcze będziemy mieli duży problem, co z tym zrobić.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Wszystkie dane na temat przelewów i operacji finansowych w działalności gospodarczej są dostępne dla CBA następnego dnia po ich wykonaniu. To niespotykane w skali światowej.

eprasa.pl 4e4007b1d9

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Dzieci do szkół, nie do więzień

Polska jest krajem przestępczym. Polski rząd, ale i te wcześniejsze. Polscy ministrowie, polskie instytucje, w szczególności tzw. siłowe, jakby zwolnione z myślenia i rozumienia, czym i po co są, wedle jakich reguł i praw funkcjonują. Polscy sędziowie w końcu – dopełniają ten obraz. I jeszcze media – bo nie rozumieją podstawowych pojęć, bo nie poświęcają uwagi, bo biorą udział w propagandowych, nienawistnych nagonkach.

Chodzi o problem detencji dzieci. Jakie to dzieci? Dzieci migranci, dzieci wojny, dzieci uciekinierzy, dzieci uchodźcze. A co to ta detencja? Słowo to oznacza procedurę osadzania migrantów w ośrodkach strzeżonych dla cudzoziemców oraz inne formy pozbawiania ich wolności. Mimo że w świetle prawa nie są przestępcami. Ośrodków nie mogą opuszczać, przebywają w przeludnionych celach, budynki są okratowane, nie istnieją jakiekolwiek formy organizacji czasu wolnego, skrajnie ograniczona jest możliwość komunikacji ze światem zewnętrznym (internet, konfiskata telefonów, które mają funkcje nagrywania obrazu i rejestracji dźwięku – czyli dzisiaj niemal wszystkich). Te warunki często są gorsze od obowiązujących w zakładach karnych.

W Polsce w ośrodkach dla uchodźców, w warunkach często gorszych niż w więzieniach, jest ok. 400 dzieci.

I najważniejsze: w Polsce, w tych dniach, kiedy czytasz ten tekst, osadzonych w podobnych warunkach jest ok. 400 dzieci. W polskich więzieniach odsiaduje kary ok. 100 tys. skazanych. Kilkadziesiąt tysięcy innych czeka na „wolne" miejsce do odsiadki. Ale dla tych 400 dzieci i ich rodzin miejsce całkowitej izolacji się znalazło.

Polska w 1991 r. ratyfikowała Konwencję o prawach dziecka, przyjętą przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 20 listopada 1989 r. Przepisy polskiego prawa powinny być przystosowane do reguł tam zawartych, jeśli tak nie jest lub ich brakuje, przepisy konwencji są ważniejsze i obowiązujące.

W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się o bezprecedensowym proteście – strajku głodowym 14-letniej Irakijki Tiby Atheer Kallas. Dziewczynka napisała list. Może powinien on być lekturą obowiązkową w polskich szkołach, na Kościół nie ma co liczyć. Pisze w nim m.in.: „Urodziłam się i wychowałam w Iraku. Jednostką, którą odliczaliśmy czas naszego świata, były minuty eksplozji, zamachów, wystrzałów i zgonów dzieci, które niczym nie zawiniły. (…) Musieliśmy uciekać z Iraku. Myślałam o tej podróży jako jedynej drodze do bezpiecznego życia, pięknej przyszłości. (…) Białoruskie służby pobiły mojego tatę i wszystkich mężczyzn, którzy byli z nami w lesie. Zabrali nam wszystko: wodę, jedzenie, pieniądze. Puścili za mną i moją siostrą psy. Psy biegły za nami, a żołnierze śmiali się z nas, żartowali, aż do momentu, gdy padłyśmy z siostrą z wycieńczenia, leżałyśmy na mokrej ziemi. Po tym wszystkim kazali nam iść do Polski. I polskie służby robią to samo. Słyszeliśmy krzyki: »Wracajcie, skąd przyszliście!«. Zostaliśmy miesiąc w lesie, w przerażającym, paraliżującym zimnie. (…) Zrozumiałam, że idę do więzienia. To nie był ośrodek dla uchodźców. Straż i kamery były wszędzie. Dla mnie wtedy rozpoczęło się nowe cierpienie. Bo jeśli położyć na jednej szali wszystko, czego doświadczyłam wcześniej, a na drugiej to, czego doświadczyłam w »ośrodku«, w moim sercu ciężar tego bólu jest taki sam. Zaczęłam potwornie bać się wojska i straży. Nawet gdy spaliśmy, przychodzili do naszego pokoju, żeby sprawdzić, czy nadal jesteśmy w łóżku, czy nie uciekliśmy. (…) Od 28 dni [3.02.2022] odmawiam jedzenia. Dają mi napoje, które utrzymują mnie przy życiu. Proszę o wolność dla mnie i mojej rodziny. Czy przestępstwem jest spełniać marzenia? Czy zasługuję na śmierć w więzieniu? Wzywam was do osądzenia".

Zastępczyni rzecznika praw obywatelskich dr Hanna Machińska opowiadała, że podczas seminarium o konieczności indywidualizacji decyzji sądów jedna z doświadczonych sędzi tłumaczyła, że sędziowie mają mało czasu, po kilkaset spraw na jednego sędziego, decyzje muszą podejmować szybko i nie ma wiele czasu na dogłębną analizę indywidualnych przypadków. A po drugiej stronie jest życie – jedno, które ma Tiba. I 400 innych dzieci.

Oglądamy w czasie rzeczywistym kompletną degrengoladę naszego państwa. I osądzimy to. Sędziowie, jeśli nie potraficie pochylić się nad sprawą 14-letniej dziewczynki po wojennych przejściach, przetrzymywanej wbrew prawu w odosobnieniu – to nie pochylajcie się nad żadną inną sprawą. Odejdźcie, bo nie ma to nic wspólnego z wymiarem sprawiedliwości, którego jesteście filarami.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e4007b1d9

Pegasus buszuje w Izraelu

Policja miała nielegalnie podsłuchiwać polityków, dziennikarzy, urzędników i przedsiębiorców

Protest przeciwko szpiegowaniu Pegasusem przed siedzibą producenta tego systemu, firmą NSO Group. Herzliya, 25 lipca 2021 r.

Jakub Katulski

Dotychczas skandal wokół wykorzystania Pegasusa nie był w Izraelu wiodącą sprawą wewnętrzną. W końcu stworzony przez NSO Group system miał być stosowany przede wszystkim przez zagraniczne rządy, które nabyły licencję na wykorzystanie oprogramowania. Na liście klientów znalazły się zarówno zachodnie demokracje, jak i państwa autorytarne. Za pomocą Pegasusa podsłuchiwano aktywistów, opozycjonistów czy dziennikarzy wraz z rodzinami. Jedną z najbardziej znanych ofiar podsłuchu miał być saudyjski dziennikarz Dżamal Chaszukdżi, zamordowany w październiku 2018 r. w konsulacie Arabii Saudyjskiej w Stambule.

Kiedy w lipcu 2021 r. opublikowano wyniki międzynarodowego śledztwa dziennikarskiego nazwanego Pegasus Project, okazało się, że podsłuchiwanych mogło być nawet 50 tys. numerów na całym świecie. Producent bronił się wówczas, twierdząc, że lista nie ma z nim nic wspólnego, a potencjalni klienci są szczegółowo prześwietlani, aby uniknąć sprzedaży Pegasusa rządowi czy agencji, które mogą go wykorzystać w złej wierze.

Na te rewelacje zareagował Departament Handlu Stanów Zjednoczonych i wciągnął NSO Group na czarną listę, sprawiając, że firma nie może kupować podzespołów i innych produktów od amerykańskich dostawców. Prawdopodobnie w reakcji właśnie na ten ruch izraelski rząd postanowił zrewidować listę państw, które mogą kupować od Izraela cyberbroń, skracając ją ze 102 do 37 krajów. Wypadły z niej te, co do których istnieją podejrzenia łamania praw człowieka i praw obywatelskich, w tym wymieniona wyżej Arabia Saudyjska, ale też Maroko czy Polska i Węgry. Nikt wówczas się nie spodziewał, że sam Izrael dostarczy powodów do obaw o cyberbezpieczeństwo swoich obywateli.

Na celowniku protestujący…

Zmieniło się to w styczniu, wraz z pierwszymi raportami gazety „Kalkalist", z których wynikało, że izraelska policja wykorzystywała system Pegasus przeciwko cywilom. Co więcej, polecenie założenia podsłuchu miało zostać wydane przez wysokich rangą funkcjonariuszy, bez wcześniejszego ubiegania się o nakaz sądowy czy choćby sędziowski nadzór takiego procesu.

Dopiero 7 lutego dziennik ujawnił listę 26 osób, których kontakty telefoniczne miały być śledzone przez policjantów, uświadamiając Izraelczykom, że ich policja jest prawdziwym państwem w państwie. Wśród podsłuchiwanych mieli się znaleźć organizatorzy demonstracji przeciwko premierowi Beniaminowi Netanjahu, gdy w 2020 r. rząd uruchomił pierwsze restrykcje pandemiczne, które uderzyły w gospodarkę. Protestujący m.in. przed rezydencją Bibiego domagali się także ustąpienia Netanjahu z funkcji szefa rządu w związku z ciążącymi na nim zarzutami o korupcję i nadużycie władzy.

Demonstranci krytykowali sposób, w jaki policja radziła sobie ze zgromadzeniami, podkreślając, że niektórzy byli zatrzymywani pod pretekstem łamania przepisów nieistniejących w izraelskim kodeksie karnym, a policja kierowała na protestujących z bliska armatki wodne. Minister bezpieczeństwa wewnętrznego Amir Ochanna naciskał też na Dorona Jedida, dowódcę policji w Jerozolimie, by całkowicie zabronić zgromadzeń w pobliżu domu Netanjahu. Policja działała więc pod dużą presją, co – jak pisze „Kalkalist" – przyczyniło się do wykorzystania Pegasusa przeciwko liderom demonstracji.

System miał być również wykorzystywany przez policję do badania wiarygodności świadków w tzw. sprawie 4000, w której oskarżony jest premier Netanjahu. Bibi miał wejść w układ z Szaulem Elowiczem, głównym udziałowcem firmy telekomunikacyjnej Bezek, posiadającej stronę informacyjną Walla. Elowicz

eprasa.pl 4e4007b1d9

jakoby naciskał na redakcję portalu, by dziennikarze w korzystny sposób opisywali politykę Netanjahu. W zamian za to premier miał wykorzystywać swoją pozycję do działania na korzyść przedsiębiorcy. Obaj mężczyźni zaprzeczają, by kiedykolwiek w taki układ wchodzili, ale według „Kalkalist" policja miała podczas śledztwa złamać zabezpieczenia telefonów prezesa Walli Ilana Jeszui i redaktora naczelnego Awirama Elada, by sprawdzić, czy rzeczywiście wywierano na nich presję. Na celowniku mieli też się znaleźć Szlomo Filber, dyrektor generalny w Ministerstwie Komunikacji, i prezeska Bezeku Stella Hendler.

…dziennikarze, samorządowcy, przedsiębiorcy

Na tym lista się nie kończy, bo są na niej także dziennikarze Walli, a w innych sprawach – dyrektorzy generalni w ministerstwach, czterech burmistrzów, właściciel sieci popularnych supermarketów Rami Lewi czy Jair Kac, przewodniczący związku zawodowego w Israel Aerospace Industries, państwowym przedsiębiorstwie produkującym samoloty wojskowe i cywilne. Trudno jednak z całkowitą pewnością mówić, że to bezpośrednio rząd Netanjahu wywierał na policjantach presję na zakładanie podsłuchów. Przeciwko temu przemawia fakt, że podsłuchiwani byli również Awner Netanjahu, jeden z synów byłego premiera, oraz dwóch jego bliskich doradców.

Dopiero te doniesienia uświadomiły Izraelczykom wagę takiego narzędzia jak Pegasus. Kanał 12 telewizji w głównym wydaniu wiadomości jeszcze w poniedziałek nadał materiał, w którym doradzano widzom, jak mogą się obronić przed podsłuchami, korzystając ze wskazówek opracowanych przez Kaspersky Lab. Wśród porad znalazły się sugestie, by codziennie restartować telefon, nie klikać w podejrzane linki i usuwać niektóre aplikacje. Niestety, jak dodano w programie, nie da się w pełni zabezpieczyć przed podsłuchaniem, jeśli do inwigilacji przymierza się instytucja z dostępem do środków i narzędzi takich jak Pegasus.

Inaczej zdaje się twierdzić izraelska policja, która już 8 lutego poinformowała, że nie we wszystkich przypadkach odniosła sukces. Co więcej, policjanci twierdzą, że próbowano założyć podsłuch jedynie trzem osobom wyliczonym przez „Kalkalist", uzyskując uprzednio odpowiednie zgody sądu. Jeśli wierzyć temu, co premierowi Naftalemu Bennettowi zreferował minister bezpieczeństwa publicznego Omer Bar-Lew, zaledwie w jednym przypadku udało się podsłuch skutecznie założyć. Nie zdradzono jednak szczegółów.

Gazeta „Kalkalist" wskazała 26 osób, których kontakty telefoniczne miały być śledzone przez policjantów.

W Knesecie zdaje się panować konsensus co do tego, że sprawa podsłuchów powinna zostać wyjaśniona. Ministrowie i premier nie zdecydowali jednak, w jakiej formule ma to się odbyć. Możliwe jest powołanie rządowej komisji śledczej, za czym optuje minister Bar-Lew. Inni żądają powołania komisji państwowej, będącej jedynym tego typu ciałem w Izraelu, która może stosować środki karne. Premier Bennett nie chce podejmować decyzji pochopnie, dlatego zlecił przeprowadzenie wstępnego śledztwa zespołowi pod przewodnictwem Amira Merariego, zastępcy prokurator generalnej. W zespole mają się znaleźć także funkcjonariusze Mosadu, izraelskiej agencji wywiadu, i Szin Betu, służby bezpieczeństwa wewnętrznego. Dopiero wyniki tego wstępnego śledztwa pozwolą na podjęcie odpowiednich decyzji, choć nie podano do wiadomości publicznej, co dokładnie ma zbadać zespół Merariego.

Wyzwanie dla nowej prokurator generalnej

Ten skandal jest też pierwszym wyzwaniem, z którym mierzyć się będzie nowa prokurator generalna, Gali Baharaw-Miara, która objęła stanowisko 8 lutego. Podczas ceremonii inauguracyjnej zapowiedziała, że priorytetem będzie dla niej „przywrócenie wiary w jej urząd". To o tyle istotne, że Baharaw-Miara rozpoczyna pracę w samym środku procesu korupcyjnego Beniamina Netanjahu. Prokuratura po wypłynięciu raportu gazety „Kalkalist" poprosiła sąd o zawieszenie przesłuchań świadków do końca tygodnia, by móc sprawdzić, czy policja podsłuchiwała ich nielegalnie.

W Izraelu nie istnieje przepis o „owocach zatrutego drzewa", który automatycznie sprawiałby, że dowody pozyskane za pośrednictwem nielegalnego podsłuchu byłyby nieważne. Obrońcy Netanjahu mogą jednak starać się je podważyć i przedstawić byłego premiera jako ofiarę służb, tym bardziej że na liście znaleźli się też jego współpracownicy i rodzina.

W takiej sytuacji odpowiedzialność poniesie również minister Bar-Lew, któremu podlega policja. Jeśli się okaże, że funkcjonariusze zataili przed nim swoje działania, może go czekać nawet utrata stanowiska, niezależnie od tego, że podsłuchy zakładane miały być jeszcze w czasach urzędowania jego poprzedników.

Podsłuchiwani byli Awner Netanjahu, jeden z synów byłego premiera, oraz dwóch jego bliskich doradców.

Wśród Izraelczyków zazwyczaj panuje zgoda co do tego, że pewne swobody obywatelskie można poświęcić na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa w kraju. Tak się dzieje, zwłaszcza kiedy chodzi o relacje z Palestyńczykami, zarówno mieszkającymi na terytoriach okupowanych, jak i będącymi obywatelami Izraela. Dzisiaj jednak okazuje się, że niemal każdy może się znaleźć na celowniku służb, a państwo przed tym nie chroni. ■

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 4e4007b1d9

Wirus nienawiści rasowej

Upada mit, że amerykańscy Azjaci nie doświadczają dyskryminacji ani wykluczenia

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Czerwone schody na Times Square w Nowym Jorku to jedno z tych miejsc, gdzie każdy turysta musi zrobić sobie zdjęcie. Pod schodami znajdują się kasy, w których można kupić bilety na spektakle, więc ruch w tym miejscu jest ogromny, a przewijający się tłum niebywale zróżnicowany rasowo, etnicznie i językowo. Rzec można, wizytówka tej Ameryki, która nie patrzy, jak wyglądasz, tylko pyta, czego chcesz i jak może ci to zaoferować.

Wieczorem 18 stycznia tego roku schody też okupował tłum. Nowojorczycy i turyści uczcili pamięć Michelle Go, Azjatki, która kilka dni wcześniej została zepchnięta pod koła pociągu na pobliskiej stacji metra. Zbrodni dokonał 61-letni Simon Martial i z pozoru nie była ona niczym motywowana. Morderca i ofiara nie znali się. Michelle Go była konsultantką w korporacji, Martial – bezdomnym złodziejaszkiem. Policja wciąż ociąga się z oświadczeniem, czy morderstwo było motywowane rasowo, ale nowojorczycy, zwłaszcza ci pochodzenia azjatyckiego, nie mają wątpliwości. Go padła ofiarą ataku wymierzonego w ich społeczność, na którą opinia publiczna wylewa dziś wściekłość za „chińskiego wirusa".

Statystyki są alarmujące

Od marca 2020 r. do końca roku przemoc wobec Azjatów w Nowym Jorku wzrosła o 233% w porównaniu z rokiem 2019. W 2021 wzrosła o 361% w porównaniu z rokiem 2020. W San Francisco skok ten był jeszcze większy, wręcz dramatyczny – o 567% w 2021 r. w porównaniu z rokiem 2020 r. W sondażu przeprowadzonym w kwietniu ub.r. przez Pew Center aż 81% Amerykanów azjatyckiego pochodzenia stwierdziło, że boi się przebywać w przestrzeni publicznej, a połowa przyznała, że od marca 2020 r. doświadczyła jakiejś formy przemocy, najczęściej werbalnego hejtu.

Jak to statystyki przekładają się na życie społeczności azjatyckiej, wykazały badania T.H. Chan School of Public Health na Uniwersytecie Harwarda. – Zapytaliśmy ludzi, z jakimi lękami żyją na co dzień. Co czwarta osoba przyznała, że najbardziej boi się, że sama lub ktoś z jej najbliższych padnie ofiarą ulicznego ataku. To więcej niż w społecznościach czarnoskórych, gdzie tego typu lęk odczuwa co piąta osoba – wyjaśniła rzeczniczka uniwersytetu Mary Findling.

Po śmierci Michelle Go lęki te wzrosną. Przypomnijmy, że w marcu 2021 r. 21-letni Robert Aaron Long zastrzelił w salonie piękności w Atlancie osiem osób, w tym sześć Azjatek. W styczniu tego roku, po ośmiu miesiącach śpiączki, zmarł 61-letni Yao Pan Ma, ofiara brutalnego pobicia w nowojorskiej dzielnicy East Harlem w kwietniu 2021 r. W styczniu 2021 r. miejski monitoring w San Francisco zarejestrował atak w biały dzień na 84-letniego Vichara Ratanapakdee, imigranta z Tajlandii. Napastnik skatował go na śmierć. Dwa miesiące później, również w San Francisco, 59-letni Danilo Yu Chang, zamiast wrócić po lunchu do biura, pojechał karetką do szpitala, bo zadano mu na ulicy niemal śmiertelny cios w głowę. W ten sam sposób została zaatakowana 61-letnia GuiYing Ma, gdy w listopadzie 2021 r. zamiatała chodnik przed swoją kamienicą w Queens w Nowym Jorku. W ubiegłym roku Azjaci w USA padli ofiarą prawie 5 tys. napaści klasyfikowanych jako przestępstwa z nienawiści. Każdego dnia kilkanaście osób doświadcza w Ameryce hejtu albo przemocy fizycznej ze względu na azjatyckie korzenie.

Mieszane uczucia

Historia zna wiele przykładów, kiedy konkretne wydarzenie staje się pretekstem do uwolnienia emocji pulsujących w tkankach społecznych od dłuższego czasu.

Do Azjatów przeciętny zjadacz chleba w USA na długo przed pandemią żywił mieszane uczucia. Z jednej strony, Azja staje się dla Ameryki coraz groźniejszym rywalem gospodarczym i intelektualnym w przynajmniej niektórych branżach. Z drugiej – Chiny, zamiast się załamywać, rosną w siłę, co inspiruje polityków z obu partii do ostrzegania, że chiński smok lada dzień może zdetronizować USA w roli globalnego lidera, nie tylko gospodarczego, ale i geopolitycznego. Wyborczy straszak to jedno, a rzeczywistość drugie. Nie da się przecież ukryć, że deficyt handlowy z ChRL to w dużej mierze dzieło samej Ameryki, dokonane rękami chciwych korporacji – poprzez nadmierne uzależnienie kraju od tańszych chińskich surowców, fabryk i siły roboczej.

Wreszcie mamy reperkusje światopoglądowe polityki i postawy Trumpa, a z czasem i innych republikanów, idących jego śladem.

Trump z amerykańskich obaw i lęków przed nadmiernym wzrostem Chin uczynił część swojej oficjalnej platformy wyborczej. Już w kampanii w 2015 r. zaczął portretować Chiny – dla wielu Amerykanów symbol całej Azji – jako kraj krętaczy i oportunistów, którym należy pokazać, że

eprasa.pl 4e4007b1d9

18 stycznia nowojorczycy i turyści uczcili pamięć Michelle Go, Azjatki, która została zepchnięta pod koła pociągu na stacji metra.

Ameryka nie da sobie w kaszę dmuchać. Ukrócić chińskie zuchwalstwo, a jednocześnie rozwiązać problem deficytu handlowego miał „deal stulecia", który Trump, król sukcesu, specjalnie dla Ameryki przyszykował. Dziś już wiemy, że żadnego dealu nie było, zaczęła się za to wojna taryfowa, na której Ameryka wyszła jak Zabłocki na mydle. W jej następstwie w latach 2018-2019 USA straciły co najmniej 300 tys. etatów, między 0,3 a 0,7% PKB, a firmy przez całe to zamieszanie musiały płacić wyższe marże przy jednoczesnym spadku zysków – mowa tu o sumie 46 mld dol. Dodatkowa strata w wysokości ok. 1,3 bln dol. wynikła ze spadku notowań giełdowych (Bank Rezerwy Federalnej/Uniwersytet Kolumbii w Nowym Jorku). Wyhamowanie przepływu dóbr między USA a Chinami przyczyniło się co prawda do obniżenia deficytu handlowego z 419,2 mld w 2018 r. do 345 mld w 2019 r., ale był to ten sam poziom, jaki Trump zastał, obejmując prezydenturę w styczniu 2017 r. Pogłębił się natomiast deficyt handlowy Ameryki z Europą, Meksykiem, Japonią, Tajwanem i Koreą Południową.

Trump nigdy do tej klęski się nie przyznał. Winą za załamanie dealu obarczył Chiny, insynuując, że kieruje nimi czysta nienawiść do Amerykanów. Gdy na początku pandemii odnosił się do koronawirusa, używając rasistowskich określeń typu „kung flu" czy „chiński wirus", nie było mowy o przejęzyczeniach, słowa te padały w konkretnym celu – poniżenia rywala.

Amerykańscy Azjaci, bez względu na to, czy są trzecią, czwartą czy piątą generacją w USA, zawsze postrzegani są jako „obcy".

W kwietniu 2020 r. doszło do wydarzenia bezprecedensowego w historii USA. W negatywnej reklamie wymierzonej w Bidena, wówczas kandydata na prezydenta, Trump posłużył się wizerunkiem Gary'ego Locke'a, z pochodzenia Azjaty, byłego gubernatora stanu Waszyngton i ambasadora USA w Chinach. Z reklamy płynęło przesłanie, że Locke jest urzędnikiem chińskim, nie amerykańskim, a pod rządami Bidena Ameryka będzie miała z takimi „agentami" do czynienia dużo częściej.

– Przemoc na tle nienawiści rasowej niepokojąco rosła już przed pandemią – przypomina John Merrill, politolog z Instytutu Studiów Koreańskich na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. – Nie sposób przecenić w tym procesie roli, którą odegrał Trump, szafując wypowiedziami pełnymi rasizmu i uprzedzeń. Choć nie zapominajmy, że Ameryka ma długą historię przemocy wobec każdej grupy imigrantów, czy to z Chin, czy z Irlandii, czy z Włoch, czy wobec Żydów.

Nad słowami prof. Merrilla warto się zatrzymać również z innego powodu. Obecna eskalacja przemocy wobec Azjatów spotyka się ze społecznym szokiem i zdumieniem, bo w powszechnej świadomości to grupa, którą rasizm do tej pory omijał.

Mniejszość modelowa?

W przeciwieństwie do innych społeczności imigrantów Azjaci są uznawani za „mniejszość modelową": zdyscyplinowani, podporządkowani, o wysokim etosie pracy i ambicjach edukacyjnych. Radzą sobie świetnie i dlatego nie ma powodów ani do walk rasowych, ani do dyskryminacji.

O ile prawdziwe jest stwierdzenie o ugodowej naturze imigrantów z Azji, o tyle to o braku dyskryminacji okazuje się kompletnie chybione – na co zwraca uwagę John Merrill. Kto zada sobie trud poszperania głębiej w historii, szybko odkryje, że mimo sławetnego hasła o tyglu Ameryka zawsze była wobec imigrantów pełna uprzedzeń. Odpowiedzialne są za to w dużej mierze realia bezwzględnego kapitalizmu, który kręci tutejszym życiem. To on dzieli ludzi na tych, którzy mają większe i mniejsze prawo do realizacji amerykańskiego snu. W roli pierwszych występują tzw. Amerykanie z korzeniami, w roli drugich – imigranci odbierający im miejsca pracy i niweczący ich szanse na sukces. Azjaci nie byli żadnym wyjątkiem, a modelową mniejszość (termin ukuty w 1966 r. przez socjologa Williama

eprasa.pl 4e4007b1d9

Petersena) czyni z nich chyba tylko to, jak wytrwale znosili dotąd rasizm i dyskryminację.

Gubernator Gary Locke: – Amerykańscy Azjaci, obojętnie, czy są już trzecią, czwartą czy piątą generacją w USA, zawsze są postrzegani jako „obcy", czego nie mówi się o trzeciej lub czwartej generacji Amerykanów irlandzkiego czy polskiego pochodzenia. Przekłada się to na stosunek reszty społeczeństwa do nas.

„Wieczni cudzoziemcy skłaniający się ku zdradzie państwa – tak wygląda konstrukcja najbardziej brzemiennego w skutki wizerunku Amerykanina azjatyckiego pochodzenia pokutująca od 150 lat. Bez względu na to, czy jest modelową mniejszością, gejszą, mistrzem walk, pracowitym handlowcem, zawsze jest outsiderem, któremu nie można wierzyć", wyjaśnia z kolei Claire Jean Kim z Asian American Studies Center w Los Angeles w raporcie pod znamiennym tytułem: „Asian Americans as Conditional Citizens" (Azjaci amerykańskiego pochodzenia jako niepełnowartościowi obywatele).

Demonstracja upamiętniająca ofiary napaści w spa w Atlancie w marcu 2021 r. 21-letni Robert Aaron Long zastrzelił osiem osób, w tym sześć Azjatek.

Ku Klux Klan kontra Azjaci

Pierwsi osadnicy z Chin pojawili się na Zachodnim Wybrzeżu w połowie XIX w. zwabieni gorączką złota. Gdy ta opadła, grupowo przestawili się na pracę na kolei, budując Amerykę *de facto* cały zachodni pas Kolei Transkontynentalnej, od Sacramento w Kalifornii po Promontory w stanie Utah, co pomija się dziś w szkolnych podręcznikach. Chętnie zatrudniani, jako że godzili się na niższe stawki, szybko stali się obiektem społecznego ostracyzmu. Kulminacja gniewu, że zabierają Amerykanom miejsca pracy, nastąpiła w 1882 r., kiedy to Kongres uchwalił Chinese Exclusion Act, pierwszą w historii amerykańskiego prawa imigracyjnego ustawę zamykającą całej grupie etnicznej drogę legalnej imigracji i naturalizacji. Jednocześnie Azjaci już przebywający na terenie USA stali się obiektem systemowego rasizmu, np. dzieci, nawet te urodzone w USA, nie mogły uczęszczać do szkoły publicznej. Z kolei po ataku na Pearl Harbor 120 tys. Amerykanów japońskiego pochodzenia (wystarczyło, że Japończykiem był któryś z pradziadków) zostało dekretem państwowym gwałcącym ich konstytucyjne prawa wywiezionych do obozów koncentracyjnych.

Przemoc na tle nienawiści rasowej niepokojąco rosła już przed pandemią.

Wojny koreańska i wietnamska, po których Ameryka za każdym razem uchylała drzwi dla wojennych azylantów, podgrzały antyazjatyckie nastroje do tego stopnia, że w 1981 r. Ku Klux Klan w spektakularnym widowisku spalił łodzie i sieć hurtowni należących do społeczności wietnamskich rybaków osiadłych w Galveston w Teksasie.

O tym, jak się żyje Azjatom we współczesnej Ameryce, pisał zaś niedawno dziennikarz „New York Timesa" Wajahat Ali w autobiografii „Go Back to Where You Came From: And Other Helpful Recommendations on How to Become American" (Wracaj, skąd przybyłeś, i inne dobre rady, jak zostać Amerykaninem). Wajahat Ali urodził się w Kalifornii, jego rodzice wyemigrowali z Pakistanu do USA w 1965 r. Pisze jednak o sobie: „Jestem tak amerykański jak korma, paj z jabłkami i chai, a jednak po 40 latach wciąż słyszę, że powinienem »wracać, skąd przybyłem«. (…) Kim jest się w Ameryce, gdy jest się jednocześnie »nami« i »nimi«? Jest się swoim, ale i obcym? Sąsiadem, ale i intruzem? Twórcą kultury, a jednocześnie niszczycielem białej tożsamości i cywilizacji europejskiej? (…) Według obowiązującego kodu nigdy nie będę »normalnym« ani »prawdziwym« Amerykaninem, takim jak np. biali rolnicy z Pasa Rdzy" (ang. Rust Belt, jeden z najbiedniejszych rejonów w USA – przyp. red.).

Azjaci w przeciwieństwie do Afroamerykanów na razie nie organizują masowych protestów ulicznych, by żądać sprawiedliwości rasowej, ale i oni zaczynają mówić „dość". Domagają się zmian w dwóch obszarach. Pierwszy to nowe ustawodawstwo, które zagwarantowałoby ich społeczności większą ochronę ze strony systemu. Kongres już na ten postulat zareagował, uchwalając na początku stycznia COVID-19 Hate Crime Act, ustawę przyznającą większe fundusze na karanie przemocy wobec ludności azjatyckiej i prewencję.

Drugi obszar, o wiele ważniejszy, to zmiana pokutujących stereotypów. To, jak podkreślają aktywiści, musi się zacząć od rewizji

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 4e4007b1d9

podręczników. Na razie nakaz włączenia do podstaw programowych historii społeczności azjatyckiej w USA przegłosowały tylko legislatury w Kalifornii i New Jersey. Mobilizacja, by trend objął cały kraj, jest jednak wielka, bo jak wykazał ubiegłoroczny raport ośrodka Stop Asian American Pacific Islander Hate (Stop przemocy przeciwko mieszkańców), w roku 2060 ma osiągnąć co najmniej 35 mln. No i jest to grupa, która od początku nowego tysiąclecia konsekwentnie i coraz liczniej głosuje na demokratów (przed prezydenturą George'a W. Busha popierała republikanów). W wyborach *midterms* w 2014 r. głosowało 25% tej grupy, dwa lata później już 49%, a w roku 2020 rekordowe

81% Amerykanów azjatyckiego pochodzenia boi się przebywać w przestrzeni publicznej.

Amerykanom pochodzenia azjatyckiego i z wysp Pacyfiku), ofiarą hejtu w szkołach padło w 2021 r. aż 31% uczniów z tej społeczności.

Uważnie słuchają Azjatów zwłaszcza demokraci – i nie bez powodu. Najnowszy spis powszechny (2020) potwierdził, że Azjaci są dziś najszybciej rosnącą grupą etniczną w USA. W ostatniej dekadzie powiększyła się ona o 81% (z 10,5 do 18,9 mln 60% uprawnionych do głosowania. Azjaci stanowią zaledwie 6% amerykańskiego elektoratu, lecz w wyborach, w których coraz częściej o zwycięstwie decyduje coraz mniejsza przewaga, ich poparcie może być kluczowe.

Wiele wskazuje, że gdy na dobre wrócimy do popandemicznej normalności, może ona znacznie odbiegać od tego, co było w 2019 r. W myśl powiedzenia, że nieszczęścia chodzą parami, koronawirus ruszył pod rękę z innym wirusem, który, choć toczy Amerykę od dawna, trochę lepiej się maskował – wirusem nienawiści rasowej. Pierwsza zła wiadomość jest taka, że nie da się go wyplenić szczepieniem. Druga – ofiary tego wirusa raczej nie zamilkną i będą z determinacją dochodzić sprawiedliwości. Trzecia – Ameryka już jest szalenie zróżnicowana etnicznie i rasowo, a w nadchodzących latach będzie jeszcze bardziej i pojęcia mniejszości oraz większości wkrótce przestaną mieć sens. Pozbycie się wirusa nienawiści leży więc w interesie wszystkich.

Jeśli Ameryka nie dogada się sama ze sobą, jak ma się dogadać z resztą świata i dalej funkcjonować? Ale by się pozbyć wirusa nienawiści, nie trzeba niczym się kłuć ani nic łykać. Wystarczy być człowiekiem i widzieć ludzi w innych.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 4e4007b1d9

Portugalczycy chcą stabilności

Socjaliści wybrani ponownie – bezwzględną większością

Tomasz Skowronek

Kilka dni przed wyborami parlamentarnymi w Portugalii wydawało się, że nawet António Costa, sekretarz generalny Partii Socjalistycznej (PS), stracił nadzieję na zdobycie absolutnej większości. Eksperci i dziennikarze oceniali, że obecny premier, ogłaszając przyśpieszone wybory, gra *va banque* i może przez to stracić władzę. Sondaże nie mogły jednak być bardziej błędne. Costa i jego konserwatywny rywal Rui Rio, sekretarz generalny Partii Socjaldemokratycznej (PSD), wcale nie szli łeb w łeb; wybory dały socjalistycznemu premierowi zdecydowaną większość w parlamencie. Po raz pierwszy od czasu, gdy w 2015 r. zastąpili konserwatystów, socjaliści będą mogli rządzić samodzielnie.

Partia Socjalistyczna zdobyła 41,7% głosów i 117 z 230 mandatów, ugrała zatem ośmiu deputowanych więcej niż dwa lata temu. „Portugalczycy pokazali czerwoną kartkę wszelkim kryzysom politycznym. Ludzie chcą stabilności", powiedział Costa po zwycięstwie.

Był to zaskakujący wynik, ponieważ większość sondaży poprzedzających wybory pokazywała, że socjaliści mają tylko niewielką przewagę nad opozycyjną PSD. Oznacza to, że Costa nie będzie już musiał polegać na wsparciu Bloku Lewicy (BE) i Partii Komunistycznej (PCP), które pomagały mu od 2015 r. Ta nieoficjalna koalicja nazywana była *geringonça*, co mniej więcej oznacza rozklekotane urządzenie.

„Portugalczycy cenią wsparcie, które otrzymali w obliczu COVID-19, takie jak urlopy i wysiłki krajowego systemu opieki zdrowotnej – zauważyła Rosalía Amorim, redaktorka gazety „Diário de Notícias". – W praktyce woleli postawić na stabilność i wybrali lidera, którego już znali. Jednocześnie jasno powiedzieli, czego nie chcą: lewicowej ani prawicowej *geringonça*".

António Costa był wcześniej ministrem sprawiedliwości, za premiera Antónia Guterresa, obecnie sekretarza generalnego ONZ. Pięć lat później został burmistrzem Lizbony, miasta, w którym się urodził. Jest synem poety Orlanda da Costy, prześladowanego przez dyktaturę Salazara z powodu przekonań komunistycznych. Korzenie rodziny sięgają indyjskiego Goa, które do 1961 r. było portugalską kolonią.

Costa, który od 35 lat jest mężem obecnie emerytowanej nauczycielki wychowania przedszkolnego Fernandy Tadeu i ma z nią dwójkę dzieci, jest uważany w Portugalii za człowieka umiarkowanego i doświadczonego menedżera kryzysowego. Udało mu się uwolnić kraj od ustaleń oszczędnościowych unijnej trojki i jednocześnie ustabilizować gospodarkę. Portugalczycy najwyraźniej ufają, że poradzi sobie również z nowym kryzysem – wynikającym z wciąż trwającej pandemii.

Socjaliści będą mogli rządzić samodzielnie po raz pierwszy od czasu, gdy w 2015 r. zastąpili konserwatystów.

Premierem został w 2015 r., po tym jak zwycięska centroprawicowa Partia Socjaldemokratyczna nie potrafiła utworzyć rządu. Wówczas prezydent powierzył to zadanie socjalistom, a ci zawiązali nieoficjalną koalicję z dwoma mniejszymi partiami lewicowymi. Nieprawdopodobny sojusz centrowych i proeuropejskich socjalistów z wymachującą sierpem i młotem PCP oraz radykalnie antykapitalistycznym Blokiem Lewicy nazwano *geringonça*. Wydawało się, że taka koalicja jest z góry skazana na porażkę i niestabilność polityczną. Ku zaskoczeniu wielu takie rozwiązanie jednak zadziałało.

Wyborcom spodobał się sposób, w jaki lewicowy rząd „przewrócił stronę w sprawie oszczędności" i zarządzał wzrostem gospodarczym, jednocześnie dając demokratycznej Portugalii w 2019 r. pierwszy zrównoważony budżet. Płaca minimalna, emerytury i pensje w sektorze publicznym rosły, choć powoli. Obniżono także podatki rodzinom o niskich dochodach. Wpłynęło to pozytywnie na konsumpcję, a tym samym na popyt krajowy i rozwój gospodarczy. Spadło bezrobocie. Portugalia zakończyła udział w unijnym pakiecie ratunkowym wcześniej, niż oczekiwano. Kiedy Costa został ponownie wybrany w 2019 r., notowania socjalistów znacznie wzrosły, ale nadal pozostawali poniżej absolutnej większości. Obecny premier opierał się na zmieniających się większościach aż do upadku budżetu zeszłej jesieni.

Spór o budżet na 2022 r. doprowadził do upadku *geringonça*, co wywołało przyśpieszone wybory. Dwie partie lewicowe, które do tej pory popierały mniejszościowy rząd Costy – komunistyczno-zielony sojusz CDU i Blok Lewicy – uzyskały 4,4% i 4,5% i odpowiednio pięciu i czterech deputowanych. Do tej pory BE miała 19 deputowanych, a sojusz CDU – 12. Wyborcy jednak ukarali lewicę za to, że nie poparła budżetu Costy.

Tradycyjni portugalscy komuniści, którzy przetrwali cztery dekady dyktatury za czasów Estado Novo, mieli nadzieję, że znów staną się „decydującą siłą" w Portugalii. Niezadowolona z rezultatów wyborów jest również główna opozycyjna Partia

eprasa.pl 4e4007b1d9

„Portugalczycy pokazali czerwoną kartkę wszelkim kryzysom politycznym”, powiedział Costa po zwycięstwie.

Socjaldemokratyczna (nazwa może być myląca, jest to bowiem partia centroprawicowa). „Nie zbliżyliśmy się nawet do naszych celów – powiedział lider ugrupowania Rui Rio. – Partia Socjalistyczna jest dziś wielkim zwycięzcą”.

Rio zasugerował, że ustąpi ze stanowiska lidera partii. „Nie rozumiem, jak mógłbym się przydać, skoro PS ma większość absolutną na następne cztery lata”, przyznał. Porażkę przypisał pęknięciu na prawicy wraz z pojawieniem się nowej probiznesowej partii Inicjatywa Liberalna, która od momentu powstania poprawiła swój wynik prawie czterokrotnie (do niemal 5%), oraz skrajnej prawicy – partii Chega.

Chociaż Chega była jednym z „wyraźnych zwycięzców wyborów”, jej wynik jest znacznie niższy niż prawie 12%, które lider tego ugrupowania André Ventura uzyskał w wyborach prezydenckich rok temu. Mimo to wciąż 7,2% wyborców głosowało na tę dawną gwiazdę małego ekranu, która zasłynęła komentowaniem dla prywatnego kanału CMTV meczów stołecznego klubu SL Benfica.

Wynik ten jest zdumiewający w Portugalii, gdzie system wyborczy tradycyjnie faworyzuje dwie główne partie. W Hiszpanii prawicowy Vox otrzymał jeszcze więcej głosów w wyborach w 2019 r., ale ta narodowo-konserwatywna partia polityczna stała się tak silna głównie z powodu konfliktu w Katalonii, w kontekście którego przedstawiała się jako strażnik hiszpańskiej jedności. Natomiast w Portugalii nie ma tak otwartego konfliktu, który mógłby pomóc Chedze. Kraj ów stał się bowiem demokratyczny dopiero w połowie lat 70. i od tego czasu wydawał się odporny na idee skrajnie prawicowe. Niestety, aktualne wybory pokazują, że tak nie jest.

Politolożka Marina Costa Lobo z Uniwersytetu Lizbońskiego podejrzewa, że wielu głosujących na tę formację było „wyborcami protestu”: „Program wyborczy Chegi miał tylko kilka stron – mówi. – Partia nie ma konkretnych celów ani rygorystycznych wymagań. Chega była jednoosobowym pokazem protestacyjnym stworzonym przez prawnika i byłego komentatora sportowego André Venturę. Teraz partia zbierała głosy zwłaszcza w większych miastach, gdzie najboleśniejsza jest przepaść między niskimi dochodami a wysokimi kosztami życia”.

Ventura już zapowiedział, że będzie najaktywniejszą opozycją wobec socjalistów. António Costa zaznacza natomiast, że pomimo bezwzględnej większości będzie otwarty na dialog z innymi siłami politycznymi.

„Wielu Portugalczyków o różnych przekonaniach dołączyło do socjalistów, ponieważ wierzą, że w tej chwili jesteśmy partią, która może zagwarantować stabilność – wyjaśnił Costa. – Większość absolutna nie oznacza bynajmniej władzy absolutnej, nie oznacza rządzenia samodzielnie – jest obowiązkiem rządzenia dla wszystkich Portugalczyków”.

Premier zaoferował dialog wszystkim partiom w parlamencie, z wyjątkiem skrajnie prawicowej Chegi. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4e4007b1d9

Starość nie radość

Gospodarki krajów rozwiniętych już teraz potrzebują imigrantów, żeby przetrwać

O migracji zarobkowej nie ma w Japonii mowy. Barierę językową wzmacnia niechęć do obcych.

Mateusz Mazzini

Milion. Ta liczba zawsze robi wrażenie, a w kontekście politycznym wybrzmiewa z reguły jeszcze mocniej. Dlatego kiedy w 2015 r. Niemcy pod rządami Angeli Merkel zdecydowały się przyjąć właśnie milion imigrantów z Bliskiego Wschodu (nie wszyscy pochodzili z Syrii, jak przyjęło się wierzyć), ten ruch niemal natychmiast został zmitologizowany. Dla europejskiej prawicy, nie tylko tej skrajnej, stał się symbolem zgnilizny liberalizmu i moralnego upadku przywódców, takich jak była już niemiecka kanclerz, którzy bezrefleksyjnie przyjmują przybyszów z innych krajów i kultur. Tacy ludzie nie są w stanie się zasymilować, krzyczała w Niemczech AfD, a wtórował jej chór populistów w całej Europie: od Hiszpana Santiaga Abascala z Vox po rodzimych piewców nacjonalizmu w typie Jarosława Kaczyńskiego czy Pawła Kukiza.

Przyjęcie aż miliona osób wzmocniło też prawicę radykalną, bo stanowiło potężny dowód słuszności jej ulubionej koncepcji tożsamościowej – tzw. Teorii Wielkiej Wymiany. Zakłada ona, że cała cywilizacja chrześcijańska mierzy się właśnie ze śmiertelnym zagrożeniem w postaci napływu migrantów z Azji, Bliskiego Wschodu i Afryki. Przybysze ci chcą osiedlać się w Europie, USA, Australii i Nowej Zelandii, udają się tam w pogoni za lepszym życiem. A ponieważ społeczeństwa bogate są coraz starsze i coraz mniej liczne, podczas gdy sytuacja w krajach rozwijających się jest odwrotna, masowa migracja według prawicowców doprowadzi właśnie do wymiany populacyjnej. Czarni i muzułmanie przyjadą do nas i rozmnożą się tak szybko, że staniemy się mniejszością we własnej ojczyźnie, będącej przecież kolebką całej cywilizacji.

Teoria Wielkiej Wymiany od dawna jest czymś więcej niż tylko legendą radykałów czy internetowym mitem. Jej płomiennym wyznawcą był chociażby Brenton Tarrant, 30-letni Australijczyk, który 15 marca 2019 r. wszedł do dwóch meczetów w nowozelandzkim Christchurch, mordując łącznie 51 osób. To była nie tylko największa tragedia publiczna w historii Nowej Zelandii, ale też dowód siły popularyzowanych w internecie radykalnych teorii antyimigranckich. Tarrant, którego przypadek szczegółowo opisała Julia Ebner w książce „Coraz ciemniej. Ekstremiści w sieci", zradykalizował się właśnie w sieci. Zamach transmitował zresztą na żywo na Facebooku, ostatecznie zacierając granicę między światem realnym i wirtualnym.

Od kryzysu migracyjnego z 2015 r. wiele na świecie się zmieniło, również w kwestii polityki wobec przybyszów z zagranicy i społecznego do nich podejścia. Nie zmieniła się jednak sytuacja po stronie tych, którzy migrantów ewentualnie do siebie przyjmują. Demografii nie da się oszukać. Europa potrzebuje zastrzyku populacyjnego, w przeciwnym razie stanie się niewydolnym ekonomicznie kontynentem starych ludzi.

Czy Niemiec zadba o siebie

Niemcy są tu być może najlepszym przykładem. Jak wylicza Nadav Eyal, izraelski reporter i eseista zajmujący się tematami globalizacji, Republika Federalna już teraz powinna przyjmować co roku pół miliona migrantów zarobkowych, żeby utrzymać bieżącą wydajność gospodarki i tempo wzrostu. Podkreślmy to jeszcze raz, żeby uwypuklić kontekst. W Niemczech brakuje 500 tys. rąk do pracy. Jeśli tę lukę zastąpić migrantami, oznaczałoby to przyjęcie prawdopodobnie 1,5-2 mln osób. Migranci rzadko przecież przyjeżdżają sami. Nawet jeśli robią tak na początku, z czasem sprowadzają rodziny. W tym dzieci, które przecież rynku

eprasa.pl 4e4007b1d9

pracy nie zasilą. Eyal, którego książka „Rewolta. Koniec epoki odpowiedzialności" ukazała się w ubiegłym roku na polskim rynku, przypomina, że to tylko prognoza na najbliższe kilka-kilkanaście lat. Jeśli przyrost naturalny wśród Niemców zacznie spadać jeszcze szybciej niż teraz, imigrantów potrzeba będzie jeszcze więcej. W takim kontekście wspomniany milion osób przyjęty w 2015 r. nie brzmi po prostu racjonalnie.

Niemieckie społeczeństwo za chwilę nie będzie w stanie zadbać o siebie. Jak wynika z danych Aging Readiness and Competitiveness Initiative, grupy badawczej zajmującej się projekcjami demograficznymi, już w 2050 r. co trzeci mieszkaniec Niemiec będzie miał 65 lat lub więcej. Stawia to naszych zachodnich sąsiadów w gronie pięciu najszybciej starzejących się rozwiniętych gospodarek, obok Włoch, Grecji, Finlandii i Japonii. Przyrost naturalny wynosi 1,54 dziecka na kobietę. Żeby osiągnąć tzw. zastępowalność pokoleń, czyli po prostu utrzymać populację, musi on dobić do wartości 2,1. Takiego deficytu nie da się zredukować własnymi siłami – piramida populacyjna jest już zaburzona. Choćby nie wiadomo jak zachęcone politycznie i finansowo, Niemki same nie urodzą tyle dzieci, by naród utrzymał liczebność. Potrzeba wsparcia z zagranicy.

W dodatku, co mocno wybrzmiewa w analizach Nadava Eyala, nie będzie to już ta „bliższa" zagranica. Niemcy nie dadzą rady załatać dziury pracownikami z Polski, Czech, krajów bałtyckich czy byłych republik jugosłowiańskich, bo ich też jest już za mało. Nie mówiąc o tym, że każdy kraj Europy Środkowo-Wschodniej i Południowej ma własne problemy populacyjne. Oprócz niżu demograficznego i niskich wskaźników zastępowalności mierzą się z masową emigracją, co przekłada się na pustynnienie niektórych obszarów. Od upadku komunizmu Łotwa, Rumunia i Bułgaria straciły według różnych szacunków od jednej piątej do jednej czwartej populacji. Proces ten przyśpieszył zwłaszcza po rozszerzeniu Unii Europejskiej w 2004 r. Również te mniej zamożne państwa Europy wpadły w pułapkę demograficzną, ich obywateli także zaraz będzie za mało, by nieść na swoich barkach przyszłość całego kraju.

Wskazane jest nie tylko przyjmowanie migrantów, ale też ściąganie ich w jak najmłodszym wieku.

Starzenie się społeczeństw jest oczywiście problemem samym w sobie, ale warto przyjrzeć się naturze problemu nieco głębiej. Nie tylko brak rąk do pracy jest tutaj niepokojący. Coraz starsza populacja wymaga coraz intensywniejszej opieki, w tym medycznej. W Niemczech już teraz liczba wakatów w zawodach pielęgniarskich, medycznych i opiekuńczych wynosi 100 tys. W dodatku utrzymywanie tylu seniorów jest kosztowne i trudne merytorycznie, zwłaszcza dla lekarzy. Dawniej znacznie mniej ludzi dożywało sędziwego wieku, m.in. z powodu wyższej śmiertelności na bardzo wiele schorzeń teraz w pełni uleczalnych.

Ta zmiana oznacza jednak, że dzisiejszy pacjent w zaawansowanym wieku to pacjent przeleczony, często kilkukrotnie operowany, zażywający wiaderka leków. Takiej osobie znacznie trudniej przygotować plan leczenia, dobrać kolejne lekarstwa. Leczenie starszych pacjentów wymaga czasu i ciągłego

eprasa.pl 4e4007b1d9

dokształcania, dlatego dla medycyny to szczególne wyzwanie.

W innych dziedzinach gospodarki nie jest wcale lepiej, ale tutaj Niemcy już niczym nie odróżniają się od chociażby USA (15% populacji powyżej 65. roku życia już w 2030 r.), Kanady (16%), Wielkiej Brytanii czy Francji (po 18%). Rewolucja technologiczna wymusza ruchy tektoniczne na rynku pracy, kształcenie specjalistów do zawodów, których jeszcze nie wymyślono. Brakuje zatem nie tyle pracowników, ile pracowników przyszłości. Z punktu widzenia krajów rozwiniętych wskazane jest więc nie tylko przyjmowanie migrantów, ale też ściąganie ich do siebie w jak najmłodszym wieku. U siebie często nie mają stałego dostępu do edukacji, a nawet jeśli się kształcą, to z reguły na niższym poziomie niż ich rówieśnicy z Europy i Ameryki Północnej. Z czysto utylitarnego punktu widzenia bogata Północ powinna przyjmować przede wszystkim migrujące dzieci.

Z Afryki wyjadą najlepsi, najzdolniejsi, najbardziej przedsiębiorczy. Ubogie kraje stracą kapitał ludzki.

Japonki nie chcą rodzić

Niemcy jeszcze jakoś sobie radzą. Znacznie gorzej wygląda sytuacja innego „superstarego" społeczeństwa – Japonii. W 2030 r. odsetek mieszkańców w wieku co najmniej 65 lat wyniesie 26,5%, informuje serwis CNN Money na podstawie danych ONZ. Już teraz takich osób jest tam 36,4 mln, co roku grupa ta powiększa się o 200 tys. Aż 9 mln pozostaje aktywnych zawodowo, większość dlatego, że po prostu musi, bo nie utrzyma się z niskich emerytur. Przyrost naturalny – 1,36, prawie o całe jedno dziecko na kobietę za mało, żeby społeczeństwo nie zawaliło się od środka. W dodatku Japonki nie rodzą także z przyczyn kulturowych. W kraju wciąż dominuje model rodziny nuklearnej opartej na małżeństwie, wolnych związków praktycznie nie ma. A żeby małżeństwo zawrzeć, trzeba mieć odpowiednie zaplecze materialne.

Młodzi Japończycy zapracowują się prawie na śmierć, żeby zarobić na ślub – zanim jednak to osiągną, ich okno płodności często się zamyka. Japonki z kolei próbują się emancypować i szukają szczęścia w karierze zawodowej. Dziecko na rynku pracy może tylko przeszkodzić, bo wypycha z obiegu, do którego potem trudno wrócić. Po powrocie czekałaby je najpewniej praca maksymalnie na pół etatu, i to na niższym szczeblu niż ten, z którego odchodziły.

O migracji zarobkowej nie ma w Japonii właściwie mowy. Bariera językowa jest gigantyczna, a dodatkowo wzmacnia ją kulturowa hermetyczność i niechęć do obcych. Przybysze z innych krajów nazywani są tu *gaijin*, ludźmi z innych krajów, co ma często pejoratywny wydźwięk. A nawet jeśli pojawią się tu imigranci z pobliskich krajów, np. Korei Południowej, odbijają się od resentymentów historycznych. Japonia polityki migracyjnej nie prowadzi w ogóle, czym strzela sobie w stopę.

Pięciu emerytów na dziecko

Każde ze starzejących się społeczeństw ma ten sam problem, choć ugruntowany w innych warunkach politycznych i kulturowych. We Włoszech w 2020 r. na jedno dziecko przypadało już ponad pięciu emerytów, podczas gdy w 1970 r. stosunek ten wynosił jeden do jednego. Tam migrantów nie brakuje, problemem jest brak systemowego podejścia do ich integracji w społeczeństwie. Najczęściej granicę przekraczają na południu i wielu tam zostaje, a to region i tak strukturalnie kulejący, niedofinansowany, osierocony przez państwo. Południe Włoch niewiele ma do zaoferowania migrantom, bo samo ma niewiele. A to z kolei nakręca spiralę negatywnej percepcji przybyszów, opowieści o gwałtach, przestępczości, teorii takich jak Wielka Wymiana. Grecja, drugi najstarszy (średnio) naród Unii Europejskiej, nie jest z kolei w stanie zatrzymać migrantów na dłużej. Nawet jeśli tu trafiają, idą na północ. Najczęściej do Niemiec, rzadziej do krajów skandynawskich.

A jest jeszcze druga strona migracyjnego równania – kraje, z których migranci wyjeżdżają. Stephen Smith, afrykanista z amerykańskiego Uniwersytetu Duke'a, prognozuje, że w ciągu najbliższych trzech dekad do Europy przyjedzie 150 mln młodych mieszkańców Afryki, głównie jej subsaharyjskiej części. Dla Starego Kontynentu to życiodajny zastrzyk, dla Afryki – prawdopodobnie gwóźdź do trumny. Wyjadą bowiem ci najlepsi, najzdolniejsi, najbardziej przedsiębiorczy. Wydrenowane z talentów ubogie kraje stracą kapitał ludzki i szansę na zniwelowanie dystansu do globalnej Północy. Afryka, zamiast się rozwijać, stanie w miejscu.

Inni eksperci każą pamiętać, że Południe nie jest populacyjną studnią bez dna. W miarę polepszania się opieki zdrowotnej i dostępu do edukacji i tam udaje się zapanować nad wzrostem liczby ludności. Dane Światowego Forum Ekonomicznego w Davos pokazują to wyraźnie. Każdy rok spędzony w szkole przez nigeryjską dziewczynkę statystycznie przekłada się na urodzenie przez nią 0,25 dziecka mniej. Cztery lata edukacji dają więc mniej liczną rodzinę. Osiem lat – znacząco mniejszą.

Kryzys populacyjny ma zatem różne oblicza, nie zawsze manifestuje się w formie deficytu młodych. Starzenie się bogatej Północy jest już jednak faktem, tak samo jak potrzeba przyjmowania migrantów, by utrzymać zachodnie gospodarki. Z matematycznego rachunku wychodzi więc, że Wielka Wymiana częściowo okaże się prawdą, choć nie w takiej formie, jaką opisują radykałowie. Nawet oni będą musieli ją zaakceptować, w przeciwnym razie ich społeczeństwa po prostu przestaną istnieć.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e4007b1d9

Oko w oko Tomasz Jastrun

Wina Tuska

Pisarka Maria Nurowska nie żyje, znaliśmy się od bardzo wielu lat. Są ludzie, w których śmierć łatwo uwierzyć, są tacy, w których zniknięcie uwierzyć trudno, Maria należy do tych drugich. Zostawiła nie tylko swoich znajomych i swoje książki, ale też oszałamiający widok na Tatry z jej pięknego drewnianego pensjonatu na wysokiej Bukowinie. Odwiedziliśmy ją tam trzy lata temu. Zbudowała go za pieniądze, które dostała z Chin, wydano jej tam książkę w wielkim jak ten kraj nakładzie. Umierając, zostawiamy, co piękne, ale też co szpetne, śmierć ma więc również wielkie zalety. Maria była zabawna, wyraźna, ujawniała chętnie swoje najbardziej intymne tajemnice, było w niej wiele narzekania i rozpaczy, ale to miało wdzięk.

Okazuje się, że tego samego dnia co Maria zmarł Jarosław Marek Rymkiewicz, zdolny pisarz, gorący zwolennik PiS; mam jego książki z serdecznymi dla mnie dedykacjami, kiedyś był normalny. Potem udawał, że mnie nie zna. Prawica wypłukana z wybitności bardzo go hołubiła, ale on zrobił jej świństwo, prawie w ogóle nie udzielał się publicznie, więc nie było jak wykorzystać go propagandowo. Jaki ból. Maria nienawidziła PiS, uczuciem gorącym – byłaby bardzo nieszczęśliwa z powodu tej ostatecznej równoległości. Nasze podziały, emocje, niechęci są tak głębokie, że śmierć ich nie niweluje. Umarło dwóch moich dawnych przyjaciół, ta przyjaźń co prawda stopniała przez lata, ale wielki sentyment został. Obaj zachorowali na religię smoleńską. I nie mogę im wybaczyć, nawet po śmierci nie potrafię.

Nasze podziały, emocje, niechęci są tak głębokie, że śmierć ich nie niweluje.

•

W Teatrze Dramatycznym „Rewizor" w reżyserii Rosjanina Jurija Murawickiego. Na początku żałowałem, że to nie jest zrobione po bożemu, jak by chciał Gogol, ale potem przekonał mnie ten spektakl w stylistyce kantorowski. I świetnie grany. Ludzie jak kukiełki, manekiny, groteskowa sztuka Gogola doprowadzona na skraj groteski. Tak, podobał mi się ten dobrze zagrany spektakl. No i genialny tekst Gogola. Ciekawe, że gdy pokraczni bohaterowie pomstują na liberalizm jako źródło wszelkiego zła, brzmi to aktualnie i widownia reaguje. Tak się porobiło.

•

Pegasus – paranoicy, spiskowo myślący, autorytarni, dostali genialne narzędzie do podsłuchiwania, to jasne, że nie mogli się powstrzymać. Podsłuchiwali, kogo się dało na prawo i na lewo. Wrogów, przyjaciół, by mieć haki na ludzi, a pewnie też z ciekawości. Ja także jestem podglądaczem jako pisarz, więc rozumiem, że jak się ma takie cudo, to trudno się powstrzymać. Nie zdziwiłbym się, gdyby ci zazdrośni z tajnych służb podsłuchiwali swoje żony. Już widać, że żaden sąd w to się nie mieszał. Ciekawe, że podobna afera jest w Izraelu, w ojczyźnie Pegasusa. Ale tam pewnie zadziałają instytucje kontrolne.

•

Ktoś zamieszcza na Facebooku zdjęcie ekranu telewizyjnego z programem TVP Info. Paski na dole mówią: „Dzięki polityce rządu PiS mamy kolejny rekord Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Przez osiem lat rządów PO i PSL Polacy nie okazywali takiej ofiarności i współczucia". Jakże trafny mem, bo na co ich stać w podłym kłamstwie? Na wszystko. Dlatego nie zgadzam się z Bogdanem Borusewiczem, który jest pewien, że Jarosław Kaczyński z moralnych powodów nie sfałszuje wyborów. Dawny Kaczyński pewnie miałby skrupuły, nowy dla dobra ojczyzny się poświęci, zrobi wszystko, nawet największą podłość.

•

Z dziećmi do Muzeum Etnograficznego, wystawa obrazów Nikifora. Mamy jeden jego obrazek w domu. Dzieci oczywiście grymaszą, jakby to była dla nich kara, ale poszliśmy potem do McDonalda, tam odzyskały humor. Nikifor malował naiwnie jak dziecko, jednak coś różni jego rysunki od tych dziecięcych, przecież też często bardzo pięknych. To coś jest tajemnicą. Potem nieco się rozpogodziło, przestał padać mokry śnieg, więc na prośbę dzieci do Pałacu Kultury, na taras widokowy. W dole miasto mokre i zmrożone, w kolorze zimnej stali. Ludzie się mrowią. Na placu Defilad trwają prace przy budowie Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Już się cieszę na jego otwarcie. Będzie tam wiele obrazów bliskich i znajomych. W kawiarni na 30. piętrze czas się zatrzymał, gdzieś na latach 70. I podoba mi się to. Od razu czuję się młodszy.

•

Znowu wszystko to „wina Tuska". Ta propaganda wydała się już wyczerpana, tak rozmnożyli winy Tuska, że jest nawet odpowiedzialny za złą pogodę. A oni uparcie używają tej formuły. Tusk jawi się jako wszechpotężne źródło zła. Jak w propagandzie hitlerowskiej Żyd, a w komunistycznej imperialista. Doprowadzili do tak absurdalnej sytuacji, że nawet jeśli coś będzie winą Tuska, to nikt przy zdrowych zmysłach w to nie uwierzy.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4e4007b1d9

JAKA HISTORIA

Meandry śląskiej historii

Historia śląskich chłopów jest inna niż tych z byłej Kongresówki czy Galicji

Dariusz Zalega

Górny Śląsk – pruski i austriacki – był obok Czech pierwszym słowiańskim regionem, który wszedł w orbitę kapitalistycznej modernizacji. Już samo to zjawisko odróżnia go od reszty współczesnej Polski. Na początku XX w. było to największe skupisko robotników w Europie Środkowej. Historyczka Maria Wanatowicz zwróciła uwagę, że „w dużych skupiskach łatwiej rodziła się solidarność robotnicza, (…) wcześniej kształtował się wspólny model zachowań społecznych, obyczajów, kultury duchowej i materialnej, świadomość wspólnej pozycji społecznej, wspólnych interesów, własnej siły".

Inny świat

Nawet historia chłopów na Śląsku odmiennie się toczyła niż na innych terenach Polski. W podobnym stopniu dotknęły ich procesy refeudalizacji, ale jeszcze w XVII w. często procesowali się ze swoimi panami i odwoływali do Wyższego Urzędu Śląskiego, praskiej Izby Apelacyjnej bądź czeskiej Kancelarii Dworskiej w Wiedniu. W dobie państw absolutystycznych, józefińskiej Austrii i fryderycjańskich Prus, chłopi mieli bez porównania łatwiejszy dostęp do rządowej biurokracji, nie zawsze opowiadającej się po stronie szlachty. Fakt zamieszkiwania w państwach bardziej scentralizowanych i – w przeciwieństwie do Rzeczypospolitej – niebędących zlepkiem „szlacheckich republik" powodował, że większy zasięg miały tutaj powstania chłopskie. Oczywiście wpływ na to miała też koncentracja ziemi w ręku nielicznych rodów szlacheckich, z czym mieliśmy do czynienia praktycznie do II wojny światowej. Od końca XVIII w. do połowy XIX w., gdy ostatecznie zniesiono relikty feudalizmu na wsi, można było tu zaobserwować praktycznie długotrwałą wojnę ludową, posługując się maoistowską terminologią. Powstania skierowane przeciwko pańszczyźnie obejmowały wiele powiatów, w jednej części Śląska zanikały, aby wybuchnąć ze zdwojoną siłą w drugiej. Tę odmienność chłopskich losów widać także w zapomnianej historii pierwszych chłopów polskojęzycznych, którzy znaleźli się w parlamencie – w 1848 r., na fali Wiosny Ludów, chłopscy posłowie ze Śląska zasiedli bowiem w ławach parlamentu Prus i Rzeszy. To z szeregów chłopów wyrugowanych z ziemi nie w wyniku nakazu pana, lecz na skutek kapitalistycznej transformacji wsi, wywodził się śląski proletariat przemysłowy.

W 1848 r., na fali Wiosny Ludów, chłopscy posłowie ze Śląska zasiedli w parlamentach Prus i Rzeszy.

Ten nowy przemysłowy świat to nie tylko fabryki. To także nowe wzorce zachowań pracujących w nich ludzi, rodząca się konieczność solidarności (bo jak coś zawalisz w pracy, to zagrażasz też życiu kolegów), zmiana horyzontów kulturowych – wszak w zakładzie pracowało tyle osób, ile wcześniej chłopak ze wsi mógł spotkać przez całe życie. Czasem te zmiany kryją się w suchych statystykach. Oto w 1915 r. 20 mln osób przejechało tramwajami na Śląsku. Wcześniej po dwie, trzy godziny trzeba było iść do roboty, a teraz jest bana (tramwaj). Zyskujesz parę godzin życia dla siebie – i to codziennie.

Legenda konserwatywnego Śląska

Od dawna utrwalała się przede wszystkim wizja konserwatywnego Śląska. „Zdolność kategorycznych żądań nie leży we krwi Górnoślązaka, jest on z natury dobroduszny", pisał Jan Kasprowicz w 1886 r. na łamach „Przeglądu Społecznego". Pod maską dobroduszności kipiał jednak gniew. „Gniew mojego ojca był gniewem nędzarza pracującego dla bogacza. Gniewem szeregowca kładącego swe życie na szali losu na rozkaz generała. (…) Gniewem człowieka żyjącego w świecie, który jest trwały i w którym nie ma nadziei ani widoków na zmianę" – tak swojego ojca, górnika, wspominał Alois Pokora, bohater powieści Szczepana Twardocha. I były powody tego gniewu, bynajmniej nie metaforyczne: niższe pensje i gorsze warunki pracy niż w innych zagłębiach przemysłowych Niemiec, większy zamordyzm władz, ale również zrośnięcie się feudalizmu i kapitalizmu w elitach ziemi i fabryk. I wydawało się, że nic tego nie może ruszyć.

Alois Pokora: „Ojciec mój był nieuświadomionym marksistą bądź socjalistą pod względem diagnozy rzeczywistości – rozumiał dobrze, kto zbiera plon jego znoju – i ponurym konserwatystą, jeśli chodzi o zalecaną terapię: (…) Nam, biedakom,

eprasa.pl 4e4007b1d9

Tramwaj w Katowicach, 1934 r.

W 1915 r. 20 mln osób przejechało tramwajami na Śląsku. Wcześniej po dwie, trzy godziny trzeba było iść do roboty, a teraz jest bana.

nie takie życie pisane, tylko znój, pylica na wczesną starość albo kula na jakiejś pańskiej wojnie".

Sprzyjały temu głosy płynące z kościelnych kręgów. Karol Miarka na łamach „Katolika" przestrzegał: „Sarkania, szemrania, bunty i rewolucje to do niczego nie prowadzi". W 1889 r. bp Georg Kopp groził górnikom: „Jeżeli wy uwiedzeni przez kusicieli i niedojrzałych podżegaczy dacie się namówić do gwałtów i nieprawości, (...) nigdy nie mógłbym bez najgłębszego smutku i żalu ponownie oglądać waszych kopalnianych łachmanów".

Ale i to zaczynało się zmieniać. Najpierw z dominacją Kościoła zaczęły zrywać środowiska górnicze austriackiego Śląska. Głosowano już nie na proboszcza, lecz na kolegów z pracy – czym martwiła się katolicka „Gwiazdka Cieszyńska". Tamtejsze zagłębie górnicze nazywano więc czerwonym. Ten proces opóźniony był na niemieckim Śląsku, gdzie katolicyzm nie był religią władzy, a konflikt narodowy – także w wyniku autorytarnych posunięć pruskich władz – coraz mocniej nakładał się na konflikt klasowy. I tu jednak mamy zmiany – w polskiej historiografii pomija się lata 1912-1914, gdy polski ruch narodowy tracił już wiatr w żaglach, a socjaldemokracja zaczęła rosnąć w siłę. Symbolicznie lewica wygrała wybory w Królewskiej Hucie, dzisiejszym Chorzowie.

Historia poza historią

Dlaczego tak niewiele wiemy o ludowej historii Śląska? Bo została przesłonięta przez wielkie narodowe narracje: polską, niemiecką i czeską. Wszystkie one wolały podkreślać konserwatywne wartości przywiązania do „jedynie słusznej ojczyzny", co popierały również hierarchie kościelne. Wymazaniu tej „zbuntowanej" historii regionu sprzyjała także całkowita zmiana społeczna, która dokonała się po 1945 r. Duża część Ślązaków wyemigrowała na Zachód w poszukiwaniu lepszych warunków życia, tropem Ostfluchtu. Ci, którzy pozostali, zamykali się w swoim świecie przytłoczeni przez dominującą polską – a właściwie warszawską – narrację. Wypędzenie, emigracja czy gettoizacja sprzyjały powstaniu mitu dawnej śląskiej arkadii: bogatej i szczęśliwej. W oficjalnej polskiej historii podkreślano oczywiście odwieczną polskość śląskiej ziemi, doszukując się w dziejach nawet najmniejszych jej śladów.

W czasach PRL była rzesza znakomitych historyków piszących o śląskim ludzie, badających jego historię i struktury, ale skażonych koniecznością dopasowania się do schematycznego „marksizmu" władzy, a przede wszystkim wpisania tych robotników w wizję odwiecznej polskości. Po 1989 r. wróciła do łask historia wielokulturowego Śląska, ale z pola widzenia historyków zupełnie zniknęli śląscy robotnicy – o ile nie brali udziału w powstaniach.

Obecnie na Śląsku mamy do czynienia nie tyle z odrodzeniem ludowej historii (piszących o niej jest niewielu), ile z coraz szerszą jej akceptacją w postrzeganiu historii regionu. Odpowiednikiem polskiego mitu, że „my wszyscy z husarzy", był na Śląsku ten, że „my z magnatów przemysłu". Wcześniej historia była polem walki między dwiema dominującymi opcjami: propolską i proniemiecką – tak samo konserwatywnymi. Teraz na szczęście zaczęło to się zmieniać, także dzięki prowadzonemu przeze mnie od pięciu lat projektowi Zbuntowany Śląsk.

Dlaczego jednak taka historia ludowa jest w ogóle potrzebna? Oczywiście w imię „prawdy", tyle że mnie nie przekonują takie wielkie słowa. Raczej w imię tego, że nie musimy się sadzić na naszych szlacheckich przodków. Że uwzględniając nasze ludowe korzenie, możemy odpuścić w wielu sprawach... Że może dzięki temu docenimy kwestie pracy, oporu i solidarności – obecne w życiu naszych przodków. Że od podziałów narodowych ważniejsze są te klasowe. Co widać zwłaszcza na Górnym Śląsku, będącym spoiwem ludowej historii Niemiec, Czech i Polski. ■

FOT. NAC

eprasa.pl 4e4007b1d9

To grabież!

Toruń broni manuskryptu, który rząd chce przekazać Węgrom

Rozmawia Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Do Sejmu wpłynął poselski projekt ustawy o przekazaniu Węgrom cennego manuskryptu (kodeksu) z XV w. Renesansowa księga o zawiłym tytule: „List do Najjaśniejszego Macieja Korwina, króla Panonii, o pochwałach dostojnej biblioteki i księgach czterech wersetów napisanych na ten sam temat" ma być rewanżem za prezent Węgrów sprzed roku. Przekazali nam wtedy młodzieńczą zbroję Zygmunta II Augusta. Projekt zakłada wypłatę właścicielowi manuskryptu zadośćuczynienia (25 mln zł) przez skarb państwa. Przedstawicielem posłów wnioskodawców jest Piotr Babinetz z PiS. „Pragnąc kontynuować oraz zacieśniać wielowiekową współpracę polsko-węgierską, w tym również na płaszczyźnie kulturalnej, proponuje się przekazać na rzecz Węgier zabytek o szczególnej wartości dla węgierskiej historii i tożsamości narodowej. Takim zabytkiem jest Kodeks, który co prawda stanowi cenny eksponat w polskich zbiorach bibliotecznych, jednakże nie ma ścisłego związku z historią Polski, natomiast dla Węgier pozostaje szczególnie cennym świadectwem dziedzictwa kulturowego i narodowego", napisali posłowie w uzasadnieniu.

Natychmiast stanowczo zaprotestował Toruń, bo pergaminowy manuskrypt jest perłą zbiorów toruńskiej Książnicy Kopernikańskiej. „Ze względu na unikatowy i bezcenny charakter dzieła jakakolwiek deklarowana kwota w żaden sposób nie zrekompensuje poniesionej straty dla polskiego dziedzictwa kulturowego. (…) Projekt ustawy jest próbą zagarnięcia bezcennego dziedzictwa kulturowego", napisali dyrektor biblioteki Danetta Ryszkowska-Mirowska i przewodniczący rady naukowej prof. Janusz Tandecki.

Do protestu Książnicy przyłączyło się wiele toruńskich instytucji. Apelują również sejmikowi radni: „Sejmik Województwa Kujawsko-Pomorskiego zobowiązuje Marszałka Województwa do zwrócenia się do parlamentarzystów z województwa kujawsko-pomorskiego o odrzucenie projektu ww. ustawy, a także do zwrócenia się do Wiceprezesa Rady Ministrów Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotra Glińskiego o niedopuszczenie do utraty tego bezcennego zabytku XV-wiecznego piśmiennictwa".

Do protestujących błyskawicznie dołączyli m.in. senatorowie Bogdan Klich oraz Jerzy Fedorowicz. W liście skierowanym do premiera Mateusza Morawieckiego ocenili: „Projekt ustawy jest próbą wywłaszczenia podmiotu samorządowego w formalnej zgodności z prawem, ponieważ dzieło to nie jest (i Bogu dzięki!) własnością skarbu państwa". I zażądali natychmiastowego wycofania projektu.

W Toruniu wrze.

– Bo to niewyobrażalne, żeby polskie elity rządzące lansowały tezę, że arcydzieło sztuki, które od pięciu wieków jest w Polsce, ma z nią niewielki związek i można je ot tak komuś wydać. Przecież to zwykła grabież!

Czym jest ten cenny toruński manuskrypt, który polski rząd chce podarować Węgrom?

– Bardzo starą, bo pochodzącą z lat 80. XV w., pergaminową księgą z ręcznie naniesionym tekstem. Ma ponad 120 stron o wymiarach ok. 30,5 x 20,5 cm. Napisał ją Naldo Naldi – poeta i humanista pochodzący z Florencji. Została bogato ozdobiona inicjałami, bordiurami oraz motywem herbu węgierskiego króla, a namalował je i wykonał złocenia Attavante degli Attavanti – słynny florencki miniaturzysta.

O czym traktuje?

– To poemat, pean na cześć splendoru i wyjątkowości biblioteki króla węgierskiego, Macieja Korwina. Składa się z czterech tzw. ksiąg, czyli rozdziałów. Pierwszy opisuje rozplanowanie biblioteki zamku w Budzie (która, jak wiadomo, wraz z Pesztem stworzyła z czasem Budapeszt). Kolejne to charakterystyki dzieł znajdujących się w tej bibliotece: greckich, rzymskich i ksiąg określonych jako chrześcijańskie, w tym współczesnych Naldusowi. Czyli rodzaj katalogu, ale napisanego pięknym, poetyckim językiem, wychwalającego bibliotekę.

Te peany wynikały z lizusostwa Naldusa czy rzeczywiście biblioteka była wspaniała?

– Ponad wszelką wątpliwość peany Naldusa nie były na wyrost. Szacuje się, że w bibliotece znajdowało się ok. 3 tys. woluminów, co jak na realia drugiej połowy XV w. było ogromną liczbą. Pamiętajmy, że wtedy dopiero zaczynała się kształtować tradycja księgi drukowanej. Czyli w zbiorach bibliofilskich dominowały rękopiśmienne, kosztowne księgi, z kaligraficznym tekstem oraz malarskimi i złoconymi dekoracjami. Zarówno ze względu na wielkość, jak i na zawartość biblioteka zasługuje na miano jednego z najwspanialszych pomników bibliofilskiej, humanistycznej kultury Europy tamtych czasów.

Jakie były dalsze losy tej imponującej biblioteki?

– Maciej Korwin umarł w 1490 r. Jego następcy – Władysław II Jagiellończyk i Ludwik II Jagiellończyk – nie przywiązywali szczególnej wagi do biblioteki, którą odziedziczyli. Chętnie rozdawali krewnym, gościom i dworzanom bibliofilskie perły. W 1526 r. Węgry podbili osmańscy Turcy i przejęli księgozbiór. Wiemy, że ich sułtan Sulejman Wspaniały obdarowywał przybywających do niego chrześcijańskich posłów m.in. takimi cennymi woluminami. Wszystko to sprawiło, że unikatowy księgozbiór Macieja Korwina uległ całkowitemu rozproszeniu. Innymi słowy, jego książki krążyły w kręgach bibliofilskich całej Europy. I właśnie taką drogą jeden wolumin z Korwinowskiej biblioteki trafił do Torunia.

Już w XVI w. był w zbiorach toruńskiego gimnazjum. Wiadomo, jak tam się znalazł?

– Został odnotowany pod jednym z najwcześniejszych numerów księgi inwentarzowej

eprasa.pl 4e4007b1d9

DR HAB. ARKADIUSZ WAGNER

– profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

biblioteki toruńskiego Gimnazjum Akademickiego. Najprawdopodobniej jakiś bogaty toruński mieszczanin, który nabył księgę podczas studiów lub podróży po Europie, podarował ją nowo powstałej szkole protestanckiej.

Wolumin szczęśliwie przetrwał w Toruniu potop, zabory i inne zawieruchy wojenne.

– I przez pięć wieków trwale wniknął w kulturę tego miasta. Dlatego nas, naukowców i bibliofilów związanych z Toruniem, tak boli teza zawarta we wniosku posłów PiS, że podarujemy manuskrypt Naldusa, ponieważ jest on bardzo ważny dla Węgrów, ale nie dla Polaków. To nonsens! Od XVI w. książka ta ma status skarbu miasta Torunia. Skarbu! Toruńskie elity intelektualne, skupione w środowisku gimnazjalnym, już w XVI w. dostrzegły w nim nie tylko przepiękny, wyrafinowanie dekorowany artefakt, ale również niezwykle cenne źródło wiedzy. W efekcie w toruńskiej oficynie Andrzeja Koteniusza przedrukowano tę książkę. Po co? Żeby zamanifestować humanistycznej Europie, że w Toruniu znajduje się bezcenny skarb sztuki, kultury i nauki.

Z pewnością Węgrzy będą tłumaczyć, że chcą tylko odzyskać to, co należy do ich dziedzictwa kulturowego. Jak np. Grecja, od lat próbująca odebrać swoje dzieła sztuki, które dziś możemy obejrzeć w British Museum.

– Grecja słusznie się stara o zwroty, bo jej dzieła – podkreślmy to mocno – bezwzględnie zagrabiono. Natomiast nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że nasz toruński manuskrypt opuścił węgierską bibliotekę nielegalnie. Przecież mógł zostać podarowany anonimowemu dziś toruńczykowi przez któregoś z następców Macieja Korwina. A może to podarunek sułtana, który zagarnął bibliotekę jako zdobycz wojenną? A może księga, zanim trafiła do Torunia, wielokrotnie zmieniała właścicieli?

Gdyby podążać za tokiem rozumowania posłów PiS, równie mało wspólnego z Polską i jej kulturą ma najcenniejszy obraz w naszych zbiorach, „Dama z gronostajem" Leonarda da Vinci. Ani malarz, ani modelka nie byli Polakami, portretowanie Cecylii Gallerani też nie odbywało się nad Wisłą.

– Konsekwencją przyjęcia tezy posłów PiS byłoby odmówienie związków z Polską wszelkim obrazom, rzeźbom, książkom czy dziełom rzemiosła artystycznego, które nie powstały w Polsce, a tym bardziej nie zostały wykonane dla polskich zleceniodawców. To są właśnie intelektualne mielizny, do których prowadzą akcje wymyślone na doraźne potrzeby polityczne. Łatwość wydania Węgrom tak cennego dzieła może otworzyć drzwi do naszych zbiorów innym narodom. Wyobraźmy sobie, że np. Niemcy zaczną się starać o zwrot księgozbiorów pruskich, w tym słynnej Srebrnej Biblioteki księcia Albrechta Pruskiego oraz manuskryptów pokrzyżackich przechowywanych do schyłku II wojny światowej w Królewcu, nie mówiąc o imponujących zbiorach tzw. Berlinki przewiezionych po wojnie do Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Przecież wszystkie te księgozbiory mają bardzo luźne związki z Polską.

Czy da się ocenić wartość manuskryptu?

– Oddzieliłbym jego wartość historyczną i symboliczną od antykwarycznej. Wyjątkowa wartość historyczna dzieła polega na tym, że spośród ok. 3 tys. tzw. corvinianów tylko ta książka odnosi się wprost do biblioteki króla. Innymi słowy, po pierwsze, jest to księga, która charakteryzuje pozostałe książki słynnego zbioru. Po drugie, ma status arcycymelium, gdyż była w zbiorach jednego z największych i najwybitniejszych bibliofilów nie tylko epoki renesansu, ale także całej historii Europy. Po trzecie, odznacza się wyrafinowaną szatą iluminatorską pędzla jednego z najwybitniejszych malarzy książkowych w Italii, jakim był Attavante degli Attavanti. Wszystko to tłumaczy,

eprasa.pl 4e4007b1d9

dlaczego Węgrzy z taką determinacją zabiegają o ten właśnie wolumin, a nie o trzy inne corviniana znajdujące się Polsce, nie mówiąc o dziełach rozsianych po bibliotekach w innych krajach.

A wartość antykwaryczna?

– Renesansowe, włoskie manuskrypty pojawiają się na międzynarodowym rynku antykwarycznym wcale nie tak rzadko. Ale dzieła o porównywalnie wysokiej randze historycznej i artystycznej nie było na aukcjach od dziesięcioleci. Mamy więc prawo przypuszczać, że gdyby tak unikatowe dzieło pojawiło się w Sotheby's czy Christie's, mogłoby osiągnąć cenę oszałamiającą, choćby i 50 mln czy 100 mln dol.

Skąd zatem, jak pan przypuszcza, wzięła się suma 25 mln zł?

– Została wyssana z palca. To duża suma z perspektywy szarego obywatela, ale w rzeczywistości jest wyrazem arogancji strony rządowej i lekceważenia właściciela księgi, czyli Książnicy Kopernikańskiej. Zapewne wierzono, że Książnica czy marszałek województwa, któremu podlega biblioteka, skuszą się na te pieniądze, by np. wyremontować piwnicę i toalety, a za resztę kupić jakieś polonicum na otarcie łez. Tego w cywilizowanym świecie po prostu się nie robi. Nie spieniężа się swoich najcenniejszych zbiorów na bieżące potrzeby instytucji.

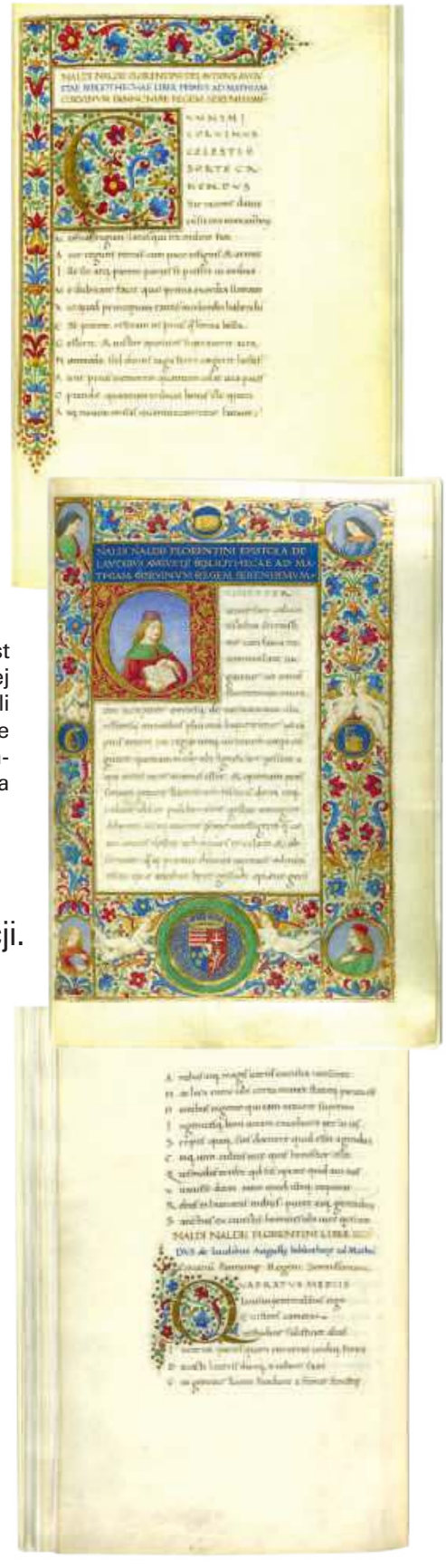

Nie spieniężа się swoich najcenniejszych zbiorów na bieżące potrzeby instytucji.

To mi przypomina głośną historię z próbą sprzedania najcenniejszej księgi, która jest w Polsce, czyli Biblii Gutenberga. Otóż na przełomie lat 20. i 30. XX w. ówczesny biskup pelpliński Stanisław Okoniewski postanowił sprzedać to dwutomowe arcycymelium, znajdujące się wówczas w bibliotece pelplińskiego seminarium duchownego. Uzyskane pieniądze chciał przeznaczyć na remont budynku seminaryjnego. W tym celu podjął negocjacje z antykwariatami w Niemczech, Szwajcarii, Francji i Wielkiej Brytanii. Zrezygnował dopiero na skutek licznych protestów polskiej opinii publicznej.

Jak pan ocenia tę wymianę: Węgrzy nam zbroję królewicza Zygmunta Augusta, a my im manuskrypt z XV w.?

– To, co opinii publicznej konsekwentnie przedstawiano jako dar przyjaźni narodu węgierskiego, winniśmy dziś traktować wyłącznie jako element transakcji wiązanej. Za renesansową zbroję strona węgierska oczekuje przekazania manuskryptu, który jest nieporównywalnie cenniejszy. Węgrzy od dawna sondowali możliwość pozyskania od Polski tego arcycymelium. I z tego, co mi wiadomo, zawsze spotykali się ze stanowczą odmową. Teraz chcą wykorzystać koniunkturę polityczną i zdobyć to, o co od dawna zabiegali. Księga jest zdigitalizowana i dostępna w Książnicy. Ale oni chcą mieć oryginał!

Gdy przekazywano zbroję, mówiono, że warta jest około miliona funtów.

– Czyli ok. 5 mln zł. Z czego Węgrzy doskonale zdają sobie sprawę i dlatego – jak się ostatnio dowiedziałem – gotowi są dorzucić do tej transakcji jeszcze jakiś modlitewnik. Podkreślmy zatem: ta zbroja nie była darem przyjaźni, tylko elementem przebiegłej gry. W jakimś sensie jako Polak czuję się poniżony przez Węgrów. Nie słyszałem bowiem, żeby starali się w ten sposób odzyskać cenne corviniana ze zbiorów austriackich, amerykańskich czy watykańskich. A nie zabiegali o to, bo w cywilizowanym świecie takie transakcje są nie do pomyślenia.

Dlaczego?

– Bo każdy naród i państwo dąży do pomnażania swoich zbiorów muzealnych i bibliotecznych, a nie wyzbywa się najcenniejszych obiektów, choćby pod mdławo patetycznymi pretekstami. Zasada ta winna obowiązywać zwłaszcza w Polsce, tak straszliwie ograbianej z wszelkich cennych zabytków sztuki i kultury.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. DOMENA PUBLICZNA, ZUZANNA WAGNER

eprasa.pl 4e4007b1d9

NA EKRANACH

Matki równoległe

reż. Pedro Almodóvar, prod. Hiszpania, w kinach od 18 lutego

Na Almodóvara można liczyć. 72-letni reżyser powraca w swojej ulubionej stylistyce telenowelowego kiczu. Zaczyna się na porodówce, gdzie spotykają się Ana (ciekawa Milena Smit) i Janis (kapitalna Penélope Cruz). Jedna marzyła o dziecku, druga wpadła, jedna nie może się doczekać macierzyństwa, druga jest nim przerażona. Hiszpan tak zakręci ich losami, że staną się sobie bliższe, niżby tego chciały. Połączy je tragedia, co nie znaczy, że reżyser stracił humor czy pazur. Zderzając sposoby patrzenia bohaterek na bycie matką, konfrontuje też ich spojrzenie na pamięć i historię. „Matki równoległe" to bowiem najbardziej polityczny film Almodóvara, w którym twórca dopomina się o rozliczenie z krwawymi frankistowskimi rządami.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

Stanisław Szukalski – Fotografista

BYTOM, MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE, DO 3 KWIETNIA

Po sukcesie wystawy prezentującej prace znakomitego rzeźbiarza Stanisława Szukalskiego (1893-1987) i jego uczniów skupionych w Szczepie Rogatego Serca Muzeum Górnośląskie w Bytomiu przygotowało kolejną niespodziankę i pokazało po raz pierwszy w Polsce nieznane fotografie tego artysty, głównie z lat 1909-1913. Te niezwykle ciekawe zdjęcia, pochodzące z amerykańskiego Archives Szukalski, stawiają twórcę również w szeregu pionierów polskiej fotografii artystycznej.

(ko)

KURTYNA W GÓRĘ

Nie-pamięć

Sztuka Marka Modzelewskiego, którego obecność na polskich scenach staje się coraz bardziej widoczna (i to dobrze), należy do tekstów podających w wątpliwość świadectwa przeszłości. Fakty przedstawiają się inaczej w zależności od tego, kto na nie patrzy. Pierwszy wypróbował to bodaj Harold Pinter w „Dawnych czasach" (polska prapremiera w 1972 r.). Szczególnie to dotkliwe, kiedy dotyczy kwestii intymnych, przemocy, mobbingu, molestowania.

Piotr Ratajczak poprowadził aktorów tą ścieżką pełną wątpliwości z wyczuciem, choć nie wszystkie zastosowane środki się tłumaczą: biel kostiumów rozumiem – reżyser wszystkim na kredyt przyznał szaty niewinności, ale dlaczego np. bohaterowie spełniający toasty rzucają kieliszkami na prawo i lewo (na szczęście plastik wyklucza stłuczki), tego nie wiadomo. Nie psuje to jednak interpretacji całej obsadzie, w której wszyscy sprawdzają się bez zarzutu, a zwłaszcza Rafał Królikowski jako podejrzewany o gwałt na żonie wzięty aktor filmowy. Rzecz do oglądania i dająca do myślenia.

Tomasz Miłkowski

Marek Modzelewski, „Niepamięć", reżyseria Piotr Ratajczak, koprodukcja Garnizon Sztuki i Teatr Jaracza w Łodzi, premiera 11 listopada 2021

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

FOT. GUTEK FILM, KAROL OZIMEK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4e4007b1d9

Kiedy Polak potrzebuje psychiatry

Zaburzenia emocjonalne mogą się stać naszą codziennością

Rozmawia Mateusz Demski

Kłopoty ze zdrowiem psychicznym to nie jest temat tak odległy, jak mogłoby się wydawać.

– Nie jest. Najnowsze badania pokazują, że co czwarty Polak miał, ma lub będzie miał problemy ze zdrowiem psychicznym. To znaczy, że ponad 8 mln ludzi w kraju doświadczyło lub doświadcza różnych zaburzeń. Siłą rzeczy każdy z nas prawdopodobnie zna kogoś, kto się zmaga z takimi trudnościami. Jednak niekoniecznie musimy o tym wiedzieć, bo ciągle jest to temat tabu.

Czyli to temat wyparty?

– Nie dopuszczamy go do siebie, twierdzimy, że na pewno nas nie dotyczy. I wolelibyśmy również z osobami zmagającymi się z kłopotami ze zdrowiem psychicznym nie mieć kontaktu – z badań wynika też, że nie chcemy ich mieć w bezpośrednim otoczeniu. W społeczeństwie funkcjonuje silna stygmatyzacja. A jeśli się dowiadujemy, że ktoś z naszych bliskich ma problemy ze zdrowiem psychicznym, sami wpadamy w pułapkę tej stygmatyzacji. Może się pojawić wstyd przed sąsiadami, otoczeniem.

Choć, jak pani powiedziała, to problem powszechny.

– W rozmowach zdarza się, że słyszę „oni". A ja powiedziałabym inaczej – „my". Granica jest płynna. Zaburzenia emocjonalne, trudności w relacjach rodzinnych, objawy depresji czy lęku społecznego mogą się stać w każdej chwili naszą codziennością. Każdy znajduje się na liście osób potencjalnie zagrożonych chorobą, można to zauważyć w trakcie pandemii. Przyczyną załamania może być izolacja od ludzi, brak normalnych kontaktów, które kiedyś – przede wszystkim dla osób towarzyskich – były codziennym pokarmem, ale także strata kogoś bliskiego czy utrata pracy. Kiedy pojawia się przedłużająca się bezsenność, dojmujące przygnębienie, niemoc, lęki, stan, w którym trudniej nam wstać do pracy, to znak, że coś się dzieje, że należy zareagować. Przyjmowanie postawy, że jest OK, że po prostu jesteśmy smutni, niczego nie rozwiązuje. To są ważne symptomy, im wcześniej na nie zareagujemy, tym łatwiej będzie zatrzymać proces, który sygnalizują. I zrozumieć go. Takie objawy nie pojawiają się bez powodu.

Wielu bohaterów pani książki nie orientuje się w mechanizmach choroby. Nie zawsze rozumieją, co się dzieje. Często trwają w psychozie.

– Psychoza to poważniejszy problem, rzeczywiście nie każdy chory potrafi rozpoznać, że się zaczyna. Opisuję jednak historię osoby, która po terapii potrafi doskonale wyczuć, że coś się z nią dzieje. Jak tylko zaczyna dostrzegać coś niepokojącego, robi wszystko, żeby do psychozy nie doszło – spotyka się z psychiatrą, częściej przychodzi na terapię, rozmawia z przyjaciółmi, rodziną. Dzięki decyzji, że zadba o siebie i poszuka rozwiązań, bo zna siebie i swoją chorobę, udało się jej uniknąć wielu kryzysów i utrzymuje się w dobrym zdrowiu mimo diagnozy schizofrenii. Czyli nie jest to sytuacja bez wyjścia, mimo choroby można mieć normalne, satysfakcjonujące życie. Czasem sama decyzja oczywiście nie wystarczy. Trzeba być dobrze prowadzonym, mieć zapewnioną opiekę, trafić na dobrych lekarzy.

> Co czwarty Polak miał, ma lub będzie miał problemy ze zdrowiem psychicznym.

Wielu bohaterów mówi, że podczas leczenia i licznych hospitalizacji byli prowadzeni nieprawidłowo, pacjenci narzekają na złe warunki i nieludzkie traktowanie. Czy skala zaniedbań w polskiej psychiatrii panią poraziła?

– Na początku książki opowiadam historię Witka, która mnie nie zaskoczyła. Być może dlatego, że spodziewałam się, że tak to będzie wyglądało. Wiedziałam, że braki kadrowe są duże, że czasami na 50 pacjentów przypadają dwie pielęgniarki. Co one mogą zrobić? Nawet gdyby chciały poświęcić każdemu czas i uwagę, zwyczajnie nie są w stanie. To powoduje, że nie zaspokaja się najprostszych potrzeb pacjentów, takich jak rozmowa, dotrzymywanie towarzystwa, zamiast tego personel wybiera rozwiązania, które są po prostu dostępne – podaje pobudzonym pacjentom leki, przypina ich do łóżka pasami. Dla mnie największym zaskoczeniem była historia Kasi, która trafiła do starego, niewyremontowanego szpitala. Spała w koszulinie na materacu na podłodze, a przez nieszczelne okna hulał wiatr. Razem z nią w rzędzie leżało kilka osób. Trudno słuchać o tym, że człowiek, który nosi w sobie ogromne cierpienie, jest umieszczany w takich warunkach.

Leczenie w Polsce polega głównie na izolowaniu. Dla kontrastu można wskazać Szwecję, gdzie pacjenci dostają skuteczną pomoc.

– To przykład, że można inaczej. W Szwecji na każdą osobę chorą przypada jedna osoba zdrowa, która cały czas towarzyszy pacjentowi. To może być pielęgniarka lub asystent. Pacjenci nie są zamykani w izolatkach ze swoimi omamami, przymus stosowany jest rzadko, a i tak wtedy pacjentowi ktoś towarzyszy, np. czyta na głos książkę. Przyjazne środowisko i szacunek, którym są tam otaczani podopieczni, sprawiają, że dużo

eprasa.pl 4e4007b1d9

ANETA PAWŁOWSKA-KRAĆ

– dziennikarka, socjolożka, publikowała w „Dużym Formacie" i „Zwierciadle". Reporterka Informacyjnej Agencji Radiowej PR. Autorka książki „Głośnik w głowie. O leczeniu psychiatrycznym w Polsce" (Czarne).

szybciej wracają oni do domu. No i jest cały system rehabilitacji, każdy dostaje wskazówki, jak sobie radzić dalej, i konkretną pomoc już w domu. W Szwecji pacjent jest najważniejszy – czuje się ważny i szanowany.

Pobyt w szpitalu bywa doświadczeniem traumatyzującym.

– Bywa, to prawda. Pacjenci zgłaszają np. przemoc ze strony personelu. Witek opowiadał, jak pielęgniarz go kopnął, dusił. Po czymś takim można się bać iść do szpitala. Bądźmy jednak ostrożni w ocenie systemu jako jednoznacznie złego, bo wielu osobom szpitale uratowały życie. Nic nie jest czarno-białe. To zależy od szpitala, obsady pielęgniarskiej, od tego, jacy pacjenci trafiają na oddział w tym samym czasie. Jeśli dwie pielęgniarki są z osobami agresywnymi, trudno się dziwić, że nie mogą sobie poradzić i ordynują zapinanie pacjentów w pasy. Ale zdarza się, że te pasy są stosowane, gdy nie ma takiej konieczności, tylko np. za karę.

Co należałoby zmienić, jak powinna wyglądać opieka?

– Stawia mnie pan w trudnej sytuacji. Nie jestem specjalistką, tylko osobą, która wysłuchała i spisała ileś historii. Mogę wnioskować na podstawie tego, co usłyszałam. Jak być powinno? Oczywiście, że inaczej. Na wizytę u psychiatry nie powinno się czekać, wsparcie powinno być udzielane szybko. Wszelkie problemy natury psychologicznej funkcjonują na podobnej zasadzie jak wszystkie problemy zdrowotne: im szybciej na nie zareagujemy, tym lepiej. Gdyby osoby, które dziś przebywają w szpitalach psychiatrycznych, otrzymały wcześniej kompleksową pomoc ambulatoryjną, zapewne wiele z nich nie trafiłoby na oddział. To ważne, dlatego że człowiek nie wypada wtedy z ról społecznych – mama nie przestaje być mamą, pracownik dalej może pracować. Po długim pobycie w szpitalu, albo wielu pobytach, trudno wrócić do codzienności i do pracy. Niektórzy nie mają już do czego wracać.

Czy są miejsca, gdzie potrzebujący zawsze mogą szukać wsparcia?

– Blisko stanu idealnego są centra zdrowia psychicznego, które powstają w ramach pilotażu reformy psychiatrii dorosłych. Kiedy ktoś nie może spać, ma problem z lękami lub sytuacjami konfliktowymi, które powodują napięcie, i czuje, że potrzebuje konsultacji, przychodzi do punktu zgłoszeniowo-koordynacyjnego i od razu zostaje przyjęty. Już przy zgłoszeniu pracownik placówki zbiera najważniejsze informacje i tworzy wstępny plan działania. Jeśli osoba potrzebuje szybkiej porady specjalisty, otrzymuje ją niemal z dnia na dzień, czy to psychologa, czy psychiatry. Psychiatra ustala, czy potrzebne są leki, hospitalizacja, czy wizyty zespołu środowiskowego w domu. Jest dostępna terapia. Wszystko „od ręki", za nic nie trzeba płacić. To brzmi jak bajka, ale okazuje się, że działa. I tak powinno być wszędzie.

Ale nie jest.

– Nie jest. Centrów zdrowia psychicznego docelowo powinno być w Polsce ok. 300, a są na razie 33 (osiem kolejnych doszło pod koniec roku, nie wszystkie jeszcze działają). Czyli na kompleksową pomoc może liczyć zaledwie kilkanaście procent dorosłej populacji kraju. Inna sprawa: proszę spróbować zapisać się w ramach NFZ na wizytę do specjalisty. Terminy są dramatyczne. Dzwoniłam po poradniach, sprawdzałam, jak to wygląda. Szukałam terapii dla dorosłych w Warszawie – półtora roku, dwa lata. Jeśli ktoś ma poważne problemy, przez te dwa lata wszystko może się wydarzyć.

A co mają zrobić ludzie mieszkający z dala od miast? Opisuje pani przykłady osób, które dojeżdżają do ośrodków oddalonych o kilkadziesiąt, nieraz kilkaset kilometrów.

– Tu można zacytować dr. Marka Balickiego, który mówi, że dziś dwie trzecie kraju pozbawione jest podstawowych form pomocy. Dwie trzecie powiatów nie ma na swoim terenie oddziału dziennego ani zespołu leczenia środowiskowego. Ponad 90% chorujących w Polsce na poważne zaburzenia psychiczne nie korzysta z pomocy psychologicznej, z oddziału dziennego czy psychoterapii. Bo nie ma do nich dostępu. To jeśli chodzi o psychiatrię dorosłych. W psychiatrii dzieci i młodzieży także są poważne

FOT. PATRYCJA ZAWISZA

eprasa.pl 4e4007b1d9

braki. Na przykład nie ma ani jednego całodobowego oddziału psychiatrycznego dla dzieci i młodzieży w całym województwie podlaskim. Jeśli konieczna jest hospitalizacja, dzieci z Podlasia są przyjmowane w Olsztynie, Warszawie albo jeszcze dalej. Systemowo pomoc powinna być dostępna blisko domu, powinna istnieć możliwość odpowiednio częstych wizyt, adekwatnych do sytuacji. Te założenia od ponad 25 lat są zapisane w naszym prawie.

Coraz mniej osób chce pracować w zawodzie, szczególnie na oddziałach psychiatrycznych. Według statystyk w 2020 r. do zawodu weszły 5693 pielęgniarki i położne, a prawa emerytalne zyskało 10 314.

– To zawód z ogromną odpowiedzialnością, praca w miejscu, z którego wraca się do domu zmęczonym psychicznie. Na oddziałach bardzo często występuje kumulacja osób, które chcą skończyć ze swoim życiem albo się samookaleczają. Bywa, że pacjent zaatakuje kogoś z personelu. Lekarze, pielęgniarki, pielęgniarze są na pierwszej linii frontu i to oni odpowiadają za te osoby, a jednocześnie nie mają systemowych narzędzi, żeby zapewnić im pełne bezpieczeństwo. Czy można się dziwić, że ktoś nie chce się skazywać na wieczne chodzenie z poczuciem odpowiedzialności, któremu nie jest w stanie sprostać? Ludzie nie chcą pracować na takich oddziałach, a już szczególnie tych dziecięcych, gdzie mają pod opieką dzieci, które chcą się zabić.

Problem chorób psychicznych dotyka osoby w każdym wieku, również dzieci, a ten obszar psychiatrii też zdaje się uginać pod ciężarem zaniedbań. Od kiedy można mówić o kryzysie w psychiatrii dziecięcej?

– A kiedy go nie było? Niektórzy mówią, że ostatnio, wraz z przyjściem pandemii, jest gorzej, ale nie sądzę, że dawniej było lepiej. Teraz po prostu więcej o tym się mówi. Kiedy zbierałam materiały do książki, psychiatrów dziecięcych w Polsce było ok. 500. Wcześniej jeszcze mniej. A pacjentów dziecięco-młodzieżowych podczas pandemii przybywa. Stany dzieci z autyzmem lub zespołem Aspergera zaostrzyły się w izolacji. Pandemia zaburzyła codzienne rytuały, które są im niezbędne do funkcjonowania – nie mogły chodzić na terapię, życie przeniosło się do internetu. Inne dzieci, niekoniecznie z diagnozą autyzmu, także źle to zniosły. Nie zrzucajmy jednak wszystkiego na covid. Problem był zawsze.

„Jeżeli psychiatria uważana jest za »czarną owcę medycyny«, to psychiatria dzieci i młodzieży jest jej jeszcze czarniejszą siostrą", ocenia jedna z lekarek.

– Niektórzy specjaliści twierdzą, że problem wynika z systemowego niezrozumienia, jak to powinno działać. Jakąś odpowiedzią są nowe poradnie psychologiczno-psychoterapeutyczne, tworzone w ramach reformy psychiatrii dzieci i młodzieży. Założenia są bardzo dobre – budowanie sieci wsparcia w środowisku. W każdej z tych poradni pracują psycholog, psychoterapeuci i terapeuta środowiskowy. Te ośrodki zaczęły powstawać w kwietniu 2020 r., do dziś jest ich już ponad 330. Czyli rozwój tego etapu reformy przebiega bardzo szybko i dobrze – bo pomoc dostępna blisko domu jest niezwykle istotna.

> To nie szpitale psychiatryczne są problemem, tylko to, co powoduje, że młodzi ludzie tam trafiają.

To, co widzimy w szpitalach, jest efektem końcowym, trafiają tam zwykle osoby z myślami i planami samobójczymi. Żeby do tego nie doszło, dziecko powinno dostawać pomoc, zanim pojawi się poważny kryzys. To nie szpitale psychiatryczne są problemem, tylko to, co powoduje, że młodzi ludzie tam trafiają – brak systemowej pomocy na wczesnych etapach. I według założeń reformy nowe poradnie powinny temu zaradzić.

Pierwsze objawy można zauważyć pewnie już w domu.

– Tak, ale rodzice nie zawsze na czas je wyłapują. Pracują coraz więcej, by zapewnić dzieciom dobra materialne, są zajęci. Nie zmienia to faktu, że każde dziecko potrzebuje bliskości, miłości, akceptacji, uwagi i wspólnego spędzania czasu. Zajęty rodzic nie zawsze na te potrzeby odpowie. Wiek nastoletni wiąże się także ze zmianami u dziecka. Czasem trudno się zorientować, co jest zmianą wynikającą z dojrzewania, a co już powinno niepokoić. Byłoby idealnie, gdyby rodzice potrafili zauważyć, że coś się dzieje z dzieckiem, następnie nie mieli problemu ze stygmatyzacją „to wstyd iść do psychologa", a jeszcze mieliby możliwość pójść do tego psychologa szybko. Gdyby w szkołach dzieci mogły chodzić do psychologa, też może byłoby inaczej. Ale nie w każdej placówce jest psycholog, a jeśli jest, to jeden przypada na 400, 500 dzieci.

To kwestie, których regulację powinna objąć reforma psychiatrii dzieci i młodzieży. A co z reformą psychiatrii dorosłych, wprowadzaną już od przeszło trzech lat? Nastąpiły zmiany, jak pojawienie się centrów zdrowia psychicznego, ale w środowisku psychiatrów powtarza się pytanie, co dalej.

– Pytanie jest otwarte, nie umiem na nie odpowiedzieć. Ministerstwo Zdrowia zapewnia, że reforma będzie kontynuowana, a zmiany zostaną wprowadzone w pełni. Wątpliwości budzi tempo, ta reforma ciągle jest na etapie pilotażu. Nie wiadomo też, czy nie będzie zmian w sposobie finansowania. Budżet na każde centrum jest ustalany *per capita*, a więc zależnie od liczby ludzi w zasięgu danej placówki. Psychiatrzy twierdzą, że stały budżet, który jest przeznaczony na zachowanie w dobrym zdrowiu mieszkańców danego obszaru, daje większe możliwości niż kasa rozliczana od wizyty czy usługi. Finansowanie takich miejsc powinno być elastyczne, zależne od potrzeb, a nie opierać się na systemie nabijania punktów, za które zapłaci NFZ. Jeśli reforma zostanie w pełni wdrożona i rzeczywiście sieć centrów zdrowia psychicznego pokryje cały kraj, wtedy, cytując znowu dr. Balickiego, mielibyśmy najlepszą podstawową opiekę psychiatryczną w Europie. Nie bylibyśmy w ogonie, tylko w czołówce.

Mateusz Demski

eprasa.pl 4e4007b1d9

Paranormalne trele-morele

Dlaczego ludzie wierzą jasnowidzom, wróżkom, uzdrowicielom, a nie nauce?

Beata Igielska

Starsza pani wystawia właśnie mieszkanie na sprzedaż. Bo? Krzysztof Jackowski, ulubiony jasnowidz Polaków, przepowiedział, że trzeba zabezpieczyć majątki. No to starsza pani zabezpiecza. W takich chwilach trudno powstrzymać negatywny komentarz na temat działalności jasnowidzów, wróżek i wróży rozmaitej maści. Pal sześć, jeśli to Aida – poziom ogólności jej przepowiedni jest tak wielki, że da się w nie włożyć wszystko. Bo co znaczy, że rok 2022 będzie rokiem korytarza? Wszystko i nic. Aida Kosojan-Przybysz również jest jedną z bardziej znanych w Polsce jasnowidzek, wizjonerek. Pochodzi z Gruzji. Dar jasnowidzenia odziedziczyła ponoć po babci. Przyszłość czyta z oczu. „Wnikając w głąb człowieczej duszy, dostrzega jej teraźniejszy wymiar, w tym przyszłość", czytamy w „Vivie!". Aida ma też piękne sesje zdjęciowe, dobrze sprzedaje się w pismach kobiecych, gdyż poza nadprzyrodzonym darem jasnowidzenia jest z przyrodzenia atrakcyjną kobietą.

Równie słynnym i kochanym przez Polaków magiem jest wróżbita Maciej, czyli Maciej Skrzątek. Zaczął wróżyć w wieku 18 lat. Pocztą pantoflową rozeszła się jego sława i po dwóch latach zaczęli przyjeżdżać do niego ludzie z całej Polski. „Przyjmowałem wówczas po 15-20 osób dziennie", można przeczytać w jego biografii na stronie internetowej. Wróżbita został gwiazdą EZO TV, gdzie pracował osiem lat. Szerszej publiczności znany z TVN.

Dość świeżą gwiazdą na firmamencie polskiego jasnowidztwa jest Wojciech Glanc, znany m.in. z programu „Big Brother". Jego wizja roku 2022 przeraża. Będzie to „rok śmierci i chaosu".

Mistrzem nad mistrzami pozostaje jednak Jackowski. Wygłasza swoje „coś jakby", „coś podobnego do", „coś kojarzącego się z". Bo ulubiony jasnowidz Polaków posługuje się ulubionymi frazami. Od ponad dwóch dekad „śmieszy, tumani, przestrasza". Na podstawie wąchanego swetra albo zdjęcia opowiada o ciałach zmarłych leżących w pobliżu lasu, w szuwarach, w błocie, wodzie, obok drogi. Jeśli ktoś zna rachunek prawdopodobieństwa, wie,

Krzysztof Jackowski

że kiedyś musi trafić. A wtedy publika jest w amoku, łał, facet ma jednak nadprzyrodzone zdolności. Proszę, utarł nosa niedowiarkom. Nic to, że ciała po wypadku lub zbrodni leżą w takich miejscach. „Gdyby nigdy nie trafił, toby dopiero było coś nadnaturalnego", pisze antropolog Michał Łaszczyk, autor bloga Czajniczek Pana Russella.

– Rynek jasnowidzów i wróżek został w Polsce już dawno temu oszacowany na 2 mld zł rocznie, więcej niż to, co przez 29 finałów udało się zebrać WOŚP – mówi Tomasz Witkowski, psycholog, twórca Klubu Sceptyków Polskich, organizacji non profit promującej naukowy sceptycyzm, zrzeszającej naukowców i osoby zainteresowane nauką. Klub został zaproszony do prowadzenia na terenie Polski wstępnych testów do Nagrody Syzyfa w wysokości 10 tys. euro dla każdego, kto w kontrolowanych warunkach udowodniłby swoje zdolności paranormalne. Od 1 października 2012 r. do 30 września 2013 r. anonimowy biznesmen z Antwerpii zwiększył wartość nagrody do 1 mln euro. Nikt nie wygrał tej sumy. Dotychczas nikomu nie udało się wykazać swoich właściwości paranormalnych, a w Polsce żaden kandydat nie spełnił wymogów formalnych dopuszczenia do wstępnych testów.

Wizja w telewizji

Nie zmienia to faktu, że Jackowski jest pupilem mediów. Do stacji telewizyjnych przynosi kserokopie podziękowań od rodzin zmarłych, których ciała odnalazł, nawet od policji. Ma również dyplomy potwierdzające tzw. *psychic detectives*.

Przyjrzyjmy się jednej ze świeżych przepowiedni. – Powiedziałem takie zdanie: krótko przed dużą wojną na świecie, ludzie będą bali się oddychać – przypomniał jasnowidz. – Wtedy to zdanie nie miało najmniejszego sensu, ale w tej chwili kwestia lęku oddechu przy drugiej osobie jest uzasadniana. Obawiam się, że jeśli mniej logiczny człon tej wypowiedzi się zgadza, to dlaczego bardziej sensowny, bo wojny się zdarzają, ma się nie sprawdzić – perorował całkiem poważnie w programie Dzień Dobry TVN. „Niepokoi fakt, że zdaniem jasnowidza jego przewidywania dotyczące minionych lat okazały się trafione – napisano też całkiem poważnie na portalu tego programu. – Jasnowidz nie ma dla nas dobrych wieści. Wszystko wskazuje na to, że przyszłość będzie wypadkową pandemii i gospodarczego kryzysu". Odkrywcze?

eprasa.pl 4e4007b1d9

– Uważam, że stoimy w obliczu dużego zagrożenia. Jeżeli pandemia ma się skończyć, to może nas wyzwolić konflikt. (...) Zagrożenie wojenne wisi w powietrzu. Politycy (...) tak jakby wiedzieli, że poza pandemią jest jeszcze inny problem na świecie, ale nie można nam tego powiedzieć – ciągnął Jackowski ku uciesze prowadzących program.

Tu trzeba podkreślić, że pan z Człuchowa nigdy nie ma dla nas dobrych wieści, jego przepowiednie są przepowiedniami człowieka, który uważnie obserwuje rzeczywistość. Jest jak ten baca, co to przysiadł na kamieniu, podumał i rzekł: „Dysc padać bydzie albo i nie bydzie". Ale przepowiednia się klika, szczególnie gdy jest pandemia, drożyzna się sroży i panuje ogólny światowy chaos. To podbijamy zainteresowanie, przepowiednie Jackowskiego z kanału na YouTubie relacjonują różne, nawet całkiem poważne portale informacyjne.

– Nie wiązałbym specjalnie obecnego zainteresowania przepowiedniami i wróżeniem z pandemią i czasami kryzysu. Zawsze była ciemnota. Tacy jak ja sprawdzają modele matematyczne rozwoju pandemii, inni słuchają jasnowidza. Pamiętam, jak Jackowski został wynajęty przez zrozpaczone rodziny młodych ludzi, którzy zaginęli w Tatrach. Wskazał jakąś dolinę, zorganizowano kosztowne poszukiwania w okropnych warunkach pogodowych, ratownicy TOPR ryzykowali życiem. Młodzi zostali przyłapani w tym czasie na kradzieży w Pradze czeskiej. Szef TOPR postraszył, że obciąży jasnowidza kosztami akcji poszukiwawczej. Żeby na przyszłość pogonić oszołomów. Policja często nie ma jednak serca odmówić udziału jasnowidza w poszukiwaniach, bo rodziny są w skrajnej rozpaczy i łapią się wszystkiego. Człowiek zawsze będzie szukał sił nadprzyrodzonych. Ale co tu dużo mówić, podobnie nietrafione jak przepowiednie jasnowidzów są gdybania ekonomistów, politologów, psychologów. Jednymi z nielicznych prognoz, które człowiek robi i które mniej więcej się sprawdzają, są krótkoterminowe prognozy pogody – punktuje Witkowski.

Aida Kosojan-Przybysz

Sprawdzam

Przepowiednie Jackowskiego, delikatnie mówiąc, rzadko się sprawdzają. Znów sięgnijmy po Czajniczek Pana Russella: „2008 by Jackowski. »To będzie rok wstrząsu bankowego w Polsce (…). Banki zadrżą. Może źle to nazywam«. Pomimo asekuracyjnego »może źle to nazywam«, które można w razie czego przenieść na ewentualny wstrząs spowodowany np. serią napadów, Jackowski tym razem trafił – komentuje Czajniczek Pana Russella. – Za rok w wywiadzie przypomni o tym trzy razy – »przecież przewidziałem kryzys«. Pomija przy tym, że jego zdaniem załamanie finansowe miało być wynikiem »kilku aresztowań bardzo ważnych ludzi«. Dodatkowo, jeśli uważnie zagłębimy się w wywiad, kryzys dotknąć miał jedynie Polskę".

Na początku 2009 r. Jackowski przewidywał: „W pogodzie po Nowym Roku trochę spokoju, ale to nie znaczy, że zaraz w styczniu będzie śnieg. Raczej bez przymrozków", zapowiadał. „A tu na złość styczeń rozpoczął się ze śniegiem i przymrozkami", przypomina Michał Łaszczyk.

Aż przyszła kryska na Matyska. W jednym z programów Dzień Dobry TVN obok Jackowskiego i Aidy pojawili się psycholodzy Konrad Maj i Tomasz Garstka, członkowie Klubu Sceptyków Polskich. Maj od razu wypalił: „Niech pan powie, co mam w kieszeni, a oddam swój dyplom". Pan Krzysztof, wedle relacji naocznych świadków, szalał, rzucał kartkami, wstawał i podchodził do sceptyków. Warto też przypomnieć, że w roku 2009 wizjoner znad Wisły starał się o nagrodę JREF, James Randi Educational Foundation. Jest to fundacja założona przez kanadyjsko-amerykańskiego iluzjonistę, sceptyka, przeciwnika pseudonauki, do 2015 r. oferująca 1 mln dol. każdemu, kto potrafiłby pokazać obiektywny dowód jakiegokolwiek paranormalnego zjawiska w warunkach uzgodnionych wcześniej przez obie strony i przy udziale osób niezależnych od fundacji. Ponad tysiąc zgłoszeń i nic. „Kandydaci nieskutecznie pretendujący do nagrody Randiego bronili się, twierdząc, że ten pryncypialnie nie uznaje żadnych pokazów za autentyczne. Fundacja odpiera te zarzuty, wskazując, że kandydaci często wycofują się, gdy fundacja wymaga umieszczenia w protokole testu podwójnie ślepej próby i innych elementów utrudniających oszustwa, oraz że przyjęte kryteria oceny są naukowo obiektywne, wykluczając jakąkolwiek konieczność interpretacji wyników" – tyle na ten temat Wikipedia. Jackowski zaś oczekiwał, że Randi, największy demaskator fałszywych twierdzeń o zjawiskach nadprzyrodzonych, paranormalnych i okultystycznych, które określa zbiorowo jako trele-morele, da mu 1 mln dol. na podstawie dyplomów, jakie uzbierał na komendach policji.

I ty możesz zostać wróżką

– Krzysztof Jackowski nie powinien opowiadać bzdur w żadnej telewizji – mówi Tomasz Garstka. – Te

Rynek jasnowidzów i wróżek został w Polsce już dawno temu oszacowany na 2 mld zł rocznie.

eprasa.pl 4e4007b1d9

bzdury są szkodliwe. Zawsze trzeba je nazywać bzdurami, a nie promować. Uznanie, że ludzie zainteresują się nimi po prostu jako ciekawostką i sami sobie wyrobią krytyczną opinię, jest nieuprawnione. W polskiej szkole nie uczy się krytycznego myślenia. Anatolij Kaszpirowski w 1990 r. zdobył przyznaną w głosowaniu telewidzów pozaregulaminową statuetkę Wiktora dla osobowości telewizyjnej roku w Polsce i nikomu to nie przeszkadzało. Po transformacji ustrojowej pojawiło się mnóstwo podobnych programów. Były bardzo popularne. Wiele telewizji kablowych do dziś wręcz żyje z takich programów.

– Społeczeństwo, choć jego cywilizacja jest zbudowana na nauce i technice, w większości nie rozumie myślenia naukowego. Od szkraba religia uczy ślepej wiary i bezkrytycznego podążania za wskazanymi autorytetami. Szkoła dokłada do tego zazwyczaj dość bezmyślne wkuwanie fragmentów wiedzy i poruszanie się w wąskich ramach rozumowania bez związku z praktyką. Dlatego większość ludzi nie ma pojęcia o różnicy między przyczynami a korelacjami, że coś zostało spowodowane przez coś albo coś z czymś współwystępowało – tłumaczy dr Łukasz Polowczyk, filozof, etyk. – Lekcje matematyki nie uczą wykorzystania rachunku prawdopodobieństwa i statystyki do krytycznej oceny nie tylko tzw. jasnowidzów czy wróżek, ale również np. doniesień o pandemii. Nie ma także wiedzy, że opinia pojedynczego naukowca, który np. zwariował, został opłacony przez kogoś lub po prostu prezentuje żenująco niski poziom, to nie to samo co nauka. Żyjąc w bańkach informacyjnych mediów społecznościowych, jesteśmy zwodzeni przez powszechne błędy poznawcze typu efekt potwierdzenia, gdy szukamy wyłącznie czegoś, co potwierdza tezę, do której jesteśmy przywiązani. Nie różnimy się poznawczo tak bardzo od ludzi średniowiecza – dodaje etyk.

Tomasz Garstka zaś opowiada o koleżance, która pracowała jako wróżka w ogólnopolskiej telewizji. Nie jako ta pierwszoliniowa, na wizji – odbierała tylko telefony. Okazuje się, że ci sami ludzie dzwonili wielokrotnie. Gdy więc był kolejny telefon z danego numeru, pojawiał się komunikat i mniej więcej treść poprzednich rozmów. Wróżka czytała z promptera, czyli urządzenia, które wyświetla tekst do odczytywania przez osobę stojącą przed kamerą: masz coś z żoną, twoje wnuki mają kłopoty. Dzwoniący doznawał olśnienia, był bardzo zadowolony, że wszystko się sprawdza. Kluczowa sprawa to jednak zimny odczyt. Wypuszczasz pytanie kontrolne, obserwujesz reakcję, a potem powtarzasz w inny sposób to, co przed chwilą ta osoba powiedziała. Twoim zadaniem jest przetrzymanie jej jak najdłużej na linii, licznik bije, połączenie z numerem specjalnym jest drogie.

Maciej Skrzątek

Inne triki? Możesz mieć maleńkie słuchawki w uszach, jak uzdrowiciele w Stanach Zjednoczonych, i słuchać podpowiedzi kolegów z tłumu. Starszych, chodzących samodzielnie ludzi sadzasz na wózku inwalidzkim i wieziesz do pierwszego rzędu. Odprawiasz tajemniczy rytuał, dziadek wstaje i robi parę kroków – masz sukces, publika szaleje. Jeżeli chcesz wiedzieć więcej, sięgnij po „Sztuczki umysłu" Derrena Browna, angielskiego iluzjonisty, mentalisty i malarza. Brown ani przez moment nie twierdzi, że posiada nadprzyrodzone moce; przeciwnie, obnaża metody uzdrowicieli. Wyjaśnia psychologię magii, odczytuje wskazówki pochodzące z ludzkiego zachowania, demaskuje kłamców, wyjaśnia sekrety hipnozy, bada siłę sugestii, opracowuje ćwiczenia ulepszania pamięci. Wnikliwie przygląda się przemysłowi paranormalnemu i wyjaśnia, dlaczego tak wiele osób wierzy w zjawiska nadprzyrodzone.

Szkoła nie uczy wykorzystania rachunku prawdopodobieństwa i statystyki do krytycznej oceny nie tylko tzw. jasnowidzów, ale również np. doniesień o pandemii.

Możesz też sięgnąć po „Gdy proroctwo zawodzi. Koniec świata, który nie nastąpił". To opis badań przeprowadzonych przez Leona Festingera oraz dwóch jego współpracowników, Henry'ego Rieckena i Stanleya Schachtera. Autorzy fascynującej lektury przeniknęli do sekty. Jej członkowie wierzyli, że za kilka miesięcy świat ulegnie zagładzie. Badaczy interesowało, jak ci ludzie będą się czuć i zachowywać, gdy proroctwo się nie spełni, czy będą w stanie przyznać, że ich przepowiednie były nietrafne, czy raczej, jak przewiduje teoria dysonansu poznawczego Festingera, tj. napięcia wywołanego rozbieżnością przekonań, dopasują swoją rzeczywistość tak, aby nadać sens nowym okolicznościom. Okazuje się, że w sytuacji dysonansu poznawczego ludzie są bardziej skłonni zniekształcić swoje poglądy na rzeczywistość, niż przyznać, że ich pierwotne przekonania były błędne.

Na koniec sama zabawię się we wróżkę. Uwaga, skupiam się, moje ciało wibruje. Bam: inflacja znacznie wzrośnie. Widzę więc rzesze sfrustrowanych ludzi. Ba, widzę głodne dzieci z biednych domów. I widzę jeszcze, że u wschodnich sąsiadów coś złego będzie się działo, coś jakby na kształt wojny. Wielki wódz tam namąci. A omikron zakończy szczęśliwie pandemię. Chcecie, to wierzcie. Sprawdzamy za pół roku?

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, MATEUSZ GROCHOCKI/DDTVN/EAST NEWS, PAWEŁ RELIKOWSKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl 4e4007b1d9

Przeciw stawianiu ogrodzenia na granicy polsko-białoruskiej demonstrowano m.in. 6 lutego br. w Krakowie.

Mur, który zabije Puszczę Białowieską

700 naukowców z najważniejszych europejskich ośrodków protestuje przeciw budowie zapory na granicy

Przemysław Miller

Zapowiadany na polsko-białoruskiej granicy mur dopiero powstaje, ale prowizoryczne zasieki dają przedsmak tego, co się stanie po jego wybudowaniu – i przed czym ostrzegają przyrodnicy. Obecna prowizorka wytworzyła swoiste pojemne „kieszenie" stanowiące śmiertelną pułapkę dla ok. 20 żubrów, które utknęły właśnie w takim miejscu i są skazane na powolną śmierć głodową. Niektóre już padły.

Naukowcy z Białowieskiej Stacji Geobotanicznej Uniwersytetu Warszawskiego oraz Instytutu Biologii Ssaków PAN alarmują, że to gigantyczne, a zarazem zbędne przedsięwzięcie będzie miało zabójczy wpływ na wszystkie ekosystemy znajdujące się w pobliżu, m.in. na najcenniejszy z przyrodniczego punktu widzenia białowieski ekosystem leśny. Las, który rozciąga się po obu stronach granicy i został wpisany na Listę światowego dziedzictwa UNESCO, jest jednym z ostatnich fragmentów lasu pierwotnego na nizinach europejskich. Straty, które szybko przyniesie obecność zapory, ewidentnie przeważą nad spodziewanymi korzyściami.

Zapora utrudni przemieszczanie się dużych ssaków, przyczyniając się do zmniejszenia różnorodności genetycznej gatunków.

Mur Błaszczaka *de facto* widoczny jest tu już dziś w postaci różnego rodzaju pozostawionych odpadów, takich jak plastikowe butelki czy opakowania po jedzeniu, które zanieczyszczają las.

W celu utrudnienia przekraczania zielonej granicy strona polska początkowo postawiła w pasie granicznym zasieki typu spiralnego, które wyjątkowo mocno ranią duże ssaki i przyczyniają się do ich śmierci w męczarniach. Barbarzyńska *concertina* zostanie wkrótce zastąpiona pięciometrową barierą, blokującą jakąkolwiek lądową migrację rysi, saren, wilków, żubrów i jeleni. Szef MSWiA Mariusz Kamiński zapowiada, że zapora, przez którą nie prześliźnie się nawet mysz, powstanie już w pierwszym półroczu 2022 r., a jej szacowany koszt to 1,615 mld zł. Granica między Polską a Białorusią ma 400 km, a mur rozciągnie się na odcinku 180 km. Będzie wyrazem i symbolem determinacji państwa polskiego w ograniczaniu masowej nielegalnej migracji na teren naszego kraju.

Budowa muru zablokuje skutecznie jedynie migrację zwierząt, bo raczej nie zdeterminowanych ludzi. Nawet takie monumentalne i nafaszerowane elektroniką zapory i ogrodzenia udaje się ludziom forsować. Natomiast konsekwencje ich obecności dla świata przyrody są wyjątkowo negatywne. Dowodzą tego wyniki badań, które przeprowadzili w ostatnich latach amerykańscy naukowcy

eprasa.pl 4e4007b1d9

na granicy między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem. Posługiwali się oni siecią fotopułapek, które gromadziły dane na temat obecności lub nieobecności 17 gatunków ssaków – m.in. jeleni, skunksów, pum, niedźwiedzi czarnych i rysi. Szczegółowa analiza zebranych danych ujawniła, że zwierzęta takie jak ostronosy i pumy pojawiały się częściej w obrębie stref pozbawionych jakichkolwiek barier. Podobne rezultaty dały badania z granicy izraelsko-palestyńskiej.

Zapora nieodwracalnie utrudni przemieszczanie się wszystkich dużych ssaków pomiędzy ich naturalnymi siedliskami, przyczyniając się do zmniejszenia różnorodności genetycznej i do stopniowej degradacji gatunków. Wysoki mur zwieńczony drutem kolczastym będzie również stanowił zagrożenie dla wielu cennych gatunków ptaków. Naruszy to zapisy Konwencji o ochronie wędrownych gatunków dzikich zwierząt, której sygnatariuszami są i Polska, i Białoruś.

Kolejnym zagrożeniem dla białowieskiego ekosystemu jest inwazja obcych i niepożądanych gatunków. Doprowadzić do tego może militaryzacja regionu przygranicznego w postaci nie tylko samej budowy infrastruktury, lecz także wzmożonej obecności ludzi i ruchu pojazdów. Nowe, inwazyjne gatunki zwierząt i roślin zostaną tu zawleczone przez transport samochodowy – koła, naczepy oraz inne elementy sprzyjają przenoszeniu się nie tylko nasion, ale i zwierząt. Niektóre trafią na teren puszczy wraz ze sprowadzanymi do budowy płotu materiałami budowlanymi, pochodzącymi nie tylko z Europy, ale także innych kontynentów. Nowi goście dotrą tu w skrzyniach, kartonach oraz innych opakowaniach i przystąpią do kolonizowania tego obszaru, wypierając rodzime gatunki i prowadząc do nieodwracalnego zaburzenia, a być może nawet zniszczenia tutejszego ekosystemu.

Kontrowersje związane z pomysłem budowy muru zaowocowały wysłaniem listu, pod którym podpisało się 700 naukowców z najważniejszych europejskich ośrodków badawczych. Pismo, w którym krytykują oni tę inwestycję, zostało oficjalnie skierowane na ręce przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, wiceprzewodniczącego Fransa Timmermansa oraz komisarza UE ds. środowiska Virginijusa Sinkevičiusa. Europejscy naukowcy są pewni, że budowa ogrodzenia na wielu odcinkach będzie kolidować z terenami chronionymi i cennymi przyrodniczo, m.in. z sześcioma obszarami Natura 2000: Puszczą Białowieską, Ostoją Augustowską, Ostoją Knyszyńską, Doliną Biebrzy, Ostoją Nadbużańską i Poleską Doliną Bugu. Zwracają oni również uwagę na fakt, że tylko na terenie puszczy mur graniczny będzie kolidował z korytarzem ekologicznym o randze paneuropejskiej GKPn-2 Puszcza Białowieska. Jego przecięcie będzie miało nieodwracalne skutki dla zachowania wszystkich istniejących siedlisk leśnych i wodno-błotnych na terenie Europy Środkowej. Tym samym wybujałe ambicje polityczne rządzących doprowadzą do powstania jeszcze jednej bariery – bariery ekologicznej, która spowoduje faktyczny podział Puszczy Białowieskiej. ■

Cynamonek zwiesza głowę, wpatruje się chwilę w podłogę. Lina zwisa luźno. On nie musi stać mocno uwiązany. Nigdzie przecież nie ucieknie. Kopyta skierowane ku niebu, bo dawno nie widziały kowala, o ile kiedykolwiek. I wzrok skierowany w tym samym kierunku, z modlitwą by umieranie nie bolało. Bo Cynamonek wie, że czeka go śmierć. Na cóż innego mógłby liczyć w swoim wieku i w obliczu swego kalectwa..?

Gdy przyjechaliśmy, koń stał jeszcze na aucie handlarza. Podejrzewam, że stał tu kilka dni, bo bali się go wyjąć, żeby się nie połamał. Zastanawiali się wszyscy, czy wywozić go od razu na ubój, czy najpierw dobić do lepszej wagi. Po rodzinnej naradzie uznali, że strach kalekę trzymać. Zadzwonili. Potem wysłali nam zdjęcie. Padło krótkie pytanie „chcecie kalekę? Bo nie wiem czy dojedzie do rzeźni na stojąco".

Ta stodoła, łańcuchy i rampy załadunkowe to biznes rodzinny. Robią tu biznes rodzice, dziadek i pomagają dzieci. Ot, praca jak praca, jak nam tłumaczą. Zajmują się tym od wielu pokoleń. Widzieli dużo gorsze konie niż Cynamonek. Starszy Pan spluwa tylko, gdy pytamy skąd jest koń. Nic nam nie powie. Tu wszyscy chronią się wzajemnie. „Bierzcie, albo wynocha" pada z szeregiem inwektyw. I starszy Pan znika z widłami za stodołą.

Zaglądamy nieśmiało do samochodu, wpatrujemy się w Cynamonka. To konik polski, a raczej to co z niego zostało. Bo Cynamonek ledwo trzyma się na wygiętych nóżkach. U nas biega takich koników koło 50 po rezerwacie dla ocalonych koni. Ale wiemy, że Cynamonek nigdy już nigdzie nie pobiegnie. Patrząc po kopytach wątpię, aby w ogóle wiedział, co to bieganie. Nie wiem co ktoś z nim robił i dlaczego ktoś postanowił zaoszczędzić na kowalu przez długie lata. Ale to już bez znaczenia. W miejscu w którym teraz Cynamonek stoi wszystko jest już nieważne. Bo od śmierci dzieli go tylko nasza decyzja, czy podejmujemy się poszukania funduszy, by go uratować.

Pytania jakby nie było. Oczywiście, że zrobimy co w naszej mocy, Cynamonku. Opowiemy o Tobie światu.

Wyciągam więc aparat, robię kilka zdjęć. Gdy próbuję podejść bliżej, Cynamonek zaczyna się trząść, a jego oczy robią się ogromne. Zapewne nikt się kalectwem nie przejmował, po prostu batem goniono go zawsze do wstania, i do przodu. Kto by się przejmował. Będzie chciał to pójdzie. No i szedł, choć wewnątrz krzyczał z bólu. Ale konie cierpią w milczeniu. To ich przekleństwo. Wystarczy odwrócić wzrok. I już sumienie jest czyste.

Niechętnie zostawiamy Cynamonka w miejscu, gdzie nikt o niego nie dba. Handlarz rzuca na odjeździe, że wezwie kogoś i zrobią coś z jego kopytami. Aż nas mrozi. Prosimy aby tego nie robił. Bo tego starcia z batem mógłby Cynamonek nie przeżyć.

Wracamy. Od razu siadam i piszę do Was. Bo nie chcę, aby Cynamonek zwieszał tam swoją główkę ani dnia dłużej.

Musimy zebrać 4600 zł, aby go zabrać, czyli zapłacić za jego życie i transport do naszego ośrodka. Mamy czas do 18 lutego. Dołączysz?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem CYNAMONEK na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści CYNAMONEK na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

FUNDACJA CENTAURUS

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze
Regulamin: https://centaurus.org.pl/tklm

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 4e4007b1d9

Jacek Karczewski

Zobacz ptaka

Dlaczego zimorodki są aż tak niebieskie, a gile takie wrażliwe

Zimorodek. Kolorem w zimę!

Jeden z tych ptaków, o których każdy chyba słyszał, ale tylko nieliczni go widzieli. Może i nawet mignął gdzieś nad wodą, ale było to tak szybko, że zaskoczony obserwator nie zdążył nawet pomyśleć. A może pomyślał, że to złudzenie optyczne – niebieski zajączek, znikający świetlny punkt. Za to jeśli ktoś naprawdę zobaczył zimorodka, na długo zapamięta ten moment. Nie więcej – ułamki sekundy! To jak doświadczyć cudu. Ludzie kiedyś mówili, że zimorodki przyniosły swoje niebieskości z samego nieba i że świeciły w ciemnościach. One jednak w ciemnościach gasną, bo ich elektrycznie niebieskie pióra wypełniają barwy strukturalne i bez odpowiedniego światła stają się… brunatne.

Wciąż otwarte pozostaje pytanie, dlaczego zimorodki są aż tak niebieskie – od lazurowych błękitów, przez turkusy, po szmaragdy. Wydaje się, że kolory nie mają znaczenia w ich godowych rytuałach. I dziewczyny, i chłopaki są tak samo olśniewający.

Kłopot w tym, że ludzie też są wzrokowcami i lubią ładne rzeczy. Pióra i skalpy zimorodków przez wieki były wykorzystywane przez modystki i krawców lub choćby do dekoracji wnętrz oraz drogich sklepowych witryn. Używali ich wędkarze (do produkcji muszek), a nawet niespełnieni w miłości. Wierzyli, że jak potajemnie posmyrają pierzastym puklem obiekt swoich westchnień, ten wkrótce odwzajemni ich uczucia. Podwieszane w domach zasuszane ciałka turkusowych ptaszków miały przynosić szczęście, przepowiadać pogodę i chronić przed piorunami. Z tych samych powodów zabierali je w morze marynarze. Może jednak nie warto być pięknym i oryginalnym w świecie rządzonym przez ludzi?

Od dziecka dobrze zorganizowani, z natury nietowarzyscy indywidualiści, zimorodki traktują życie bardzo poważnie.

Może więc chodzi o to, żeby się widzieć i rozpoznawać z daleka. Od pierwszego wejrzenia, kątem oka. Ptaki też uprawiają *birdwatching*, a każdy gatunek stara się wysyłać możliwie czytelne sygnały identyfikacyjne, żeby nie tracić czasu na uganianie się za kimś, z kim i tak nie można (albo nie warto) mieć dzieci, nie da się spędzić zimy na miejscu ani wybrać na południe. Albo przeciwnie – ten ktoś nie jest bezpośrednim konkurentem w wyścigu po ograniczone zasoby, więc po co się spinać. (Sami najlepiej wiemy, jak to jest…) Zimorodki wysyłają niebieski. Tyle że te sygnały czynią je dużo bardziej wyrazistymi i na pewno piękniejszymi, niż potrzeba. (Podobnie jest w przypadku kraski, żołny, wilgi, bażanta, różnych kaczorów i wielu, wielu innych ptaków).

Żywe zimorodki osiedlają się nad spokojnymi i przejrzystymi wodami. Każdy z nich zajmuje około kilometra rzeki, odpowiednio długi odcinek linii brzegowej jakiegoś jeziora, staw lub dwa po sąsiedzku. Gniazda normalnie zakładają w norach, więc urwisty brzeg lub jakaś skarpa niedaleko są nieodzowne. Tam para kopie około metrowej głębokości tunel, na którego końcu znajduje się przestronna komora lęgowa. Podrośnięte pisklęta, które przychodzą na świat po blisko trzech tygodniach wysiadywania (rekordowo długo jak na tak małe ptaki), siadają w wianuszku i przesuwają się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aby każde z nich po kolei, bez awantur i niepotrzebnej rywalizacji, było przy wejściu, gdy mama lub tata przylecą z rybką. I tak przez blisko miesiąc, od świtu do zmroku, kręcą się w swojej norze małe, niebieskie (a właściwie brunatne) ptaszki…

Od dziecka dobrze zorganizowani, z natury nietowarzyscy indywidualiści, zimorodki traktują życie bardzo poważnie. Tam, gdzie nie muszą odlatywać na zimę, pary zwykle dobierają się jesienią, ale granice sąsiadujących ze sobą terytoriów zostaną zniesione dopiero wiosną. Ich przekraczanie – szczególnie przez obcych – może spotkać się ze zdecydowaną reakcją. Walczące ze sobą zimorodki nie żartują. Każdy próbuje chwycić przeciwnika za dziób i przytrzymać go pod wodą. Z taką samą determinacją biją się o potencjalnych partnerów dziewczyny z okolic, gdzie tych pierwszych brakuje. Może ta czerwień na dolnej połowie ich poza tym czarnego jak u samczyków dzioba to wcale nie szminka…? Zimorodki są takie dokładne i radykalne, bo wiedzą, że krótko żyją i nie mają czasu do stracenia. Teraz albo nigdy! W szczególności nie lubią dzielić się łowiskiem. Ryba nie zawsze bierze, a one każdego dnia powinny zjeść ok. 60% tego, co same ważą – jakieś 10 rybek (i tylko wyjątkowo coś innego). Gdy w norze czekają głodne pisklęta, presja jest jeszcze większa.

Wielka głowa i dziób sprawiają, że u zimorodków (również) przesunął się tak ważny dla wszystkich latających ptaków środek ciężkości. Utrudnia im to latanie, ale ułatwia nurkowanie! Skaczą na główkę, a raczej dziób, po czym wracają z rybką na swoją grzędę. Najpierw ogłuszają zdobycz, uderzając nią o gałąź lub kamień, na którym siedzą, jeśli trzeba, obłamują wystające z płetw kolce, wreszcie ustawiają ją głową do wewnątrz i połykają. Po udanym polowaniu zwykle przelatują w inne miejsce, żeby dać rybkom czas na uspokojenie się – i całą operację

eprasa.pl 4e4007b1d9

Gdzie patrzeć?

Na spokojne, osłonięte drzewami lub szuwarem rzeki i jeziora, najlepiej w pobliżu wysokich, urwistych brzegów.

Czego wyglądać?

Malutkiego (wielkości wróbla), bardzo niebieskiego ptaszka z ogromną głową i jeszcze większym dziobem. Od spodu pomarańczoworudy, z maleńkimi, czerwonymi, syndaktylnymi stopami (czyli takimi, w których zewnętrzny i środkowy palec – drugi i trzeci – są częściowo połączone). W ruchu – a tak najczęściej go widzimy, gdy spłoszony odlatuje ze swojej czatowni – wygląda jak turkusowy pocisk w otoczeniu wirujących skrzydełek. Siedzącego nieruchomo wśród zielonych liści zwykle przegapiamy.

Czego nasłuchiwać?

Metalicznego, lekko wibrującego i niezbyt głośnego „Psi!" lub „Tsi!", które turkusowy ptaszek wyrzuca, przemykając nad wodą.

Kiedy?

Cały rok.

powtarzają od nowa. Niestrawione resztki, ości i łuski zostają zwrócone w postaci srebrzystych wypluwek.

Zimą wielkodziobe ptaszki pojawiają się nad niezamarzniętymi jeszcze wodami, często tam, gdzie wcześniej nikt ich nie widział. A może po prostu nie zauważył. W każdym razie na tle białego śniegu albo bezlistnej szarugi nie sposób przeoczyć mieniącego się jak klejnot ptaka. I tak narodziło się jego imię. W innej, chyba mniej prawdopodobnej wersji zimorodek ma być utrwaloną trawestacją ziemiorodka. Jak na ironię, mroźne zimy to największa zmora zimorodków – zaraz za ludźmi, którzy wyrównują i rozjeżdżają co bardziej urwiste brzegi jezior, rzek i strumieni, o ich betonowaniu nawet nie wspominając. Dlatego w niemałej Polsce żyje 2,5 tys., najwyżej 6 tys. par maleńkich zimorodków, z tendencją spadkową. W ograbionym krajobrazie zaledwie jedna czwarta młodzieży ma szanse wejść w wiek dojrzały i tyle samo dorosłych przeżywa kolejny rok. Mimo to najstarszy zimorodek, o jakim wiemy, doczekał 21 lat. Cudzoziemiec.

Zimorodki, tak jak wiele innych ptaków, miały pochodzić od ludzi, którzy z różnych powodów nie mogli dalej żyć, ale bogowie pozostawili ich wśród nas w nowym wcieleniu. Czasami z litości, czasami z miłości, przeważnie ku przestrodze. Zamiana w ptaki rozwiązywała problemy inaczej nierozwiązywalne lub niepojmowalne, pomagała uniknąć eskalacji konfliktu lub rozlewu krwi, poza tym dusze ludzkie po śmierci i tak unosiły się w zaświaty w ptasich ciałach. (…)

Gil – bombki na jesionie

Trzy kolory. Czerwony. Właściwie malinowoczerwony. Dawniej obszczypane mrozem policzki i przeziębione, czerwone nosy nazywano gilem, stąd polska nazwa. Łacińskie *Pyrrhula* oznacza z kolei ptaka w kolorze płomieni. Do tego lśniąco czarna, nasunięta na lśniąco czarne oczy czapeczka. Czarne są też pękaty dziób, lotki i sterówki. Plecy – stalowoszare, a kuper i pokazujące się w locie półksiężyce na skrzydłach – śnieżnobiałe. Tak wyglądają puchate chłopaki. Dziewczyny są tak samo okrągłe, ale zamiast owocowej czerwieni otulają się szaropłowymi różami. Delikatnymi jak rumieniec. I oni, i one pogwizdują melancholijne „Fju, fju", które wiosną przeplatają delikatnymi, metalicznymi ćwierknięciami. Ot i cała gilów piosenka. Brzmi, jakby ktoś jechał przez las na starym, cichutko poskrzypującym rowerze.

Gile nie utrzymują żadnych terytoriów, nie muszą ich oznaczać ani o nie rywalizować, a do tego są zdeklarowanymi monogamistami, nie mają więc potrzeby przekrzykiwać ani prześpiewywać sąsiadów czy konkurentów. Przeciwnie, na czas godów i lęgów zachowują się, jakby zapadły się pod ziemię i jeśli śpiewają, to tylko dla siebie. Zresztą cokolwiek gile robią, nie ma w tym źdźbła ostentacji i nikt chyba jeszcze nie widział dwóch walczących ze sobą gilów ani nawet jednego grożącego jakiemukolwiek innemu ptakowi.

Pomimo kiepskiej piosenki gile były kiedyś chętnie trzymane w domach, i to nie byle jakich. Swojego gila mieli m.in. car Mikołaj II i królowa Wiktoria. W XIX-wiecznej Europie mogło to znaczyć tylko jedno: każdy chciał mieć gila! Ale nie każdy mógł sobie na niego pozwolić… Układanie gilów stało się specjalnością niemieckiego regionu przypadkowo zwanego Vogelsberg, Ptasia Góra. Chłopcy wykradali z gniazd podrośnięte pisklęta, ich ojcowie i wujkowie uczyli je ludowych lub modnych klasycznych kawałków (przygrywając na skrzypcach, fletach i fujarkach albo tylko pogwizdując), a obrotni pośrednicy dostarczali dorosłe i rozśpiewane już ptaki do

eprasa.pl 4e4007b1d9

Gdzie patrzeć?

Najłatwiej obserwować gile zimą, kiedy najpierw zjadają pozostałe na drzewach nasiona klonów i jesionów (ich ulubione), a potem uśpione pączki. Zatrzymują się w lasach, w śródpolnych zadrzewieniach, na drzewach rosnących wzdłuż polnych lub mało uczęszczanych dróg, po wsiach i w większych miejskich parkach. W poszukiwaniu nasion przeczesują też ziołorośla porastające miedze i przydroża. Czasami zaglądają do karmników.

Czego wyglądać?

Niewielkich grup uroczych, czerwonoróżowych ptaków nieco większych od wróbla i zdecydowanie bardziej okrągłych. Nieszczególnie ruchliwe, na bezlistnych, zimowych drzewach wyglądają jak bombki, które zamiast na choince ktoś zawiesił na klonie lub jesionie.

Czego nasłuchiwać?

Delikatnego, melancholijnego, lekko metalicznego „Fju, fju".

Kiedy?

Gile są z nami przez cały rok, ale obserwować je możemy tylko jesienią i zimą. Kiedy indziej mało płochliwe ptaki w sezonie lęgowym zaszywają się w podszytych świerczyną lasach i laskach i stają się niewidoczne.

bogatych domów w całej Europie. Ptaki, które miały trafić do niemieckich kupców, śpiewały niemieckie melodie, do holenderskich – holenderskie itd. Najbardziej opłacało się uczyć je angielskich przebojów, bo najlepszy rynek był w Londynie, skąd niektóre ptaki wysyłano za morza i oceany, m.in. do Australii, Indii i Ameryki. I nawet jeśli nauczyciel muzyki był kiepski, znane z idealnego słuchu gile jakimś cudem wiedziały, jak powinny być rozłożone klucze na muzycznej pięciolinii, i ćwiczyły tak długo, aż poprawiły fałszywe tony.

Oprócz urody i talentu muzycznego gile słynęły z łagodnego charakteru oraz czułości, jaką darzyły swoich opiekunów, których potrafiły rozpoznać choćby w tłumie ludzi i których powrót do domu przeczuwały jakimś szóstym zmysłem. Po każdej rozłące (nawet jeśli trwała tylko godziny) przylatywały z powitalnym prezentem – czymś do zjedzenia – i piosenką, zachowując się tak, jak zachowywałyby się wobec swoich partnerów. Co ciekawe, uczyły się tym szybciej i tym chętniej, im bardziej kochały swojego opiekuna. Handlarze starali się więc, aby ptaki trafiały pod docelowe adresy, zanim ukończyły pierwszy rok życia i zanim zdążyły się przywiązać do swoich wychowawców. Niestety, w całym tym biznesie większość odłowionych ptaków umierała, m.in. stąd ich wysokie ceny. Każdy większy stres przypłacały udarem lub zawałem.

Wrażliwi perfekcjoniści. Co to był większy stres? Dla jednego mogła to być podróż do innego kraju, dla drugiego przeniesienie do innego pokoju, głośna wizyta obcego towarzystwa lub dłuższe rozstanie z opiekunem. Nawet obrączkarze unikają znakowania gilów, bo te zbyt często umierają w sieciach albo w ich dłoniach…

Gdy jedni wzbogacali się na urodzie i talencie gilów, drudzy – na ich odpłatnym zabijaniu. Wszystko dlatego, że ptaki te na przednówku chętnie zjadają zawiązki pączków drzew liściastych, w tym owocowych – tych dzikich i tych sadowniczych. W rzeczywistości nie mogły wyrządzić żadnej realnej szkody, bo, po pierwsze, nigdy nie były na tyle liczne, żeby zagrozić naszym zbiorom czy jakimkolwiek drzewom (czy widział ktoś kiedyś klon lub gruszę, które na wiosnę nie wypuściły żadnego liścia, bo ich pączki zjadły gile?!), a po drugie, zjadały zaledwie ułamek tego, co właściciele sadów i tak usuwali z drzew, żeby zapewnić sobie lepsze owoce (praktyka ciągle powszechnie stosowana). Gdy tylko przekwitną pierwsze mniszki, gile wracają do swojego ulubionego jedzenia – nasion. I trzeba przyznać, że buszujące wśród dmuchawców malinowe ptaki wyglądają niezwykle powabnie.

Gile swoją subtelną obecnością ozdabiają kawał świata – od zachodnich wybrzeży Europy po Japonię i Kamczatkę. I mają jeszcze jedną niezwykłą cechę: wcale nie tak rzadko zdarzają się wśród nich hermafrodyci. Po jednej stronie mają jajnik, po drugiej jądro. (Dalej jest już prościej, bo czy to komórki jajowe, czy nasienie – wszystko uchodzi do tego samego organu, tak zwanej kloaki). Z jednej strony wyglądają jak malinowoczerwony samczyk, a z drugiej jak płoworóżowa samiczka.

Fragmenty książki Jacka Karczewskiego *Zobacz ptaka. Opowieści po drodze*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021

FOT. PIOTR PŁACZKOWSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4e4007b1d9

Polityka dwóch wrogów

Jeżeli popatrzymy na polską politykę zagraniczną, dostrzeżemy w niej pewien dualizm. Wobec Wschodu, czyli Rosji i Białorusi, Polska jest werbalnie bardzo twarda, namawia do zdecydowanej postawy itd. „Żadnych ustępstw wobec Rosji!", woła prezydent Andrzej Duda. A Sejm w specjalnej uchwale wzywa kraje NATO do poparcia Ukrainy w obliczu możliwej inwazji rosyjskiej. Podobnych gestów nie brakuje. I nic z tego specjalnie nie wynika; tak czy inaczej, sprawy toczą się ponad naszymi głowami.

Ale jest jeszcze Zachód. I tu mamy coś nader dziwnego – bo premier jest zaangażowany w budowę międzynarodówki partii antyeuropejskich. Był zresztą na ich spotkaniu w Madrycie, gdzie brylowała Marine Le Pen, która startuje w kwietniowych wyborach prezydenckich we Francji i otwarcie głosi, że jak zostanie prezydentem, to wyprowadzi swój kraj z NATO, a ponadto, że Ukraina leży w strefie wpływów Rosji.

Jest więc gadanie i są realne działania. A te sytuują dzisiejszą Polskę w gronie rozbijaczy Unii Europejskiej i przyklaskujących tym, którzy chcą rozbijać NATO (chociaż wzywamy NATO do jedności).

Ta niechęć do Unii, do jej instytucji, widoczna jest niemal w każdym działaniu. Ostatni mniej znany przykład: pod koniec stycznia Komisja Europejska zaprezentowała projekt rozporządzenia przewidującego czasowe zwolnienie Polski, Litwy i Łotwy z części wymogów prawa azylowego wobec migracyjnego „ataku hybrydowego" ze strony reżimu Aleksandra Łukaszenki. Najważniejszą zmianą była zgoda na wydłużenie z czterech do 16 tygodni procedury granicznej, obejmującej rozpatrzenie wniosku o azyl złożonego w chwili przekroczenia granicy przez migrantów przedostających się nielegalnie z Białorusi.

Warszawa ten projekt odrzuciła, żądając całkowitego zwolnienia z procedury azylowej. Odmówiła też współpracy z instytucjami do spraw uchodźców i organizacjami humanitarnymi. W ten sposób Polska będzie miała kolejne postępowanie o naruszenie traktatów Unii, bo „praktyki wydalania wszystkich migrantów, którzy zostają przechwyceni na granicy z Białorusią, jednoznacznie naruszą unijne prawo azylowe".

Nasze „nie" idzie dalej. Niektórzy politycy PiS już mówią, że Polska powinna się wycofać z europejskiego Funduszu Odbudowy, czyli zrezygnować z ponad 80 mld euro na czysto (już po odjęciu składki do budżetu UE). To mniej więcej roczny budżet naszego kraju...

Cóż, można tak mówić, tylko że najpierw trzeba wiedzieć, co się mówi. Większość tych pieniędzy to granty – chyba więc niezbyt mądre jest rezygnowanie z nich lekką ręką. A poza tym Polska podpisała się pod dokumentami powołującymi Fundusz Odbudowy. Są to: decyzja o środkach własnych 2020/2053 z 14 grudnia 2020 r. i rozporządzenie o Funduszu Odbudowy 2020/2094 także z 14 grudnia 2020 r.

Oba akty mają formę umów międzynarodowych i żeby od nich odstąpić, Polska musiałaby to z każdym z pozostałych 26 państw członkowskich Unii negocjować i uzyskać ich zgodę. No, czekamy na ten ruch!

Attaché

A czas sobie płynie... wolniutkim tik-tak. Kawiarnia w pobliżu Gizy „pod patronatem" Lionela Messiego w dawnych barwach.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 4e4007b1d9

JOLKA

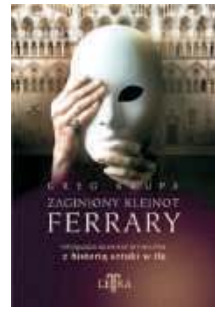

1	2	3	4	5	6	7
8	9	10				
11	12	13	14			
15	16	17	18	19		

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- „Grot", „Niedźwiadek" lub „Agaton"
- teatrem jednego jest monodram
- dłuuugą ma historię budowa polskiej w Berlinie
- orszak, towarzystwo
- jest najlepszą obroną
- Leopoldyńska na Uniwersytecie Wrocławskim
- cynkowa lub tytanowa dla malarza
- uczestnik manifestacji
- osłania szyjki zębów
- śledcze – domena Boba Woodwarda
- prefabrykat to gotowy budowlany
- pełny – praca w maksymalnym wymiarze czasu
- dawniej do narkozy
- góra i jaskinia, gdzie urodził się Zeus
- zastój, sytuacja bez wyjścia
- wkładka reklamowa w gazecie
- służy do niej Pegasus
- I Mądry, wielki książę kijowski
- czarna lub czerwona ikra
- pochyłe pismo drukarskie
- surowiec wtórny do wyrobu papieru
- erzac, surogat
- leczy je nefrolog
- niebieski kwiatek symbol pamięci
- płynna przyprawa o kwaśnym smaku
- druga żona Mieszka I
- adresat
- kongijski krewniak żyrafy
- kolorowa taśma wokół żołnierskiej czapki
- dolina powstała z wąwozu
- odmiana fortepianu na użytek domowy
- Mike Pence, Ted Cruz lub Glenn Youngkin
- kto nimi goni, ten bliski nędzy
- potok, strumień poetycko
- cen, terenu, ale i scheda
- jego era to era big-bandów
- cyklon tropikalny i nowela Conrada
- z pilotem przed szklanym ekranem
- kuracja, leczenie
- owad, którego wypędzał Huckleberry
- przetaczanie krwi
- w tego owada zmienia się syn cara Sałtana
- „Miłość ma dwie…" z Barbrą Streisand
- wyspa z częścią Świnoujścia i Ahlbeckiem
- wykręt, pretekst
- koła lub coraz szerszych kręgów
- narada, zgromadzenie
- szkielet konstrukcyjny wzmacniający sklepienie

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1052". Do rozlosowania książki „Zaginiony klejnot Ferrary" ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 lutego 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1049" z nr. 5: *W przyjemności tkwi żądło.* Nagrody otrzymują: Jerzy Ćwięk z Krakowa, Kazimierz Szczotka z Lipowej, Zbigniew M. Trojanek z Szamotuł.

eprasa.pl 4e4007b1d9

PENETRACJE

PROF. EWA NOWICKA,
ANTROPOLOŻKA KULTUROWA

Człowiek jest strasznym bandytą, jeśli chodzi o przyrodę. W górnym paleolicie w dużej mierze przyczynił się do wyniszczenia mamutów. Przecież z tych słynnych ścian, skalnych uskoków na terenie dzisiejszych Czech, zrzucano całe stada mamutów po to, żeby zjeść kawałeczek jednego mamuta. Człowiek był zawsze niebezpieczny. Nie tylko w stosunku jeden do drugiego, ale także wobec otoczenia. Ale może dlatego przetrwał. Dlatego przetrwał *Homo sapiens sapiens*, a nie neandertalczyk, mimo że miał większą pojemność czaszki.

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK,
LIDER AGROUNII

PiS o nas zapomniał i tego mu nie darujemy. Ukradł nasze głosy, składając obietnice wyborcze, a nie zrobił nic. Zblatował się z wielkim biznesem i idzie ręka w rękę z korporacjami. Mnie nie obchodzi ich pochodzenie, tylko żeby te molochy respektowały nasz wspólny interes publiczny, bo przecież bogacą się na polskich konsumentach. Chciałbym też, aby rząd ograniczył wysokość marż, które naliczają supermarkety.

MICHAŁ RUSINEK,
LITERATUROZNAWCA, TŁUMACZ, PISARZ

Szymborska wiedziała, że jest coś takiego jak internet. Pojawiły się pierwsze komórki, najpierw jedną sprawiłem sobie, później Szymborskiej i dołączyłem odręcznie napisaną instrukcję obsługi. Kiedyś do mnie zadzwoniła, bo chciała sprawdzić, czy to działa. Odebrałem, mówiąc: „Dzień dobry, pani Wisławo", a ona na to: „A skąd pan wie?". „Bo widzę", powiedziałem. „Ojej, a ja nieubrana". Już wtedy przeczuwała pojawienie się Pegasusa.

ARTUR BARCIŚ,
AKTOR

Ciekawe, co by było, gdyby Krzysztof Kieślowski nie spóźnił się na pociąg do Łodzi? A tak – spóźnił się, musiał czekać na następny i zobaczył mnie w telewizorze w hali Dworca Centralnego, po czym postanowił obsadzić u siebie. Nie marzyłem, że będę aktorem Krzysztofa Kieślowskiego, nie spodziewałem się, że poznam tylu wspaniałych reżyserów, będę w Teatrze Narodowym czy Ateneum, bo też trudno marzyć o rzeczach i sprawach, które są mało prawdopodobne.

Mimo burzy związanej z wykryciem zakazanej trimetazydyny w organizmie 15-letniej rosyjskiej łyżwiarki figurowej Kamiła Walijewa trenowała na olimpijskim lodowisku. Pekin, 10 lutego 2022 r.

FOT. REUTERS/FORUM

Aby język giętki…

JACEK DEHNEL O ORDO IURIS
Może w całości spędzać czas w biurach na samych orgiach. Ale nie, kiedy innym na siłę zapina pas cnoty.

JAROSŁAW GOWIN O AUTORACH POLSKIEGO ŁADU
Na pewno kluczową rolę odgrywał Piotr Arak, choć nie jest ekonomistą, tylko specjalistą od nauk społecznych.

KRZYSZTOF VARGA O PAWLE LISICKIM
Może jest zakamuflowanym satanistą, skoro z takim samozaparciem ośmiesza katolicyzm?

DOROTA BREJZA O CEZARYM GMYZIE
Nie jest tajemnicą, że jest zblatowany ze służbami.

JÓZEF ORZEŁ O POTENCJALNYCH SOJUSZNIKACH PiS
Są dwie partie, z którymi PiS może rozmawiać – PSL i SLD. Efekty rozmów z częścią SLD widzieliśmy, gdy poparli Krajowy Plan Odbudowy.

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI O SOBIE
Nigdy bym nie pomyślał, że jestem takim wspaniałym kucharzem. Piekę chleb. Robię pasztet.

ANDRZEJ STASIUK O TAŃCACH
Polonez to zabytek bez życia, truchło, cyrk jakiś. A oberek to dzikość, żywioł, kręci się po nim w głowie.

KATARZYNA GRONIEC O ŻYCIU W BAŃCE
Żyjąc w swojej bezpiecznej bańce, zawsze będziemy uważali, że wokół jest dzicz, bez względu na to, kim są ci ludzie w rzeczywistości.

ANETA KRĘGLICKA O MĘŻCZYZNACH
Nigdy, przenigdy nie byłam uzależniona od żadnego mężczyzny i żadnemu nie pozwoliłabym sprowadzić się do parteru.

ANDRZEJ GRABOWSKI O JANIE PESZKU
Zamiast literackiej wersji „hulaj dusza, piekła nie ma" używa wersji ludowej „pić, pierdolić i tańcować, bida musi pofolgować".

eprasa.pl 4e4007b1d9

Uczą i bronią (bezeceństw)

Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. Świętej Rodziny z Nazaretu w Krakowie nie pozwala młodzieży uprawiać seksu. Według statutu placówki „ucznia obowiązuje w Szkole i poza nią bezwzględny zakaz" m.in. podejmowania aktywności seksualnej, polegającej na: odbyciu stosunku seksualnego, udziale w imprezach o charakterze erotycznym oraz pozowania do filmów i zdjęć pornograficznych, publicznym podejmowaniu zachowań o zabarwieniu seksualnym. To już chyba lepiej rzucić edukację i ubiegać się o staż w Ordo Iuris…

Motyla noga, ale tłuki

W Teksasie wyznawcy teorii spiskowych doprowadzili do zamknięcia rezerwatu motyli. National Butterfly Center, którego władzom grożono śmiercią, ogłosiło, że w najbliższej przyszłości nie jest w stanie zagwarantować bezpieczeństwa pracownikom ani gościom. Nienawiść oszołomów wynika z tego, że w 2017 r. ostoja przyrody zaskarżyła decyzję Trumpa o budowie muru na granicy z Meksykiem. Członkowie ruchu QAnon nie wierzą, że motywacją była troska o ekosystem – ich zdaniem instytucja bierze udział w przemycie migrantów do USA. Jest na to fachowa nazwa: bezgraniczna głupota.

Praca szuka ptaka

W Södertälje w Szwecji testowane jest oczyszczanie ulic z niedopałków przez… wrony. Bez problemu zrozumiały one, że w maszynie zaprojektowanej przez start-up Corvid Cleaning mogą wymieniać pety na niewielkie porcje jedzenia. Miasto, które sporo wydaje na utrzymanie czystości, deklaruje zainteresowanie zatrudnieniem skrzydlatych pracowników komunalnych. Bo prościej nauczyć ptaki sprzątać, niż ludzi – nie śmiecić.

Wielkie Granie Ojczyźniane

Rosyjscy twórcy gier komputerowych mogą liczyć na państwowe dotacje do patriotycznych produkcji poświęconych II wojnie światowej. Możliwość ubiegania się o granty mają ponadto inni autorzy „narodowych treści w cyfrowym krajobrazie", którzy opracują przekonujące biznesplany. Niecierpliwie czekamy na efekty – zwłaszcza na realistyczny symulator Szarika.

Wieczne orbitowanie racz im dać, Panie!

Rośnie zainteresowanie kosmicznymi pochówkami. W odpowiedzi firma Celestis, która w 2019 r. umieściła na orbicie 152 urny z prochami, ogłosiła, że dzięki jej pośrednictwu nasze doczesne szczątki będą mogły w przyszłości spoczywać na Księżycu i Marsie. Tymczasem przedsiębiorstwo szykuje wysłanie w przestworza kolejnych kapsuł, przy okazji debiutanckiej misji rakiety Vulcan Centaur. Niech im próżnia lekką będzie!

Niejednemu prezesowi Piotrek

Aby zaprotestować przeciwko nierównościom, Holenderki masowo zmieniły imię na Peter. Akcja miała miejsce na portalu LinkedIn, służącym rozwijaniu kontaktów zawodowych, i trwała między 24 a 28 stycznia. Odwoływała się do statystyk mówiących, że na czele niderlandzkich spółek giełdowych stoi więcej mężczyzn o wspomnianym imieniu niż kobiet. – Peter symbolizuje brak różnorodności w miejscu pracy, który ma miejsce nie tylko na najwyższych stanowiskach czy w dużych fir-

eprasa.pl 4e4007b1d9

Skoki nie tylko na skoczni. Trójka zawodników snowcrossu podczas zawodów w olimpijskim kompleksie w Zhangjiakou, 10 lutego 2022 r.

mach – komentuje organizacja Women Inc. Inaczej mówiąc, Peterowie, nie martwcie się – to nie tylko wasza wina.

E-skarżypyta od braku apetytu

W Kanadzie rozwijany jest algorytm do walki z niedożywieniem rezydentów domów opieki. Porównuje on zdjęcia talerzy wykonywane podczas serwowania posiłku ze zrobionymi po jego zakończeniu. Analizując m.in. kolory, ocenia, czy dana osoba zjada wystarczająco duże porcje, a jeśli nie – alarmuje personel. „Posiłkowanie się sztuczną inteligencją" chyba nigdy nie było tak dosłowne!

FOT. MEMYTUTAJ.PL, SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, A-MEM, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4e4007b1d9

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR:
Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.
Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, *IBAN:* PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

5. Zimowa Aukcja Sztuki

Tomasz Kuran, Adasiu, zjedz jabłuszko, jeśli chcesz usiąść na kocyku

Anna Baranowska, bez tytułu

Wystawa przedaukcyjna w siedzibie Domu Aukcyjnego NEXT przy ul. Poznańskiej 31 w Bydgoszczy trwa do dnia licytacji, 18 lutego o godz. 19. Prezentuje wiele unikatowych dzieł najnowszej polskiej sztuki współczesnej.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

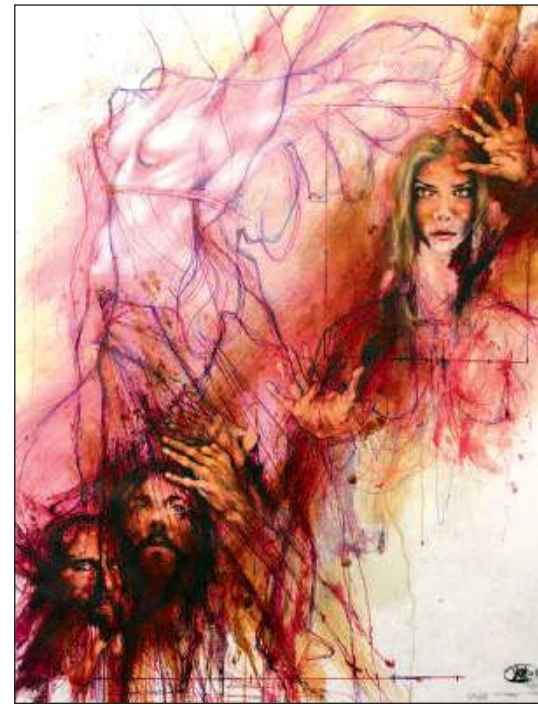

Adam Nowacki, Nike

Żaneta Chłostowska-Szwaczka, Elegant tea set

Piotr Gola, Pocałunek III

eprasa.pl 4e4007b1d9

STODOLA

T.LOVE

6 MAJA • WROCŁAW
CENTRUM KONCERTOWE A2

7 MAJA • ŁÓDŹ
KLUB WYTWÓRNIA

8 MAJA • KRAKÓW
KLUB STUDIO

21 MAJA • WARSZAWA
KLUB STODOŁA

13 PAŹDZIERNIKA • TORUŃ
CKK JORDANKI

14 PAŹDZIERNIKA • GDAŃSK
KLUB B90

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**

eprasa.pl 4e4007b1d9

DKMS

POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

Przekaż 1% podatku i pomóż nam rejestrować nowych potencjalnych Dawców szpiku i skutecznie wspierać Pacjentów chorych na nowotwory krwi.

Jak przekazać 1% Fundacji DKMS?

formularz ePIT

formularz w bezpłatnym programie

tradycyjny formularz papierowy

Daj z siebie 1%

WPISZ W PIT KRS 0000 318 602

dkms.pl/1procent

Fundacja DKMS | ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa | T: +48 22 882 94 34 | darowizny@dkms.pl | dkms.pl

eprasa.pl 4e4007b1d9